MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2026 | NR 5 (101)

BEZPIECZEŃSTWO

Czy jesteśmy gotowi na wojnę?

PSYCHOLOGIA

Joanna Flis: nie bój się lęku

RODZICIELSTWO

Integracja sensoryczna – pomoc czy ściema

EKOLOGIA

Nie taki gołąb wstrętny

KULTURA

Maciej Marcisz
Samanta Schweblin
Marcin Świetlicki

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
05>
9 772544 502609

eprasa.pl d281880d2c

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2026 | NR 5 (101)

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
05>
9 772544 502609

eprasa.pl d281880d2c

Kulturalny planer

Pismo.
MAGAZYN OPINII

MATEUSZ ROESLER
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne, na które warto wybrać się niebawem.

Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.
Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu

ART & SCIENCE
Przybliżamy świat kultury i nauki. Dzielimy się emocjami i wiedzą.
Mecenasem kultury w „Piśmie" jest **ORLEN Art&Science**.

eprasa.pl d281880d2c

MAGAZYN OPINII
Pismo.
MAJ 2026

TEMAT OKŁADKOWY

12 | **W poszukiwaniu straconego (na zbrojenia) czasu**
MACIEJ MIŁOSZ sprawdza, czy jesteśmy gotowi na obronę kraju

PROZA

Drobne akty nieżyczliwości | 6
MACIEJ MARCISZ

Niesamowite stworzenie | 88
SAMANTA SCHWEBLIN

POEZJA

Morze jest moim językiem obcym | 3
MARTA PILARSKA

Pasażerka | 11
KRYSTYNA DĄBROWSKA

******* | 67
MARCIN ŚWIETLICKI

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 85
AUSTRA, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ

Litwo, halucynujesz | 32
AGA KOZAK, MICHAŁ ŁUCZAK

KOMIKS

Wakacyjne pamiętniki wampirów | 68
TOMASZ KONTNY, WERONIKA DOBROWOLSKA

ŻARTY OBRAZKOWE
MARTA ZABŁOCKA | ŻYCIE-NA-KRESKĘ

OKŁADKA

Gra wstępna
PAWEŁ SMARDZEWSKI

REPORTAŻ

22 | **Odczarować gołębie**
ALICJA BIELAWSKA rozprawia się ze stereotypami na temat miejskich ptaków

STRATEGIE PRZETRWANIA

40 | **Przestraszone dzieci przestraszonych rodziców**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z JOANNĄ FLIS

STUDIUM

48 | **Sensoryczne tory przeszkód**
PAWEŁ KICMAN pyta, co daje dzieciom chodzenie na zajęcia SI

Z PISMEM U...

58 | **Zenona Wojtasa**
ADAM ROBIŃSKI z biologiem tropią ssaki drapieżne w Karpatach

ESEJ IDEE

74 | **Co nam zabiera sztuczna inteligencja?**
ŁUKASZ KRUKOWSKI przekonuje, że AI niszczy naszą twórczość

FELIETON

2 | **Podpieranie piękna mopem**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

86 | **Black City [Czarne miasto]**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o JULIE MEHRETU // W RAMACH

94 | **O algorytmicznych słoniach i wyrokach dla platform**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Oni dwaj**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo"
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
Redaktorki prowadzące: Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Redaktor ds. fact-checkingu:** Marcin Czajkowski
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
Marketing: Anna Galewska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

eprasa.pl d281880d2c

FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Podpieranie piękna mopem

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd. Więcej na **magazynpismo.pl/mysli-znikad**

KAROLINA LEWESTAM
dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Zabraliśmy moją teściową na wystawę. Jest ona bowiem kulturalną kobietą, a my jesteśmy kulturalnymi ludźmi, nie było więc wyjścia, musieliśmy zażyć wspólnie jakiejś kultury i padło na wizytę w londyńskim Southbank Centre na wystawie japońskiej artystki Chiharu Shioty. Była to naprawdę świetna wystawa, a przynajmniej mi się podobała, bo najbardziej na świecie lubię włazić w sam środek sztuki, lubię, kiedy instalacje się rozlewają na całe pomieszczenia, kiedy mogę sobie wyobrazić, że sztuka się nie kończy, sztuka się rozpleniła i teraz już cały świat będzie nosił piętno tej czy innej artystycznej wizji. I ta wystawa taka była, bo Shiota lubi wziąć sobie jakiś gigantyczny kłąb włóczki i porozpinać go wokół całej sali, tworząc gęste sieci owijające się wokół różnych przedmiotów, przedmiotów, których cicha obecność nadaje włóczce metaforyczne sensy (w jednej z sal czarna włóczka opajęczyła szpitalne łóżka, porywając je w jakieś zapomniane, ciemne przestrzenie naznaczone śmiercią; w innej sali gęsta czerwona sieć, w której niczym muchy tkwiły pozawieszane klucze, obrastała drzwi jak zakrzepła krew).

Chodziliśmy więc z moją teściową po tych pajęczych, niepokojących włóczkowych światach, a moja teściowa milczała, ciężkim wzrokiem spoglądając na tysiące włóczkowych linii porozciąganych przez artystkę po muzealnej przestrzeni w procesie, który musiał trwać tygodniami. W końcu to milczenie zaczęło być znaczące, zwłaszcza że wokół przebywało mało ludzi, bo pora dziwacznie poranna, a kiedy jest mniej ludzi, to cisza waży więcej. Zaczęłam więc na nią znacząco spoglądać w nadziei, że w końcu coś powie, że może ma jakieś głębokie przemyślenia związane z naturą tej sztuki – w końcu ulotka głosiła, że Shiota eksploruje „ciało, pamięć, świadomość i kruchość egzystencji". Kiedy mój pytający wzrok stał się nieznośnie intensywny, teściowa westchnęła i rzekła słabym głosem: „Rany boskie, ile po tym będzie sprzątania".

I najpierw mnie zatkało, bo przecież tutaj pamięć, świadomość i kruchość egzystencji, a myśl mojej teściowej, zamiast łasić się do tych wielkich rzeczy, jest już przy chwili, gdy wystawa się skończy i włóczka przestanie być sztuką. Ona już widzi moment, kiedy zapalą się mocniejsze światła, wejdą do utkanych pomieszczeń panie z obsługi i zaczną zwijać niciane kilometry z powrotem w kłębki. Ona już wie, że będzie to robota niewdzięczna i wyjątkowo żmudna. Ona już przeczuwa, że niektóre z pajęczyn zasupłają się tak nieszczęśliwie, że trzeba będzie poprzecinać węzły nożyczkami, co spowoduje, że z włóczki oderwą się obłoczki puszku i rozwieją po podłodze, a potem trzeba będzie je zamiatać na mokro, żeby nie odfruwały. To z kolei spowoduje powstanie smug kurzu na błyszczącej podłodze, a błyszczącej podłogi nie można przecież zmywać byle czym. Są do tego potrzebne specjalne preparaty i ktoś już dziś musi myśleć o tym, że trzeba je zakupić – razem z dużą liczbą mopów i szmat. Moja teściowa to widzi, bo to do niej całe życie delegowano ten moment, moment po przyjęciu, po święcie, po zabawie.

I nagle złość mnie ogarnęła na tę całą sztukę, której się wydaje, że może być wielka i wspaniała, kiedy nikt nie może być ani wspaniały, ani wielki, jeśli nie stoją za nim szeregi ludzi z mopami i w fartuchach; że środki czystości i szufelki są warunkiem możliwości piękna i znaczenia. I kiedy wieczorem dzieci mnie zapytały, czy mogą zbudować w dużym pokoju fort z kanapy i krzeseł, to najpierw powiedziałam, że w żadnym wypadku, czy oszalały, czy one rozumieją, ile będzie potem sprzątania? Czy one myślą sobie, że mogą być budowniczymi świata, podczas gdy ja będę wyskakiwać z cienia jak makrofag z *Było sobie życie*, bez słowa skargi zjadając ich brud i bałagan? Ale zaraz potem żal mi się zrobiło piękna i znaczenia i poszłam po dzieci, i kazałam im budować ten fort, bo najbardziej na świecie lubię włazić w sam środek fortu, lubię, kiedy forty rozlewają się na całe pomieszczenia, kiedy mogę sobie wyobrazić, że fort się nie kończy, że rozplenia się i że cały świat jest pełen piękna i znaczenia, i nie ma mopów, nie ma szufelek, jest tylko kosmos pełen praw, porządku i cudów.

Mecenasem cyklu *Myśli znikąd* jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/lewestam-karolina**

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl d281880d2c

POEZJA

Morze jest moim językiem obcym

MARTA PILARSKA

—

ciągle się uczę
mówić w tobie
powtarzam fale
wszystko to cykle
chrzęści w zębach
piasek
piasek
układam na języku
a ty się rozlewasz
wciąż nie mówię
biegle
wciąż jeszcze i jeszcze
ćwiczyć do upadłego
mówić
opowiadać
morzyć się
morszczyć się
morznąć

MARTA PILARSKA

czytelniczka, wydawczyni, redaktorka poezji, księgarka, instagramerka, aktywistka literacka, felietonistka magazynu „Ryms", poetka przed debiutem książkowym.

eprasa.pl d281880d2c

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.

Mecenasem cyklu „W kadrze" jest **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

eprasa.pl d281880d2c

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI
cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**

—

WOJOWNIK W LILAKOWEJ ZBROI (2024)

To metafora ukraińskich wojowników z przeszłości i teraźniejszości, którzy z jednej strony chronią życie, a z drugiej – niosą śmierć

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

eprasa.pl d281880d2c

Drobne akty nieżyczliwości

tekst MACIEJ MARCISZ

—

Weronika powiedziała, że masz naprawdę okropny gust", usłyszałem od przyjaciółki. To było po kolacji, którą zjedliśmy z Weroniką u mnie w domu.

Kilka tygodni później Weronika, znajoma, choć nie przyjaciółka, przepadła na dłuższy czas. Wyjechała do Londynu nie wiadomo po co. Może żeby wreszcie zabłysnąć, może żeby rozpłynąć się w powietrzu, może żadne z powyższych. Im dłużej nie było jej w mieście, tym częściej natykałem się na pozostawione przez nią gówienka nieżyczliwości. Mimo że stare i zeschnięte, nadal jechały żółcią z jej układu pokarmowego.

„Weronika napisała, że wyglądasz na tych zdjęciach jak pedofil".

Uzbrojony w rękawiczki ochronne, ostrożnie klękałem, by te gówienka zbierać. Mimo że były dziwne i obrzydliwe, wkładałem je do kieszeni jak znalezione na szczęście kasztany. Chciałem więcej.

„Maciek w pracy nie jest taki, jak z nami. Jest takim gejem… wiesz jakim. Takim przegiętym".

Każdy z nas ma kogoś takiego w swojej orbicie. Osobę, którą zaprasza się na dużą imprezę, ale nie mówi się jej o pobycie w szpitalu. Kogoś, od kogo zawsze chętnie usłyszymy, co tam słychać, choć raczej nigdy nie będziemy zajmować się jego kotem. Kogoś z drugiego planu.

„Maciek fatalnie wygląda. Może i nie ubiera się tak ekstrawagancko jak niektóre pedały, ale i tak nic do siebie nie pasuje. Chyba dlatego, że ma niefortunną figurę".

Z Weroniką poznaliśmy się na warsztatach literackich, gdy mieliśmy po dwadzieścia parę lat. Ja pisałem prozę, ona wiersze. Zawsze ubierała się na czarno, nie jadła mięsa i miała duży talent. Oboje szybko zaczęliśmy publikować. Jej wiersze były krótkie i celne, miały w sobie głębię i miejski mrok. Pisane jakby od niechcenia, uderzały najczęściej na początku lub w okolicach przedostatniej linijki. *Twoja dziwna skłonność / do nocnych pobudek i zajadania się / farbą zdrapywaną wprost ze ścian*. Do dziś pamiętam te trzy wersy.

Weronika miała ironiczne poczucie humoru i emanowała trudną do sfabrykowania fajnością, cechą, której bardzo się pożąda, kiedy ma się dwadzieścia kilka lat. To była jej karta wstępu na najlepsze imprezy i łamy czasopism literackich. Chciało się ją mieć w swojej drużynie. Lubiła Michela Houellebecqa, Thomasa Bernharda, Ingeborg Bachmann. Później – kiedy zrobiła się na niego moda – czytywała Karla Ove Knausgårda. Wypowiadane przez nią zdania, często sentencjonalne i zasadnicze, potrafiły zrobić wrażenie. Lubiłem jej outsiderstwo. „Wszystko może nas spotkać w życiu, przede wszystkim zaś nic", powtarzała za Houellebecqiem co jakiś czas.

Mimo dzielących nas różnic zakładałem, że jest między nami jakiś sojusz, pokojowe współbycie. Jak w tym memie z mrocznym domem i jego różowym odpowiednikiem stojącymi obok siebie przy plaży. Weronika bywała u mnie, choć najczęściej jako element jakiejś większej grupy. Spędzaliśmy razem urodziny. Zawsze wymyślała kreatywne prezenty, zabawne i przyjemne dla obdarowywanych. Jeśli składała się na prezent, brała go na siebie i już nie trzeba było się martwić, że przyniesiemy coś słabego. Jeździliśmy na festiwale. Patrzyliśmy wspólnie na sylwestrowe fajerwerki. Znałem każdego z jej chłopaków i niektórych przyjaciół z dzieciństwa. Czasem pisała do mnie z prośbą o radę.

Kilka jej pierwszych komentarzy trafiło do mnie przypadkiem. Ludzie zaczęli się nimi ze mną dzielić po tym, jak opuściła miasto. Kiedy okazało się, że – pijana lub naćpana – mówiła o mnie to i owo w większym gronie, nawet przy mojej najbliższej przyjaciółce, na festiwalu muzycznym, zrozumiałem, że musiała robić to przy wszystkich. Zacząłem, bardziej lub mniej jawnie, poszukiwać jej słów. W trakcie spotkań towarzyskich kierowałem rozmowę na jej temat, w nadziei, że czegoś się dowiem. Nie mogłem przestać.

eprasa.pl d281880d2c

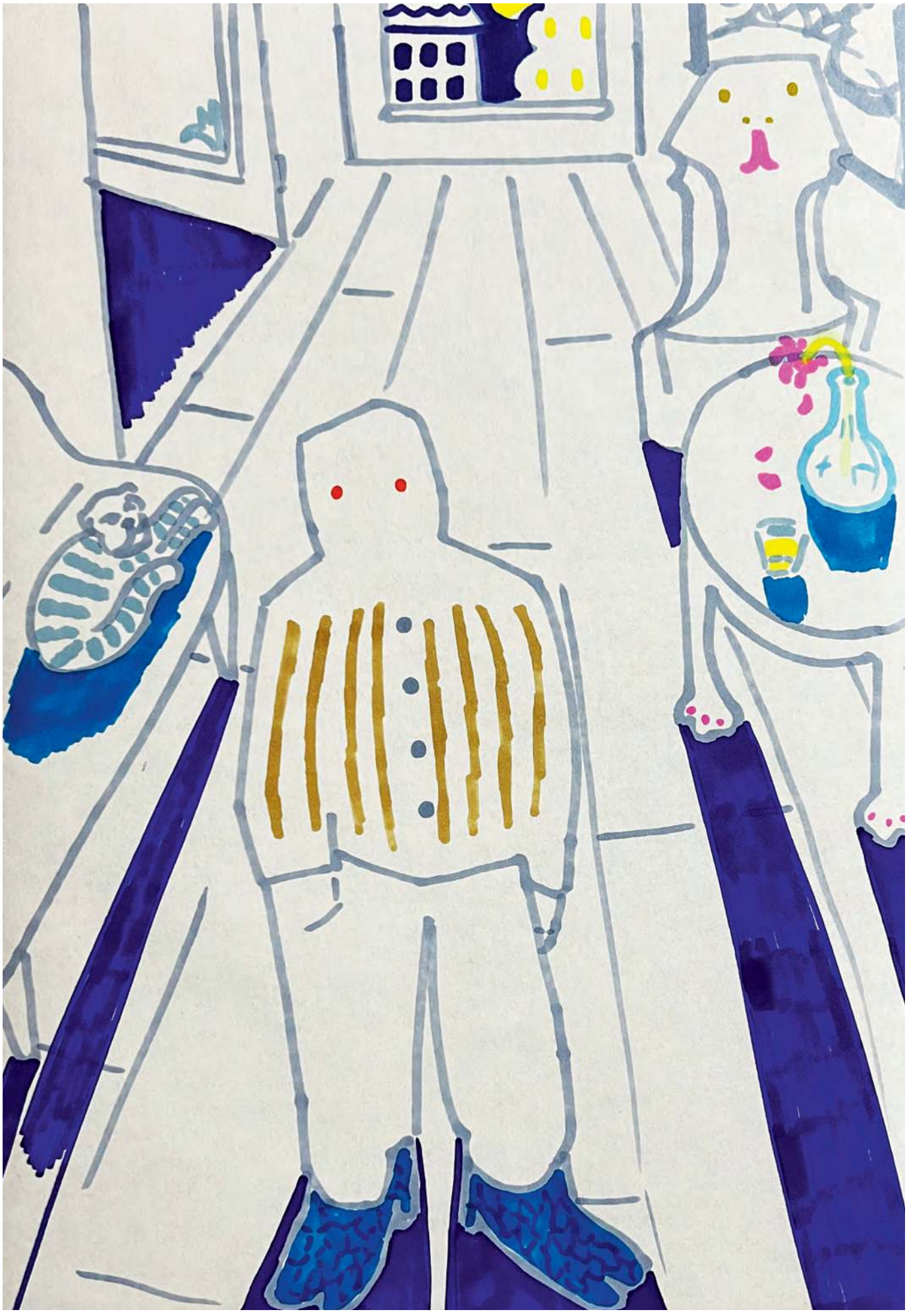

rysunek JAN MOŻDŻYŃSKI

eprasa.pl d281880d2c

MACIEJ MARCISZ, autor powieści: *Taśmy rodzinne* (2019), *Książka o przyjaźni* (2021) i *Znaki zodiaku* (2024). Opowiadania i eseje publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Znaku" i „Vogue Polska". Współzałożyciel Nowego Klubu Czytelniczego i Klubu Literackiego Empiku. Od lat pracuje w Grupie Wydawniczej Foksal.

„Banda nieciekawych ludzi. Maciek pewnie pojechał tam, by pławić się w swoim sukcesie" – skomentowała w obecności znajomej zdjęcie ze spotkania piętnaście lat po maturze, które dodałem do mediów społecznościowych. Weronika zawsze dzieliła ludzi na ciekawych i nieciekawych, jak gdyby była to cecha, którą można się zarazić. Miała na tym punkcie obsesję, jakby sama była tylko pustym szklanym naczyniem, zbyt podatnym na współobecność innych.

Nasze ścieżki przecinały się prywatnie i zawodowo, jak to często bywa w kręgach artystyczno-kulturalnych. Zdarzało nam się w dzień wspólnie pracować przy projektach, a po południu widzieć się na imprezie lub wieczorze poetyckim. Czułem, że zawsze mogę liczyć na jej lodowatą, chirurgiczną szczerość. Kiedy łapaliśmy się spojrzeniami, szczególnie w pracy, odnosiłem wrażenie, że i ona, i ja miewamy trochę nieprzyjemne, a trochę zabawne poczucie, że żyjemy w symulacji. Fakt, że obok był ktoś, kto czuje podobnie, dodawał mi otuchy. Rzadko byliśmy sobą zmęczeni.

Lata mijały. Wpadliśmy w wir pracy, pandemia przerwała cykl imprez, które organizowałem w moim mieszkaniu. A potem nikt nie miał już czasu dla dalszych znajomych. Zacząłem publikować książki, życie się wypełniało. Weronika, tak jak ja, po okresie artystyczno-projektowym zaczęła etatową pracę. Mniej więcej w tym czasie przestała bywać i regularnie aktualizować swoje media społecznościowe, stała się zagadką. Co jakiś czas publikowała nowe utwory, najczęściej pod tytułem „cztery wiersze" lub „zestaw wierszy". Od kilku lat w jej biogramie widniała informacja, że przygotowuje debiutancki tom poetycki.

„Tak bardzo widać, że Maciek się stara. Strasznie to jest krindżowe".

„Niezbyt dobrze się starzeje".

„Wiecie może, czy Maciek zrobił sobie botoks? Jego czoło na filmikach jest mocno nieruchome".

„Jak dla mnie marnuje swój talent. Co to ma być, powieść dla blogerek książkowych?"

„Widzieliście tę listę książek roku Maćka? Nie wierzę, że on to wszystko czyta".

„Czy Ania całkowicie zastąpiła już Maćkowi chłopaka?"

Weronika, jak się dowiadywałem, zauważała i komentowała każdy większy przyrost i spadek mojej wagi. Czytała moje teksty, robiła i udostępniała w wiadomościach screenshoty mojej aktywności w mediach społecznościowych. Choć nie mieliśmy już bliskiego kontaktu, a może właśnie dlatego, tworzyła teorie na temat moich przyjaźni, relacji romantycznych i rodzinnych. Była zażenowana moimi ambicjami i próbami ich spełnienia.

W którymś momencie każda kolejna porcja jadu zaczęła wywoływać we mnie mieszankę ekscytacji, smutku i przerażenia. Miewałem mdłości, ale niekiedy czułem też przyjemność podobną do tej odczuwanej w momencie, w którym ktoś robi nam na ręce pokrzywę. Może i sprawia nam przykrość, ale równocześnie skupia na nas dużą część swojej uwagi. Po każdej porcji nowych tekstów Weroniki moje ego zasypiało najedzone snem pełnego brzuszka.

Kolejnego dnia mój chód stawał się niepewny i krzywy, często oglądałem się za siebie, by sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje. Robiłem się przesadnie miły dla obsługi sklepowej, dalszych znajomych i współpracowników. Na wszelki wypadek w miejscach publicznych delikatnie się uśmiechałem, by nie mieć skrzywionego ryja. Cokolwiek robiłem, na moim ramieniu siedziała miniaturowa Weronika, gotowa skomentować każdy mój ruch. Stałem się nieprzyjemnie samoświadomy, zrobiło mi się niewygodnie we własnej skórze. Nigdy nie powinniśmy się dowiadywać aż tyle o tym, co ludzie mówią za naszymi plecami.

Ale kiedy wiedziałem już trochę, chciałem wiedzieć wszystko. Nie było odwrotu.

– Zobacz – mówiłem do swojego chłopaka, pokazując moje stare zdjęcia w telefonie – może rzeczywiście miałem niefortunną figurę?

Myślami wracałem do wszystkich naszych spotkań z Weroniką. Były momenty, kiedy wydawało mi się, że jesteśmy na granicy rozpoczęcia przyjaźni; dzieliła się ze mną prywatnym wyznaniem, głośno śmiała się z moich żartów, mówiła, że szybko musimy zobaczyć się ponownie. Potem jednak znikała. Może robiła to wszystko tylko dla fabuły. Ostatni raz widziałem ją dwa lata temu. Wpadliśmy na siebie na ulicy któregoś sobotniego poranka, odprowadziłem ją do domu, a kiedy byłem już pod drzwiami, zaprosiła mnie na herbatę. Przegadaliśmy kilka godzin. „Brakowało mi jej", myślałem wtedy.

– Jak to jest osiągnąć sukces, Maciek? – spytała w pewnej chwili.

Co miałem jej powiedzieć? Że sukces to przezroczyste i bezzapachowe pojęcie, za którym niewiele się kryje? Że potrzeba sukcesu, artystycznego czy komercyjnego, choć istnieje, jest tylko jedną ze składowych twórczego pragnienia? Że sukces jest narzędziem narzucenia swojego punktu widzenia światu, czego moim zdaniem pragnie większość artystów? Że kto nie prosi, ten nie dostaje? Może powiedziałbym jej to i więcej, gdybym wiedział, co o mnie myśli i mówi. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Odpowiedziałem więc tylko:

– Nie wiem.

Kilka miesięcy po tym spotkaniu Weronika przyjęła zaproszenie na kolację ode mnie i mojego chłopaka. Przyniosła ze sobą ciasto z autorskiej cukierni. Obserwowała, jak jemy, sama nie tykając nawet okruszka. Używała teraz bardziej niszowych perfum, a jej włosy stały się jeszcze ciemniejsze. Oprócz tego nie zmieniła się ani trochę, a przynajmniej tak mi się wydawało. Mówiła o pracy, która bardzo ją angażowała. Dużo się śmialiśmy, jej poczucie humoru pozostało wisielcze i ostre. Sugerowała, że w jej życiu prywatnym niewiele się dzieje. „Wszystko może nas spotkać w życiu, przede wszystkim zaś nic", podsumowała. Spytałem ją o pisanie. Powiedziała, że je zarzuciła. Że już nie pisze i niewiele czyta. Opowiadała o swojej poezji jak o nastoletniej fanaberii, podobnej do bycia emo lub do pragnienia zostania aktorką po szczególnie udanym występie w szkolnym przedstawieniu. Nie chciałem w to wierzyć. Miała duży talent, szkoda, żeby się zmarnował. Zwinęła się o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt. Następnego dnia poinformowała kilka osób, że mam naprawdę okropny gust.

Kilka miesięcy później wyjechała. Dowiedziałem się, że przez pewien czas prowadziła ze znajomymi na czacie grupę anty-Maciek, w której publikowali najlepsze kąski na mój temat. Cisnęli ze mnie bekę. Większość wiadomości kończyli

eprasa.pl d281880d2c

uniwersalnym szyderczym ornamentem „xd”, który z jednej strony dodawał rzekomej błyskotliwości tekstom, a z drugiej zapobiegawczo sugerował, że to wszystko przecież nie jest na poważnie. Ze wszystkich osób na grupce interesowała mnie tylko ona, reszta była bez znaczenia.

Miotałem się między gniewem a poczuciem krzywdy i izolacji. Nie wiedziałem, jaką lekcję z tego wyciągnąć i czy w ogóle jakakolwiek istnieje. Niektórzy mówią, że każdy z nas ma swój cień, negatywny archetyp, stronę, która skupia najgorsze rzeczy, do których jesteśmy skłonni. Naszym karmicznym zadaniem jest tego cienia unikać lub go przezwyciężyć.

W moim życiu zawsze byli jacyś ludzie, którzy mnie prześladowali. Ubrani na czarno chłopaki i dziewczyny z mat-fizu w lśniących martensach śmiali się ze mnie, ironizowali na temat moich pozalekcyjnych aktywności, sugerowali, że ci, którzy mnie lubią, są w błędzie. Że dają się nabrać. Że jestem pozerem. Oni słuchali prawdziwej muzyki – Nirvany, Korna, Metalliki, System of a Down – nie to co ja. Mieli obsesję na punkcie autentyczności, którą sam od zawsze intuicyjnie uważałem za głupią i śmieszną, choć nie potrafiłem tego tak dobrze zwerbalizować jak teraz. Autentyczność i bycie *true* samo w sobie jest konwencją, spreparowanym produktem, który kupuje się, by móc lepiej poczuć się ze sobą. Może jedyne, co niektórym zostaje, to wieczne odtwarzanie fałszywej licealnej dychotomii. Metale kontra tipsiary. Behemoth *versus* Britney Spears. Albo Sándor Márai, albo Sally Rooney. Nieprzerwany, nużący korowód ludzi czerpiących satysfakcję z udowadniania, że osoby niejedzące wyłącznie tego, co gorzkie w smaku, są głupie, tępe i pozbawione gustu.

Opowiedziałem tę historię o Weronice przyjaciółkom na świątecznym spotkaniu.

– Moja teoria jest taka, że wszyscy metale, których znałam, w dorosłości stali się konfiarzami albo naziolami – skomentowała Julia. – Mówię wam, grundżowcy wyrastają na lewaków, a metale na nazioli.

Na potwierdzenie swojej tezy zaczęła wyszukiwać w internecie członków zespołów metalowych, którzy kogoś zamordowali. Śmialiśmy się, że w obronie przyjaciela

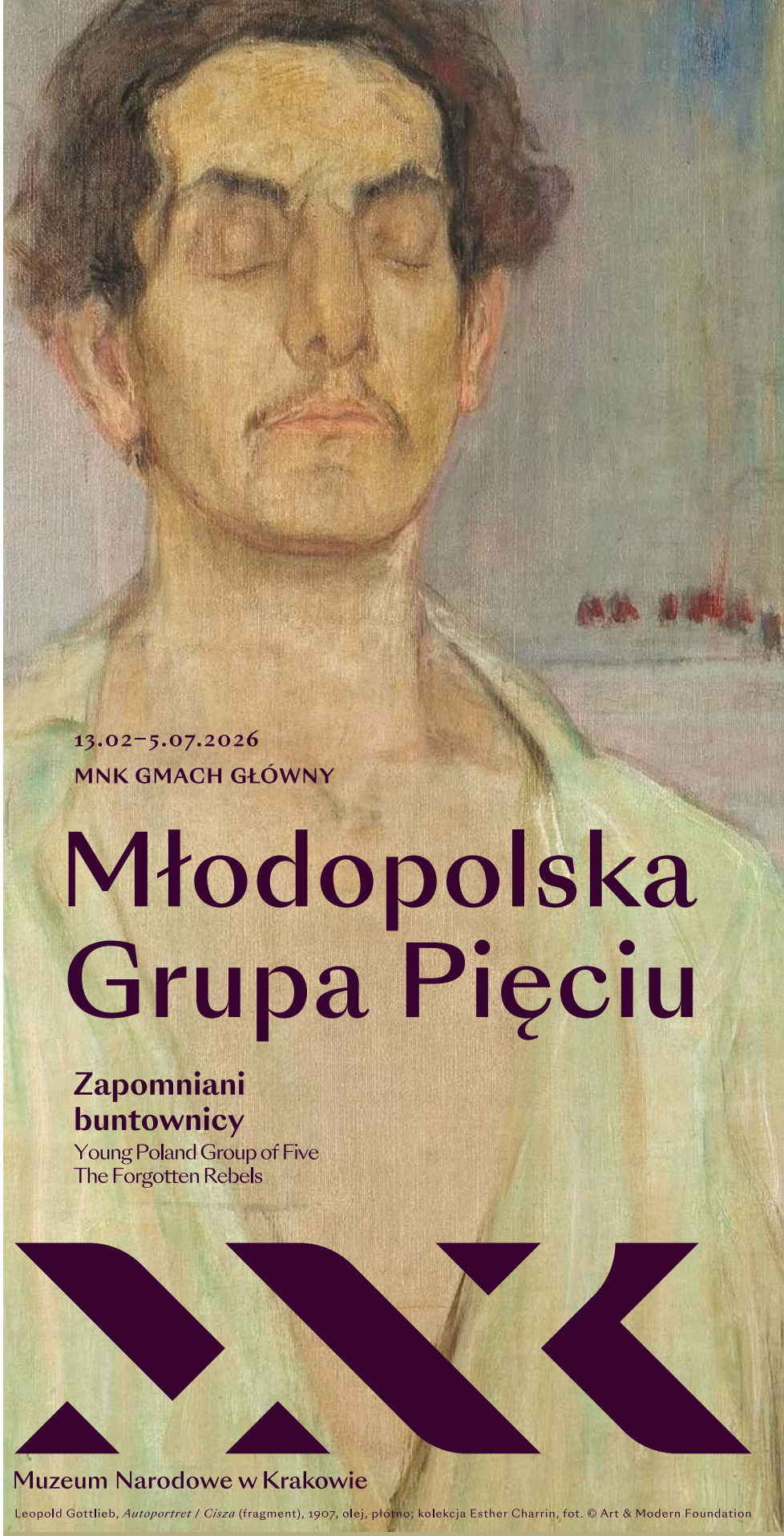

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Mecenas MNK
Partner Strategiczny MNK
Partner promocyjny
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PGE
TOTALIZATOR SPORTOWY
7 LAT
ams
eprasa.pl d281880d2c

gotowa jest porównać niechętną mu osobę do mordercy i nazisty. Ale Weronika nie była morderczynią, nie była też nazistką. Zawiniła tylko drobnymi aktami nieżyczliwości. „Dam radę", powiedziałem sobie. Na pewno nie było mi tak przykro, jak mogłoby być. Przez lata wystawiałem swoją twórczość na widok publiczny, a przez to i samego siebie na oceny i krytykę. Moja skóra się utwardziła. Choć nie była nieprzepuszczalna, na pewno nie wchłaniała każdej toksycznej substancji, z jaką miała styczność. Zawsze dobrze życzyłem Weronice i przekonywałem siebie, że to się nie zmieniło. Teraz tylko wiedziałem, że nie mogę dłużej pozwalać jej złemu oku być blisko mnie.

– Myślę, że powinieneś już przestać. Nie potrzebujesz wiedzieć więcej – dodała Julia. Powoli zacząłem żegnać się z tematem.

Zasypiałem, wmawiając sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Że jak zwykle tak naprawdę nic mi się nie stało. Że nie ma niczego dziwnego w byciu krytykowanym czy wyśmiewanym, kiedy coś się robi. Moje zaskoczenie czy uraza świadczyły jedynie o naiwności. Ale Weronika nie była dowolną osobą z pola literackiego, nie była randomem z internetu. Brałem jej zdanie pod uwagę, wysłałem jej manuskrypt pierwszej powieści i wprowadziłem naniesione uwagi. Gościła w moim domu wielokrotnie, przyprowadzała do niego swoich znajomych, jadła moją pizzę, głaskała psy moich rodziców, widziała mnie w majtkach, współdzieliła taksówki i papierosy, zamawiała razem ze mną lancze. Miała do mnie dostęp.

„Niech wypierdala", mówiłem sobie, próbując zasnąć. Robiło mi się lepiej. Niech etycznie i artystycznie wypierdala. Dlaczego powinno mnie obchodzić, co myśli? Ma ponad trzydzieści lat i nadal cytuje Houellebecqa, uważając, że to błyskotliwe. Ubiera się na czarno i myśli, że to oznaka smaku, a nie najprostszy sposób na zatajenie braku gustu. Napierdala na ludzi, którzy próbują coś zrobić, podczas gdy sama nie zrobiła niczego. Myli okrucieństwo z błyskotliwością, a czarnowidztwo z przenikliwością. Widzi wszystko jako parszywe, bo sama jest parszywa. Próbuje wszystkich unieruchomić, zatrzymać w rozwoju, zamknąć w formalinie swoich przeterminowanych wyobrażeń. Chce, by ludzie byli tacy jak kiedyś, bo wtedy, kiedy ich poznała, byli prawdziwi, a potem, kiedy spróbowali zawalczyć o więcej, stali się za bardzo. Ukrywa się za ironią, ale ironia pozbawiona treści stała się wyłącznie manierą. Jung pisał, że świat pełen jest ludzi cierpiących z powodu własnego nieprzeżytego życia. Stają się zgorzkniali, zesztywniali i cyniczni, bo zdradzili swoje możliwości. Artysta, który nie tworzy sztuki, staje się cyniczny wobec tych, którzy ją robią. Niech wypierdala.

„Nic mi się nie stało", myślałem, „zapomnę o tym". Największą tragedią byłoby, gdyby Weronika oceniała siebie tak samo okrutnie jak mnie i innych ludzi. Wyobrażałem sobie, jak otwiera plik z wierszami wybranymi do debiutanckiego tomu i za każdym razem któregoś się pozbywa, bo każdy po czasie wydaje jej się troszkę zbyt krindżowy, aż w końcu nie zostaje ani jeden. Wyobrażałem sobie, jak patrzy na siebie z tą samą pogardą, co na mnie. Jak się kontroluje, żeby nie wyjść na osobę, której za bardzo zależy, która głupio się ubiera, która jest nieciekawa.

Wszedłem w nasz stary czat, zacząłem szukać dowodów, czegoś, czegokolwiek. „Bardzo cię lubię, Maciek", napisała raz. Łączyła ją ze mną najwyraźniej podwójna nić sympatii i antypatii, tak mocno spleciona, że nie dało się jej rozdzielić.

Nadeszły święta. Miasto spowił śnieg. Biały, niewinny puch sprawił, że świat stał się miękki i tkliwy, wieczory były ciemne, a każdy kolejny dzień zimniejszy. Nad miastem unosiła się atmosfera wybaczenia wszelkich win. Tymczasem Weronika odezwała się do mnie esemesem, że wróciła na przerwę zimową do Polski, że dawno nie mieliśmy kontaktu i fajnie byłoby się spotkać, by powspominać dawne czasy. „Dobre sobie", pomyślałem.

Rozświetliłem choinkę, którą trzymałem już zdecydowanie za długo. Z szuflad wyciągnąłem wszystkie durnostojki, które ktoś nieżyczliwy mógłby uznać za niegustowne, tylko dlatego że miały czelność mienić się kolorami i sprawiać mi radość. Założyłem maksymalną liczbę wzorzystych, niepasujących do siebie ubrań.

Zadzwonił dzwonek. Weronika pomachała przez oko kamery torbą z prezentem. Nadal nie wiedziałem, co zrobię. Fantazjowałem o tym momencie, ale wszystko, co wcześniej chciałem powiedzieć, wydawało mi się nieskuteczne i bez znaczenia. Może szykowałem mieszkanie na jej wizytę tylko po to, by mogła poniewierać mną przez kolejne miesiące. Może robiłem to dla fabuły; nie byłby to pierwszy raz, kiedy świadomie wprowadzałem się w dyskomfort tylko po to, by przeżyć coś nowego. Może ona robiła tak samo.

Odczekałem, nacisnąłem przycisk domofonu, a chwilę później usłyszałem z klatki dźwięk rozsuwających się drzwi windy.

Fragment wiersza to przetworzony cytat z *Autoportretu jako jebnięty popapraniec* Timothy'ego Liu w przekładzie Michała Tabaczyńskiego.

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**

eprasa.pl d281880d2c

POEZJA

Pasażerka

KRYSTYNA DĄBROWSKA

—

Jak ciężki owoc ścięty snem ląduje mi na ramieniu
głowa nieznajomej, która jeszcze przed chwilą
stojąc w kolejce do metra, pilnowała się, żeby
mnie nie dotknąć. Nie, nie musiała się pilnować. Jej ciało
od dzieciństwa bezwiednie manewruje w tłumie
bez potrącania innych, tak samo wyszkolonych ciał.
Na jednej ze stacji, w akwarium o kształcie bulaja
podobna choreografia rządzi baletem meduz:
zbliżają się do siebie i już się prawie plączą,
ale się wymijają, nigdy się nawet nie musną.
Gdyby nas sobie przedstawiono, mnie i tę nieznajomą,
na przykład wczoraj wieczorem, po dyskusji w księgarni,
w hipsterskiej, pełnej barów Shimokitazawie,
pewnie podałaby mi z lekkim ukłonem, oburącz,
kartonik o ostrych krawędziach – swoją wizytówkę.
Przyjęłabym go oburącz, z ukłonem. Nasze palce
dzieliłoby pół centymetra, bezmiar nie do przebycia.
Jednak dziś w metrze ona, nie mająca czasu
na księgarnie i bary, po godzinach pracy
długich jak eony odpływa – nie tam, gdzie w błędnym kole
od narodzin do śmierci unoszą się meduzy,
tylko dalej, daleko, gdzie nikt jej nie dogoni.
A gdy jest poza zasięgiem innych i siebie samej
i może wtedy ze sobą samą w zgodzie,
opiera ufnie głowę na obcym ramieniu.
Co robić? Staram się nie poruszyć.
Myślę o poduszce z dawnej przypowieści,
przedmiocie godnym czci, opoce snu człowieka.
W tym momencie metro staje, drzwi się otwierają
i nieznajoma, nie patrząc na mnie, zrywa się do wyjścia,
zostawiając za sobą puch w powietrzu.

KRYSTYNA DĄBROWSKA

poetka, eseistka, tłumaczka. Autorka wielu tomów poetyckich, ostatnio ukazały się *Wiersze wybrane* (2025). Laureatka Nagrody Kościelskich, Nagrody im. Wisławy Szymborskiej i Nagrody Literackiej m. st. Warszawy. Za wiersz *Biuro podróży/Travel Agency* w przekładzie Antonii Lloyd-Jones otrzymała Pushcart Prize (2024), a tom *Tideline* (Zephyr Press 2022) nominowano do Derek Walcott Prize for Poetry i National Translation Award in Poetry (2023).

eprasa.pl d281880d2c

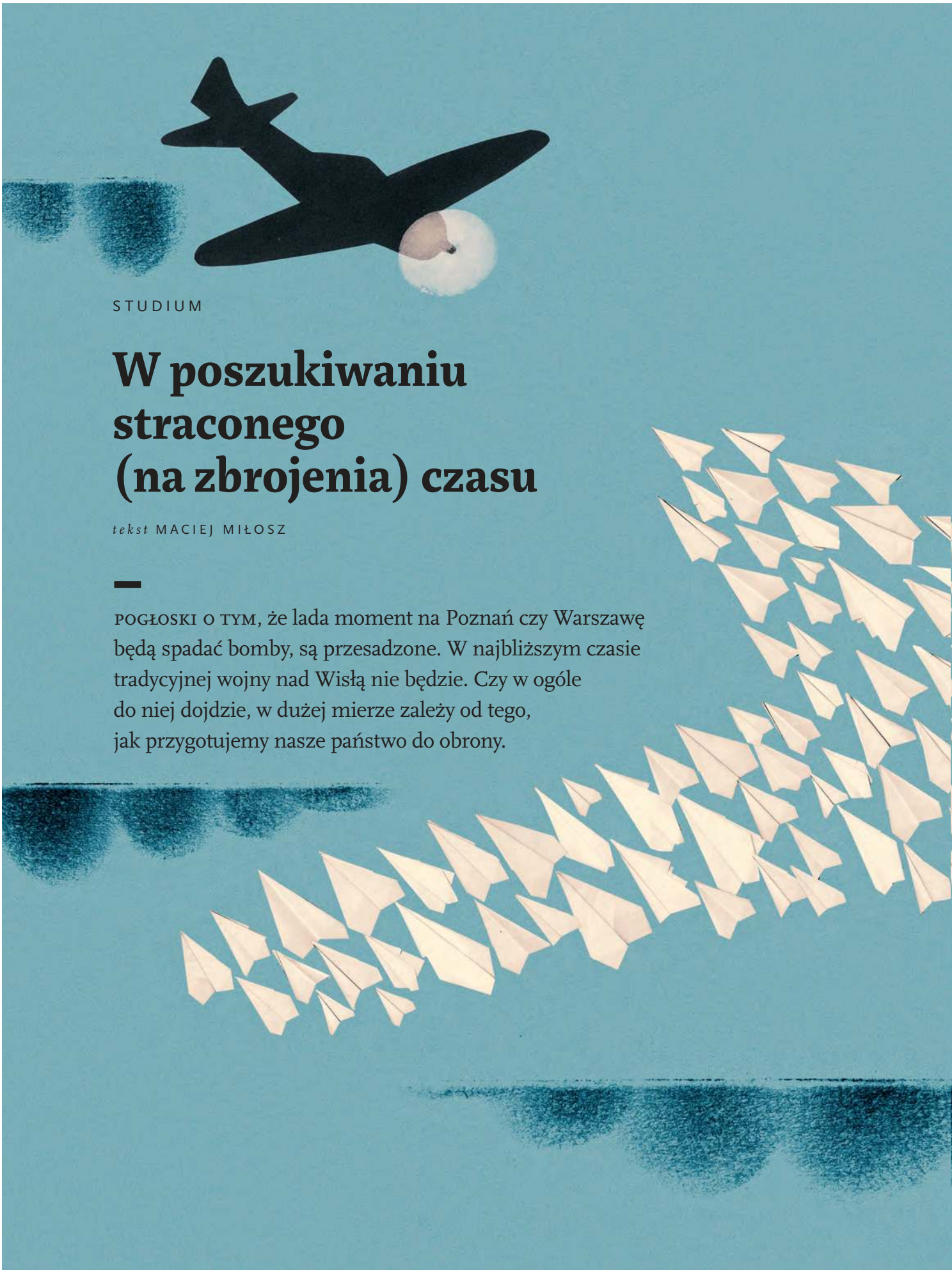

STUDIUM

W poszukiwaniu straconego (na zbrojenia) czasu

tekst MACIEJ MIŁOSZ

POGŁOSKI O TYM, że lada moment na Poznań czy Warszawę będą spadać bomby, są przesadzone. W najbliższym czasie tradycyjnej wojny nad Wisłą nie będzie. Czy w ogóle do niej dojdzie, w dużej mierze zależy od tego, jak przygotujemy nasze państwo do obrony.

rysunki JAKUB KAMIŃSKI

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

MACIEJ MIŁOSZ, dziennikarz „Rzeczpospolitej", autor podcastu *Przedwojnie* w TOK FM. Od ponad 10 lat specjalizuje się w szeroko rozumianej obronności i opisuje rozwój przemysłu zbrojeniowego. Absolwent Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa – stwierdził generał Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w październiku 2024 roku, podczas inauguracji roku akademickiego w jednej z ważniejszych uczelni wojskowych w Polsce – Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu. W lipcu 2025 roku premier Donald Tusk relacjonował swoją rozmowę z amerykańskim generałem Alexusem G. Grynkewichem, który pełni funkcję naczelnego dowódcy sił Sojuszu Północnoatlantyckiego (North Atlantic Treaty Organization, NATO) w Europie. Wojskowy mówił, że Rosja będzie gotowa do konfrontacji z Zachodem, a więc także z nami, już w 2027 roku. W podobnie alarmistycznym tonie wypowiadają się również inni politycy. Na przykład niemiecki minister obrony Boris Pistorius w czerwcu 2024 roku podczas przemówienia w Bundestagu stwierdził: „Musimy być gotowi na wojnę do 2029 roku. Musimy zapewnić środki odstraszające, aby zapobiec najgorszemu".

Więc jak jest? 2027 czy 2029 rok? Kiedy przyjdzie ta wojna do Polski i dalej – na Zachód? Słuchając wypowiedzi polityków w wiadomościach lub czytając tylko nagłówki w portalach, można czasami dojść do wniosku, że nie pozostało nam już nic innego, jak tylko robić zapasy weków, ryżu czy chińskich zupek i szykować się na najgorsze. Ewentualnie mieć cały czas pełen bak w samochodzie, by móc w każdym momencie wsiąść, odpalić silnik i ruszyć – na Zachód właśnie. Ale hola, hola, nie tak szybko. Uspokajam. Mimo tych mało optymistycznych wypowiedzi ryzyko tego, że w Polsce wkrótce będziemy mieli do czynienia z tradycyjną, wielkoskalową wojną i że wojska Federacji Rosyjskiej będą bombardować Białystok bądź Lublin niczym Charków czy Kijów, jest znikome. Dlaczego?

NAJPROSTSZA ODPOWIEDŹ jest taka, że na razie nie ma czym. Szacunki Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy mówią, że pod koniec 2025 roku w Ukrainie przebywało około 700 tysięcy żołnierzy najeźdźcy, czyli ponad połowa wszystkich wojskowych służby czynnej Federacji Rosyjskiej. A trzeba pamiętać, że to olbrzymi kraj, który nie tylko zbrojnie napada inne państwa, ale musi strzec także własnych granic. Tych lądowych ma ponad 20 tysięcy kilometrów (z czego zaledwie 210 kilometrów z Polską), morskich – prawie dwa razy więcej. To też kraj, który musi mieć olbrzymią biurokrację, by przeprowadzać pobór.

Jak długo Rosja będzie próbowała podbijać Ukrainę – gdzie traci około 30 tysięcy żołnierzy miesięcznie – tak długo nie będzie zdolna do przeprowadzenia innej dużej akcji zbrojnej. A nawet jeśli już dojdzie do zawieszenia broni, rozejmu czy – co dziś trudno wyobrażalne – pokoju, to i tak duża część sił rosyjskich będzie najpewniej zgrupowana na terenach okupowanych czy też bezpośrednio z nimi graniczących.

Tu trzeba jednak zastrzec, że równolegle do akcji w Ukrainie Rosja ma potencjał do tak zwanych działań poniżej progu wojny. Niektórzy nazywają je wojną hybrydową, a ich przykładem jest chociażby podłożenie ognia w halach targowych przy ulicy Marywilskiej w Warszawie, które było częścią szerszego planu. „W toku śledztwa uzyskano materiał dowodowy pozwalający na ustalenie, iż pożar ten był wynikiem podpalenia dokonanego przez członków zorganizowanej grupy przestępczej działającej na zlecenie wywiadu Federacji Rosyjskiej. Celem działania grupy było dokonywanie podpaleń obiektów wielkopowierzchniowych na terenie państw Unii Europejskiej. Grupa ta jest odpowiedzialna również między innymi za podpalenie sklepu IKEA w dniu 9 maja 2024 roku w Wilnie" – informowała Prokuratura Krajowa w maju 2025 roku.

Jako działania poniżej progu tradycyjnej wojny można też traktować listopadowe wysadzenie torów kolejowych na trasie Warszawa–Dęblin. Premier Donald Tusk tuż po tym incydencie stwierdził, że celem było najprawdopodobniej wysadzenie pociągu. Do tej samej kategorii można przypisać liczne incydenty związane z niszczeniem infrastruktury podwodnej na Bałtyku. Dochodziło do nich na przykład w ten sposób, że statki – zazwyczaj z rosyjskimi obywatelami na pokładzie – w okolicach, gdzie są położone między innymi kable do komunikacji, ciągnęły po dnie kotwicę, która je uszkadzała. W odpowiedzi Sojusz Północnoatlantycki w styczniu 2025 roku rozpoczął operację „Baltic Sentry", która poprzez wzmożone patrolowanie ma przeciwdziałać takim incydentom.

Na ile realne jest więc to, że wkrótce weźmiemy udział w tradycyjnej wojnie z użyciem czołgów czy artylerii? Takie pytanie zadałem generałowi Jarosławowi Stróżykowi, szefowi Służby Kontrwywiadu Wojskowego, pod koniec 2024 roku, przeprowadzając rozmowę dla „Rzeczpospolitej". „Musimy brać taki scenariusz pod uwagę. To prawdopodobieństwo zależy w dużej mierze od tego, co sami zrobimy. Każda nasza inicjatywa, dobre działanie, dobre współdziałanie w Sojuszu Północnoatlantyckim powodują, że to prawdopodobieństwo się zmniejsza. W oczywisty sposób kraje bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia martwią się bardziej, bo są mniejsze" – podkreślał oficer. (Warto pamiętać, że w tych dwóch ostatnich państwach jest liczna mniejszość rosyjska). W podobnym tonie mówił szef sztabu generał Kukuła – kilka tygodni po głośnej wypowiedzi o pokoleniu, które stanie do wojny. „To, czy i kiedy wojna wybuchnie, w pewnym sensie zależy od nas. Atakowanie państwa

eprasa.pl d281880d2c

dobrze przygotowanego do obrony, którego społeczeństwo stanie do walki, jest olbrzymim ryzykiem. Agresja zawsze karmi się słabościami" – wyjaśniał na łamach „Rzeczpospolitej".

Wreszcie trzeba też pamiętać o wielkiej niewiadomej, czyli polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, która za prezydenta Donalda Trumpa przestała być przewidywalna, a momentami staje się wręcz antyeuropejska, co przejawia się także we fragmentach opublikowanej w styczniu Narodowej Strategii Obrony USA, gdzie czytamy o „cenzurze wolności słowa i tłumieniu opozycji politycznej" i o tym, że „Ameryka zachęca swoich politycznych sojuszników w Europie do promowania (...) odrodzenia ducha, a rosnący wpływ patriotycznych partii europejskich rzeczywiście daje powody do wielkiego optymizmu. Naszym celem powinna być pomoc Europie w skorygowaniu jej obecnej trajektorii". Te słowa można interpretować jako rezerwowanie sobie przez Amerykanów prawa do ingerowania w procesy demokratyczne w Europie i promowanie sojuszników ruchu MAGA z prawej strony sceny politycznej.

Jednak wbrew pozorom i twardym słowom, mimo retorycznej inwazji na Grenlandię, na razie nie ma przesłanek dających podstawę do twierdzenia, że za rok czy dwa wojsk amerykańskich u nas nie będzie. „Mamy dziś w Polsce około 9800 żołnierzy i nie dochodzą do mnie żadne oznaki, jakoby ta liczba miała zostać zmniejszona – mówił ambasador USA w Polsce Thomas Rose w wywiadzie opublikowanym w lutym 2026 roku w portalu Rzeczpospolita. – Prezydent Trump na spotkaniu z prezydentem Karolem Nawrockim we wrześniu powiedział, że jeśli to byłoby możliwe, chciałby nawet zwiększyć tę liczbę. (...) to jest decyzja, która należy do prezydenta, do sekretarza wojny, do naszych dowódców. Oni rozstrzygną, jak widzą rozlokowanie naszych wojsk w Europie".

Choć relacje transatlantyckie mocno się oziębiły i są w fazie daleko idącej redefinicji, której efektu jeszcze nie znamy, to przewrotnie można stwierdzić, że to polityka prezydenta Trumpa doprowadziła do tego, że europejscy członkowie NATO wreszcie zaczęli poważnie traktować swoje zobowiązanie do nakładów na obronność. I choć państwa Europy Zachodniej powoli zaczęły je zwiększać w 2022 roku, gdy Putin zaatakował Ukrainę, to jednak wyraźne przyspieszenie widać w 2025 roku, kiedy Trump publicznie zagroził, że nie będzie bronił tych, którzy nie przeznaczają na ten cel wystarczająco dużo. Kolejne amerykańskie administracje apelowały o zwiększenie wydatków od co najmniej kilkunastu lat, ale dopiero nieszablonowe, często wręcz wulgarne zachowania obecnego prezydenta USA sprawiły, że państwa europejskie wreszcie głębiej sięgnęły do portfeli swoich podatników. I tak według danych i najnowszych szacunków publikowanych przez NATO jeszcze w 2023 roku Belgia wydała na obronność zaledwie 1,18 procent swojego produktu krajowego brutto (PKB), a w 2025 roku miało to być już 2 procent. Dla Hiszpanii jest to odpowiednio 1,16 procent i 2 procent PKB. Wydatki Francji wzrosły w tym czasie z niecałych 2 procent do ciut powyżej. Niemcy właśnie znacznie zwiększają swoje plany, ale absolutnym liderem pod tym względem jest Polska, która w 2025 roku szacunkowo przeznaczyła 4,48 procent swojego PKB na obronność.

Ryzyko wojny w Polsce jest więc wprost powiązane z tym, kiedy i jak skończy się wojna w Ukrainie, oraz z tym, co sami – nie tylko jako Polska, ale też jako europejscy sojusznicy NATO – robimy, by się obronić.

—

CO ROBI ZATEM POLSKA, by przygotować się do potencjalnego starcia z Rosją i być na tyle silnym państwem, że koszt agresji stanie się zbyt duży? Na początku warto podkreślić, że my także – przez pierwszych kilkanaście lat po upadku żelaznej kurtyny – korzystaliśmy z tak zwanej dywidendy pokoju, czyli wydawaliśmy na obronność znacznie mniej niż w czasach zimnej wojny. I tak na przykład w 2009 roku było to 1,7 procent PKB, a jeszcze w latach 1984–1985 około 3 procent PKB. Jako Zachód przez krótki czas żyliśmy w przeświadczeniu, że „historia się skończyła" i potrzebne nam będą już tylko tak zwane armie ekspedycyjne do takich działań, jakie u boku Amerykanów prowadziliśmy w Iraku czy Afganistanie. Czyli lekkie, zdolne do szybkiego przerzutu, w których liczba czołgów będzie znikoma. Zmiana nastąpiła w 2014 roku, po nielegalnej aneksji Krymu przez Rosję. Tego roku na szczycie państw NATO w Walii kraje członkowskie podjęły zobowiązanie, że w ciągu 10 lat zwiększą swoje wydatki na obronność do co najmniej 2 procent PKB.

Że to za mało i że gruntowne zmiany są potrzebne nie tylko w budżecie, lecz także w podejściu do armii, większość europejskich polityków ostatecznie zrozumiała najpóźniej na przełomie lat 2021 i 2022, gdy prawie 200 tysięcy żołnierzy rosyjskich i białoruskich w ramach ćwiczeń Zapad przygotowywało się do inwazji na Ukrainę, a Federacja Rosyjska wystosowała do NATO ultimatum, które *de facto* wykluczało nas z Sojuszu, ponieważ jego wojska miałyby zostać wycofane z Polski. Dodatkowo jeden punkt proponowanej przez Moskwę umowy brzmiał: „Uczestnicy będący państwami członkowskimi Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego przyjmują zobowiązania, które uniemożliwiają dalsze rozszerzenie NATO, w tym akcesję Ukrainy, a także innych państw". Wówczas się obudziliśmy. I ruszyliśmy w poszukiwaniu straconego na zbrojenia czasu. Ruszyliśmy na poważne zakupy.

Federacja Rosyjska wystosowała do NATO ultimatum, które de facto wykluczało nas z Sojuszu, ponieważ jego wojska miałyby zostać wycofane z Polski.

eprasa.pl d281880d2c

Co kupujemy? Lista jest naprawdę imponująca. Nie ma sensu wymieniać tutaj wszystkiego (na to nie starczyłoby pewnie całego numeru „Pisma"), ale warto przytoczyć te największe, najbardziej spektakularne zakupy ostatnich lat. Od dziesięcioleci z powodu geografii w Wojsku Polskim dominują wojska lądowe. To właśnie nasza granica lądowa z potencjalnymi przeciwnikami – Rosją i Białorusią – w historii zazwyczaj była tą, przez którą nadchodziło zagrożenie. Dlatego nie powinno dziwić, że jeszcze w połowie 2021 roku ówczesny minister obrony Mariusz Błaszczak oraz wicepremier Jarosław Kaczyński ogłosili zakup 250 amerykańskich czołgów Abrams w najnowszej wersji M1A2 SEPv3. Później dokupiliśmy jeszcze 116 takich używanych pojazdów w starszej wersji. W końcu wojska lądowe czołgami stoją.

To był dopiero początek. W 2022 roku na potęgę kupowaliśmy w Korei Południowej, która ma bardzo rozwinięty przemysł zbrojeniowy. Tam zakontraktowaliśmy kolejnych 180 czołgów – tym razem K2 – a podobną umowę podpisaliśmy także w 2025 roku. Do 366 Abramsów, z których ostatnie zostaną dostarczone do końca tego roku, i 180 K2 już w służbie dojdzie kolejne drugie tyle K2PL. Licząc funkcjonujące od lat w naszym wojsku Leopardy 2 i czołgi PT-91, do 2028 roku będziemy mieli w sumie około tysiąca czołgów. By uzmysłowić sobie skalę tego zakupu: to więcej niż Francja, Wielka Brytania, Niemcy i Włochy… razem wzięte. I co istotne, większość naszych pojazdów można uznać za nowoczesne. Oczywiście są to czołgi różnego typu, co może oznaczać problemy w logistyce, ale działania Ukrainy pokazują, że nawet tak zróżnicowanym arsenałem można sprawnie zarządzać. Docelowo w każdej brygadzie powinny znaleźć się maszyny jednego typu, co tę logistykę pozwoli w pewien sposób uporządkować.

Bardzo mocno postawiliśmy także na artylerię zarówno tę tradycyjną (lufową), jak i rakietową. Ta pierwsza może razić cele naziemne przeciwnika w odległości do 40 kilometrów; druga, na przykład amerykańskie Himarsy, używa pocisków o zasięgu nawet 300 kilometrów. Te zakupy mają pozwolić trzymać przeciwnika na dystans. W Korei zakontraktowaliśmy ponad 360 haubicoarmat K9, a do tego dochodzi niemal 100 polskich Krabów, których seryjna produkcja rozpoczęła się 10 lat temu. Te ciężkie pojazdy, dysponując nowoczesną amunicją 155 milimetrów (do której jeszcze wrócimy), są w stanie razić przeciwnika w odległości nawet 40 kilometrów. A to i tak znacznie bliżej niż artyleria rakietowa, czyli zestawy K239 Chunmoo, które w wersji polskiej, na podwoziach Jelcza i z systemem kierowania ognia Topaz, nazywamy Homarami-K. – One są w stanie zniszczyć cele naziemne przeciwnika nawet w odległości 290 kilometrów. Jeśli chodzi o artylerię, to patrząc na to, co robimy, nawet Amerykanie mówią *chapeau bas* – powiedział mi jeden z najważniejszych generałów w Wojsku Polskim podczas rozmowy *off the record*.

4,48 procent

swojego PKB Polska szacunkowo przeznaczyła na obronność w 2025 roku.

W przyjętym w grudniu Programie Rozwoju Sił Zbrojnych na lata 2025–2039, czyli jednym z kluczowych dokumentów planistycznych – jak twierdzą sami wojskowi – mamy do czynienia ze zmianą paradygmatu. Chcemy odstraszać, nie tylko uniemożliwiając Rosji atak na Polskę dzięki rozbudowie zdolności do obrony, ale też wprowadzając do naszego repertuaru odstraszanie poprzez możliwość kontrataku i głębokiego rażenia celów strategicznych w Federacji Rosyjskiej (na przykład kluczowych lotnisk, z których startowałyby samoloty mające bombardować Polskę, fabryk broni czy rafinerii i elektrowni). Taką strategię starają się wdrożyć Ukraińcy, ale mają zbyt mało środków, by robić to na większą skalę. My obecnie dzięki samolotom F-16 i pociskom JASSM-ER mamy takie możliwości na odległość około 1000 kilometrów. W niedalekiej przyszłości chcemy dysponować sprzętem o znacznie większym zasięgu.

Wracając na ziemię, do licznej artylerii trzeba dodać różnej maści wozy bojowe, specjalistyczne, wreszcie transportery opancerzone. Co ważne, duża część tego sprzętu już trafiła do naszych żołnierzy. Ponieważ w tym najnowszym światowym wzmożeniu zbrojeniowym kupowaliśmy jedni z pierwszych, dostawy realizowane są w stosunkowo krótkim jak na branżę czasie. Zakontraktowane w 2022 roku 430 nowe czołgi dotrą do nas do końca tego roku. Szkolenie żołnierzy z obsługi już trwa.

Od lat eksperci cywilni i wojskowi powtarzają, że zdecydowanie najistotniejszym programem modernizacyjnym polskiej armii jest stworzenie ochrony polskiego nieba. Trafność tej diagnozy potwierdziły rosyjskie ataki rakietowo-dronowe na infrastrukturę krytyczną Ukrainy, choćby ten podczas silnych mrozów na początku stycznia, który pozbawił ogrzewania, a niekiedy też prądu i wody, setki tysięcy mieszkańców Kijowa. Dlatego budujemy zintegrowany wielowarstwowy system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. W sumie przez kilkanaście lat mamy wydać na niego zawrotną sumę około 250 miliardów złotych. Jego górną warstwę stanowi program Wisła, który opiera się na amerykańskim systemie Patriot. Za jego pomocą będzie można zestrzelić pociski czy samoloty przeciwnika w odległości nawet 100 kilometrów. Niższe warstwy to Narew, Pilica i San, które będą mogły razić bliższe cele. Jak to działa? – Najpierw radary muszą wykryć środki napadu przeciwnika, później musimy je zidentyfikować i użyć odpowiedniego efektora [nośnika ładunku bojowego – przyp. red.], by je zestrzelić. Do dyspozycji będziemy mieli różne rodzaje rakiet, armaty 35, 30 i 12,7 milimetrów, ale też tak zwane zagłuszarki do eliminacji dronów – wyjaśnia mi generał Michał Marciniak, pełnomocnik ministra obrony

eprasa.pl d281880d2c

narodowej do spraw budowy systemu zintegrowanej obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

Obecnie mamy między innymi dwie w pełni operacyjne baterie systemu Patriot, a kolejnych sześć wejdzie do służby do 2029 roku. W sumie będą to 64 wyrzutnie. Nie wystarczą, by pokryć cały obszar Polski, a tylko elementy infrastruktury krytycznej, takie jak porty, rafinerie czy największe lotniska i miasta. I tak też będą ustawiane – punktowo, gdzie to jest potrzebne.

Przybywają też kolejne elementy Narwi i Pilicy, a pod koniec stycznia podpisaliśmy umowę na zakup systemu San, który ma się skupiać na przeciwdziałaniu dronom. Jego historia jest dobrym przykładem tego, z jakimi problemami boryka się modernizacja Wojska Polskiego. O tym, że potrzebujemy tego typu rozwiązań, było wiadomo co najmniej od dwóch lat. Koncepcja powstawała w wojsku, ale Sztab Generalny nie znalazł środków na jej realizację. Po tym, gdy w nocy z 9 na 10 września 2025 roku do polskiej przestrzeni wtargnęło niespodziewanie ponad 20 rosyjskich bezzałogowców i okazało się, że nie mamy optymalnych narzędzi, by takie zagrożenia zwalczać, pieniądze „nagle" się znalazły. Umowa zostanie zrefinansowana z unijnego instrumentu SAFE (Security Action for Europe), z którego mamy pożyczyć 180 miliardów złotych na cele związane z obronnością. W odpowiedzi na sprzeciw prezydenta Nawrockiego, który 12 marca zawetował sejmową ustawę wdrażającą SAFE, rząd przyjął stosowną uchwałę, która wetu już nie podlega.

Tamtej wrześniowej nocy działaliśmy w procedurach obowiązujących na czas pokoju, a nie wojny, czyli wojskowi mieli w pewnym stopniu związane ręce. Nie zmienia to faktu, że naszych żołnierzy wspomagały między innymi holenderskie samoloty bojowe F-35. Zakontraktowaliśmy je w 2020 roku, jeszcze przed wielkim przyspieszeniem zakupowym. Pierwsze, najpewniej cztery z 32 zamówionych myśliwców, trafią do nas jeszcze w tym roku, za to już w kolejnym ma to być kilkanaście sztuk. Jednak pełną gotowość operacyjną osiągną dopiero około 2030 roku, gdy zakończą się dostawy.

Marynarze – po latach posuchy, czy może tkwienia na mieliźnie – w ostatnich latach mają powody do zadowolenia. W najbliższych miesiącach podpiszemy umowę na zakup trzech okrętów podwodnych od szwedzkiego Saaba. I choć na ich dostarczenie przyjdzie nam poczekać do kolejnej dekady, to szybciej doczekamy się trzech właśnie budowanych fregat w programie Miecznik (dostawy planowane na lata 2029–2031) czy dwóch okrętów rozpoznania radioelektronicznego (wyposażonych w sprzęt służący do namierzania i analizy obcych transmisji radiowych) z programu Delfin. W temacie rozpoznania w ostatnich latach – kupując duże satelity od Airbusa czy te małe od takich firm, jak Iceye

WIOSNA W PALMIE

Gdańsk-Wrzeszcz, Jaśkowa Dolina 4/11

28.04, 19:00 SPOTKANIA FILOZOFICZNE:
F. NIETZSCHE I

29.04, 19:00 PO DRUGIEJ STRONIE:
TOMASZ SŁOMCZYŃSKI

14.05, 19:00 SPOTKANIA FILOZOFICZNE:
F. NIETZSCHE II

20.05, 19:00 PO DRUGIEJ STRONIE:
ANNA KAMIŃSKA

31.05, 12:00 W SAMO POŁUDNIE:
SZYMON PIMPON GĄSIOREK

13.06, 19:00 W SAMO POŁUDNIE:
RAPHAEL ROGIŃSKI & IZTOK KOREN

25.06, 19:00 SPOTKANIA FILOZOFICZNE:
F. NIETZSCHE III

Fundacja Palma — Organizator

GDAŃSK — Dofinansowano ze środków Miasta Gdańska

Pismo. — Patroni medialni

trojmiasto.pl

NOWE IDZIE OD MORZA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Koncerty W SAMO POŁUDNIE dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

eprasa.pl d281880d2c

czy Creotech – poczyniliśmy olbrzymi krok do przodu. Przez lata cierpieliśmy na brak możliwości prowadzenia obserwacji powyżej 100 czy 200 kilometrów, nie mieliśmy takich zdolności, dysponując tylko zdjęciami satelitarnymi kupowanymi między innymi od Włochów. Za dwa lata wzrok Wojska Polskiego będzie sięgał dalej. Rafał Modrzewski, prezes spółki Iceye, która dostarczyła już naszemu wojsku pierwszego z trzech zakontraktowanych satelitów, wyjaśniał mi: – W regionie Polski pierwszym satelitą najprawdopodobniej będziemy w stanie takie zdjęcie wykonać około cztery razy dziennie.

To oznacza, że będziemy mogli fotografować wybrany obszar – na przykład kilku kilometrów kwadratowych – co kilka godzin, więc jeśli Rosja nagle zacznie gdzieś gromadzić wojska, zobaczymy to niemal natychmiast.

Jak wynika z dokumentów Ministerstwa Obrony Narodowej, w 2025 roku wartość realizowanych umów związanych z modernizacją techniczną sił zbrojnych wyniosła ponad 640 miliardy złotych. To oznacza, że aby zrealizować Program Modernizacji Technicznej – czyli wszystkie potrzeby zgłoszone przez Sztab Generalny Wojska Polskiego – którego koszt jest szacowany na około bilion złotych, należałoby w najbliższych latach zakontraktować jeszcze sprzęt za 300–400 milionów złotych. Proces powinien się zakończyć w latach 2028–2029, a do połowy kolejnej dekady mogą potrwać dostawy. Można szacować, że około 2030 roku sprzętowo będziemy w dobrej sytuacji, a po kolejnych trzech, czterech latach nasi żołnierze będą dysponować jednym z silniejszych i najbardziej nowoczesnych zestawów sprzętu wojskowego w Europie.

finansowo (zapłacimy za nie 40 miliardów złotych) i organizacyjnie (musimy zbudować zupełnie nowy system szkolenia załóg i techników) bardzo nadwyręży nasze zdolności. Jeśli do tego doliczymy tysiące dodatkowych żołnierzy, którzy muszą znać język angielski techniczny, potrzebnych do obsługi systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, pozwala to sobie wyobrazić, przed jak dużym wyzwaniem kadrowym stoi Wojsko Polskie.

Jednym z kluczowych warunków utrzymania długotrwałej zdolności obronnej państwa jest jednak jego umiejętność odtwarzania potencjału bojowego – chodzi o sprawny przemysł zbrojeniowy (naprawy, części zamienne). W tym aspekcie przygotowanie Polski do obrony wciąż kuleje, ale widać jaskółki zmian.

Nasz przemysł ma bardzo małe zdolności do produkcji podstawowej amunicji artyleryjskiej, czyli tej kalibru 155 milimetrów. Jeszcze niedawno były one na poziomie kilku tysięcy sztuk rocznie (to tyle, ile obrońcy ukraińscy potrafili zużyć jednego dnia). Mówił o tym premier Donald Tusk w sierpniu 2025 roku. Te wieloletnie zaniedbania powoli nadrabiamy i w zeszłym roku Ministerstwo Aktywów Państwowych poprzez Fundusz Inwestycji Kapitałowych przekazało państwowej Polskiej Grupie Zbrojeniowej (PGZ), czyli największej firmie zbrojeniowej nad Wisłą, 2,4 miliarda złotych na zwiększenie możliwości produkcyjnych poprzez budowę nowych zakładów (licencję kupujemy od brytyjskiego potentata BAE Systems). To właśnie brak amunicji artyleryjskiej był na pewnym etapie wojny kluczowym problemem ukraińskich obrońców.

—

OCZYWIŚCIE NIE JEST TAK, że w polskich przygotowaniach do obrony i odstraszania nie ma się do czego przyczepić. Błędy można wymieniać długo.

Problemem naszych sił powietrznych pozostaje brak samolotów cystern, które stanowią multiplikatory siły – dopiero one spowodują, że nasze F-16 czy F-35 będą mogły przebywać w powietrzu znacznie dłużej, bo nie będą musiały wracać na lotnisko, by zatankować. Dzięki temu to samo zadanie można realizować mniejszą liczbą myśliwców. Brak zakupu samolotów cystern, który najpewniej zostanie nadrobiony w 2026 roku – mówił o tym wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz – pokazuje, że kuleje u nas myślenie systemowe. To przykład, jak tworzymy wyspy nowoczesności – nabywamy nowy sprzęt, którego możliwości nie jesteśmy w stanie w pełni wykorzystać, ponieważ brakuje innych komponentów. Mówimy „a", ale już nie idzie za tym „b".

Kolejnym błędem jest zakup zbyt dużej liczby drogich śmigłowców AH-64E Apache, których wdrożenie

eprasa.pl d281880d2c

Według deklaracji polityków z produkcją powinniśmy ruszyć z kopyta w 2028 roku (PGZ zapowiada 150 tysięcy pocisków rocznie, a do tego być może dołożą się podmioty prywatne). Można zakładać, że solidnymi zapasami amunicji będziemy dysponować na początku przyszłej dekady.

– Zgodnie ze standardami NATO powinniśmy mieć zapas amunicji artyleryjskiej na co najmniej 30 dni walki. Przy obecnych zakupach powinny to być co najmniej 3 miliony pocisków – wyjaśnia Tomasz Kwasek, analityk militarny związany z Portalem Militarnym. Do tego potrzebujemy jeszcze specjalnych magazynów, które też trzeba będzie zbudować.

Obecnie poszerzamy nasze możliwości o serwisowanie nowo kupionego sprzętu. Wcześniej tego nie robiliśmy, co można uznać za kolejne zaniedbanie. I tak w grudniu 2025 roku Agencja Uzbrojenia, która w resorcie obrony odpowiada za zakupy sprzętu, podpisała umowę z południowokoreańskim koncernem Hyundai Rotem Company i polskimi Zakładami Mechanicznymi „Bumar-Łabędy", na podstawie której polska spółka pozyska wiedzę dotyczącą serwisowania i modernizacji koreańskich czołgów K2. Warto podkreślić, że za trzy lata ma się w Gliwicach rozpocząć także montaż czołgów K2PL, które zakontraktowaliśmy w ubiegłym roku. Z kolei w Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych w Poznaniu powstaje właśnie centrum serwisowe dla amerykańskich czołgów Abrams. Zwiastunem zmian jest także to, że Grupa WB – największy prywatny producent uzbrojenia w Polsce – utworzyła z południowokoreańską Hanwha Aerospace joint venture, która od 2029 roku umożliwi produkcję pocisków rakietowych do wspomnianych wyżej zestawów artylerii rakietowej Homar-K mających zasięg około 80 kilometrów. Niewykluczone, że w przyszłości zakład w Gorzowie Wielkopolskim zacznie produkować pociski o znacznie większym zasięgu, czyli umożliwiające odstraszanie przez groźbę kontrataku.

Niemniej słabość naszego przemysłu obrazuje fakt, że czołgi, zestawy artylerii rakietowej czy samoloty kupujemy u podmiotów zagranicznych, głównie południowokoreańskich i amerykańskich. Pocieszeniem może być to, że olbrzymie zakupy powoli przekładają się na coraz większe kompetencje rodzimych zakładów przemysłowych. Choć wspomniane śmigłowce Apache kupujemy od amerykańskiego Boeinga, to w dużej mierze mają je serwisować Wojskowe Zakłady numer 1 z Łodzi, które teraz właśnie do tego procesu pozyskują *know-how*. Mimo że kupowaliśmy „z półki", czyli gotowe produkty zagranicznego przemysłu, teraz staramy się pozyskiwać od nich także technologie. Można dyskutować, jak dużym błędem było, że nie robiliśmy tego od razu, negocjując pierwsze kontrakty.

Prognostykiem, jak ten rozwój przemysłowy może przebiegać, jest „Projekt 400", który został zrealizowany w skarżyskim Mesko. To spółka będąca częścią Polskiej Grupy Zbrojeniowej, a sama inwestycja jest pierwszą z cyklu i jako jedyna jest już na ukończeniu. W ubiegłym roku premier Donald Tusk chwalił się tym, że obecnie może ona produkować milion małokalibrowych (czyli na przykład do karabinków Grot) pocisków dziennie. Problem w tym, że realizacja tej inwestycji zamiast trzech lat trwała prawie sześć i przekroczono jej budżet (co nie zmienia faktu, że mamy efekt w postaci zautomatyzowanej, nowoczesnej linii produkcyjnej). I zapewne podobnie będzie z projektami inwestycyjnymi, które obecnie są w państwowym przemyśle realizowane. Jak wynika z wielu lat moich rozmów z przedstawicielami zbrojeniówki, prawdopodobnie będą spóźnione, droższe niż pierwotnie planowano, ale w końcu będą, wzmacniając potencjał obronny naszego państwa. Już teraz rząd zadeklarował, że dokapitalizuje państwowy przemysł zbrojeniowy kwotą ponad 7 miliardów złotych, a do tego dojdą jeszcze środki własne oraz unijne.

–

MIMO POSTĘPUJĄCEJ „dronizacji" pola walki i coraz większej liczby latających, nawodnych czy naziemnych pojazdów autonomicznych, które intensywnie kupuje także Wojsko Polskie, wojny mają to do siebie, że potrzebują również żołnierzy, którzy walczą i często giną. Po raz kolejny spójrzmy na Ukrainę: obecnie braki kadrowe i liczne dezercje to najpoważniejszy problem ukraińskiego wojska, o którym mówił mi w sierpniu ubiegłego roku w wywiadzie dla portalu Rzeczpospolita regularnie odwiedzający ten kraj analityk militarny – Konrad Muzyka z Rochan Consulting. Z kolei ukraiński minister obrony Mychajło Fedorow na początku 2026 roku stwierdził, że w jednostkach brakuje około 200 tysięcy żołnierzy (czytaj: zdezerterowali), a kolejne 2 miliony unikają mobilizacji. Czy to dużo? Prezydent Wołodymyr Zełenski na początku 2025 roku stwierdził, że ukraińska armia liczyła wtedy około 880 tysięcy żołnierzy. Przypomnę, że przed lutym 2022 roku był to kraj liczbą mieszkańców zbliżony do Polski. Z grubsza licząc, co 50. Ukrainiec służy więc obecnie ojczyźnie z bronią w ręku.

My mamy dziś nieco ponad 200 tysięcy żołnierzy, uwzględniając także Terytorialną Służbę Wojskową, czyli żołnierzy niezawodowych Wojsk Obrony Terytorialnej (WOT) oraz Dobrowolną Zasadniczą Służbę Wojskową (DZSW). W WOT służą żołnierze, którzy regularnie ćwiczą, ale nie robią tego zawodowo. Przylgnęła do nich łatka wojska weekendowego, ponieważ w jednostkach spędzają zazwyczaj jeden weekend w miesiącu. DZSW oznacza pobór, po którym szkolenie trwa w zależności od wyboru od miesiąca do roku i można po nim zostać

200 tysięcy

• żołnierzy liczą Siły Zbrojne RP, łącznie z żołnierzami niezawodowymi.

eprasa.pl d281880d2c

w armii na stałe. Jest dobrym przykładem tego, że państwo polskie mozolnie próbuje odbudowywać swoje rezerwy. Dlaczego to takie istotne?

W czasie wojny wojsko bardzo „pęcznieje". Choć plany na czas „W" są ściśle tajne, to można szacować, że w wyniku mobilizacji Siły Zbrojne RP rozwiną się do co najmniej 600 tysięcy, a zapewne i do znacznie większej liczby. Kolejne jednostki trzeba będzie wtedy „nasycić" żołnierzami. By cały mechanizm działał sprawnie, powinni oni być przeszkoleni już teraz, w czasie pokoju. Problem w tym, że w Polsce od ponad 15 lat pobór jest zawieszony, a w tym czasie były takie lata, że rezerwistów nie szkoliliśmy w ogóle. Obecnie ci z nich, którzy mają za sobą zasadniczą służbę wojskową, są już w najlepszym razie prawie 40-latkami.

Jak na pobór patrzą Polki i Polacy? Według sondażu Opinia24 przeprowadzonego dla RMF FM i opublikowanego 10 lutego tego roku poparcie dla przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej sięga 52 procent (sprzeciw – 30 procent). Podobne wyniki przyniósł sondaż SW Research na zlecenie „Rzeczpospolitej", który opublikowano w listopadzie ubiegłego roku. Za było prawie 47 procent respondentów, przeciw – nieco ponad 34 procent.

Dlatego by mieć sprawną machinę na czas „W", powinniśmy się wziąć na poważnie do ćwiczenia rezerw. Sztab Generalny Wojska Polskiego tworzy między innymi koncepcję rezerwy wysokiej gotowości, obejmującą rezerwistów na stałe związanych z konkretnymi jednostkami. Jednak na razie są to tylko pomysły, które mają dźwięczne nazwy i są ładnie opakowane PR-owo. Na przykład na początku lutego sztab na konferencji prasowej poinformował o projekcie stworzenia nowego rodzaju rezerw. „Projekt «Armia 500» zakładający osiągnięcie do 2039 roku struktur sił zbrojnych, których liczebność w okresie pokoju wyniesie 500 tysięcy żołnierzy. Z czego ponad 200 tysięcy pełnić będzie służbę w różnych formach służby w rezerwie" – tłumaczył generał Wiesław Kukuła. Warto jednak zwrócić uwagę, że jest to termin bardzo odległy, a ramy i infrastruktura do szkoleń jeszcze nie są przygotowane. Widać też w wypowiedziach generała pewną niespójność – we wcześniej cytowanej mówił, że wojna jest „tuż, tuż", a w planach tworzenia rezerw pośpiechu brak.

Ciekawy pomysł zgłosił w tej kwestii były wiceminister obrony, obecnie europoseł Prawa i Sprawiedliwości, Michał Dworczyk. – Powszechna Służba Wojskowa trwałaby do trzech miesięcy i byłaby obowiązkowa od razu po ukończeniu szkoły średniej. Chodzi o trzy miesiące, podczas których młodzi Polacy służyliby państwu, ale jednocześnie dostawali za to godne wynagrodzenie – wyjaśnia mi polityk. Wychodzi z założenia, że choć można by służyć także w ochronie zdrowia czy straży pożarnej, to zapewne większość młodych ludzi wybierałaby wojsko. Taka koncepcja wydaje się rozwiązywać problem braku rezerw, a jednocześnie nie „zabiera" młodym ludziom całego roku, jak to było w czasie „tradycyjnego" poboru. Ale to wciąż mało.

Potencjał Rosji w Ukrainie cały czas się zużywa i tak długo, jak tam będzie zaangażowana, nie będzie miała sił, by poważnie nam zagrozić fizycznie.

Dla nas wzorem w szkoleniu rezerw czy szerzej w obszarze zaangażowania obywateli w obronę państwa powinna być Finlandia, która stosuje „strategię bezpieczeństwa całościowego". Bo warto pamiętać, że broni się całe państwo, a armia, choć kluczowa, jest tylko jednym z narzędzi służących do obrony. Na czym polega ta koncepcja? „Fińska strategia bezpieczeństwa całościowego opiera się na zasadzie utrzymywania stałej gotowości do reagowania na sytuacje kryzysowe. Wyróżnia ona siedem kluczowych obszarów, które należy zabezpieczać w czasie pokoju, kryzysu i wojny: przywództwo, aktywność międzynarodową, zdolności obronne, bezpieczeństwo wewnętrzne, bezpieczeństwo dostaw, prawidłowe funkcjonowanie społeczeństwa i usług publicznych oraz odporność psychologiczną. (...) Wizytówkami systemu bezpieczeństwa całościowego Finlandii są obrona cywilna i mechanizm zapewniania bezpieczeństwa dostaw, newralgiczny dla państwa położonego na peryferiach Unii Europejskiej i zależnego od handlu drogą morską. Finlandia dysponuje rozbudowaną siecią schronów dla ludności, która może przyjąć około 65 procent mieszkańców" – pisze w jednym ze swoich raportów analityk Ośrodka Studiów Wschodnich Piotr Szymański.

W Polsce nie ma tak systemowego myślenia. W ogóle nad Wisłą przygotowanie społeczeństwa do wojny wydaje się czymś abstrakcyjnym. Co prawda w ostatnich miesiącach państwo wysłało do obywateli liczący 48 stron *Poradnik bezpieczeństwa*, z którego można się między innymi dowiedzieć, jakie zapasy powinniśmy zgromadzić w domu na trzy dni, ale można mieć wątpliwości, czy ta instrukcja wystarczy.

I tak dochodzimy do kolejnego dużego problemu w przygotowywaniu państwa polskiego do obrony, czyli ochrony ludności cywilnej. Najpierw, mimo szumnych zapowiedzi, odpowiedniej ustawy nie potrafił przyjąć rząd Prawa i Sprawiedliwości. Później rząd Koalicji Obywatelskiej potrzebował roku na uchwalenie przepisów o ochronie ludności i obronie cywilnej. „To ustawa rewolucyjna, która zmienia system ochrony ludności. Schrony, powiadomienia, organizacja, ochrona zdrowia, to cały system, który musi funkcjonować" – wyjaśniał na początku 2025 roku ówczesny minister spraw wewnętrznych i administracji Tomasz Siemoniak. Teraz ten system tworzony jest od podstaw, ale na przykład budowa schronów to zadanie na dziesięciolecia, po prostu przy nowych budowlach trzeba wymagać takich rozwiązań, by na przykład parkingi podziemne mogły pełnić funkcję schronień.

eprasa.pl d281880d2c

To, że do tej pory ten system nie funkcjonuje jak należy, dobrze pokazuje też fakt, że Wojska Obrony Terytorialnej, które powinny służyć do ochrony naszych granic, są notorycznie angażowane w czasie kryzysów takich jak pandemia czy ostatnio powódź. Nie wspominając już o ochronie wschodniej granicy przed nielegalną migracją, gdzie jednak większy ciężar ponosi wojsko zawodowe. I choć oczywiście państwo powinno korzystać ze wszelkich dostępnych zasobów – czasem nawet z zawodowców – by reagować na kryzysy, to trzeba się jednak zastanowić, do czego mają służyć WOT. Czy to ma być swego rodzaju wojskowa służba cywilna, czy jednak formacja, która w czasie wojny będzie walczyć z przeciwnikiem? Trudno pełnić kilka funkcji jednocześnie i robić to dobrze.

—

MÓWIĄC O PRZYGOTOWANIU Polski do potencjalnej wojny z Rosją, oprócz o wojsku czy ochronie ludności cywilnej nie wolno zapominać o sojusznikach. Na początku roku w Polsce stacjonowało około 10 tysięcy żołnierzy z innych krajów NATO, z czego zdecydowaną większość stanowili Amerykanie. Takie informacje przekazał wiceminister obrony Paweł Zalewski podczas styczniowego posiedzenia Sejmowej Komisji Obrony Narodowej. Warto podkreślić, że jest już kilka miejsc w Polsce, gdzie Amerykanie są na stałe (nie rotacyjnie). To między innymi baza w Redzikowie – z systemem Aegis Ashore, który ma unieszkodliwiać pociski balistyczne wystrzelone na przykład z Iranu czy Korei Północnej – czy magazyny APS (Army Prepositioned Stocks, czyli składy gotowego do użycia wyposażenia wojskowego) w Powidzu w Wielkopolsce. Z naszego punktu widzenia to kluczowe miejsce, ponieważ jest tam przechowywany sprzęt dla ciężkiej brygady amerykańskiego wojska. To istotne, bo o ile żołnierzy zza Atlantyku można przerzucić samolotami w ciągu kilkudziesięciu godzin, to statki, którymi się przewozi czołgi czy haubicoarmaty, potrzebują tygodni, by przebyć tę drogę.

Tutaj dochodzimy do ważnego zagadnienia mobilności wojskowej, czyli zdolności do szybkiego przerzutu wojsk. Przedstawiciele Sojuszu od lat mówili o tym, że trzeba go usprawnić. Pod kątem biurokratycznym dochodziło do takich absurdów, że wydawanie zgody na transport żołnierzy kraju trzeciego czasem zajmowało tygodnie. Problem w tym, że NATO nie miało w tym obszarze żadnej sprawczości. Nad sprawą pochyliła się zatem Komisja Europejska, i to w dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, procedury biurokratyczne zostały radykalnie uproszczone i skrócone do trzech dni (teraz będzie obowiązywał jeden formularz zgłoszeniowy we wszystkich krajach). Wprowadzenie tych rozwiązań zajmie jednak co najmniej kilkanaście miesięcy. Po drugie, Komisja w perspektywie budżetowej, która rozpoczyna się 1 stycznia 2028 roku, przewidziała w ramach mechanizmu Connecting Europe Facility ponad 17 miliardów euro na finansowanie projektów mających likwidować wąskie gardła w przerzucie wojsk. Chodzi na przykład o przebudowę mostów, które obecnie mają zbyt małą nośność i dlatego wojsko nie może się nimi przemieszczać.

NATO obecnie jest znacznie lepiej przygotowane do obrony, niż było jeszcze kilka lat temu. Przyjęte zostały odpowiednie regionalne plany obrony, a głównodowodzący sił sojuszniczych w Europie generał Alexus G. Grynkewich ma pewne uprawnienia (nieujawnione opinii publicznej) i może w określonym zakresie używać wojsk sojuszniczych bez zgody polityków. Można zaryzykować tezę, że obecnie to właśnie brak spójności politycznej – pęknięcie między USA i Europą – staje się największym wyzwaniem Sojuszu w kontekście obrony tej drugiej. Być może jednomyślność będzie ewoluować w koalicje chętnych, co już widzimy przy okazji pomocy Ukrainie. Nawet jeśli nie wszyscy członkowie NATO od razu pospieszą nam z pomocą w czasie napaści, to część – między innymi państwa nordyckie, jak Szwecja i Finlandia czy wyspiarska Wielka Brytania – zapewne stanie u naszego boku. A ta ostatnia, podobnie jak Rosja, jest mocarstwem atomowym. Choć tu warto zauważyć, że w ostatnich kilkunastu miesiącach praktycznie nie ma gróźb użycia broni jądrowej przez Moskwę, co w okresie po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę było częste. Mimo tego typu retoryki fakty są takie, że przez cztery lata konfliktu Rosjanie jej nie użyli i obecnie nic nie zapowiada, by miało się to zmienić.

Wróćmy więc do pytania o czas. Choć nie wiemy, czy i kiedy nastąpi moment testu, czy i jak Rosjanie będą chcieli sprawdzić naszą gotowość do obrony, czas pracuje na naszą korzyść. Polska i wiele krajów europejskich na poważnie zaczęły traktować inwestycje w obronność i to z każdym kwartałem będzie procentować – nasz potencjał do obrony rośnie i będzie rósł coraz szybciej. Jednocześnie potencjał Rosji w Ukrainie cały czas się zużywa i tak długo, jak tam będzie zaangażowana, nie będzie miała sił, by poważnie nam zagrozić fizycznie, a za cztery–pięć lat nasz potencjał do obrony powinien skutecznie ją odstraszyć. Ale to nie znaczy, że wrócimy do czasów sielanki. Wojna hybrydowa już trwa i szybko się nie skończy [o rosyjskiej dezinformacji pisał Mirosław Wlekły, „Pismo” nr 10/2025 – przyp. red.].

eprasa.pl d281880d2c

REPORTAŻ

Odczarować gołębie

tekst ALICJA BIELAWSKA

WYZYWAMY JE OD NAJGORSZYCH. Oskarżamy o roznoszenie chorób. Usuwamy ich gniazda, czyszcząc balkony. Montujemy kolce na gzymsach i parapetach. A przecież nie tak dawno gołębie pozostawały na służbie u człowieka. Czy to nie czas, aby się z nimi przeprosić?

Na gołębie grzywacze najczęściej poluje się z zasiadki. Należy ukryć się w dobrze im znanym miejscu, najlepiej tam, gdzie przychodzą się napić lub zjeść. Trzeba być cicho i czekać. Nie jestem myśliwym i nie poluję na gołębia grzywacza, a na zwykłego miejskiego. Nie mam też strzelby śrutowej, a jedynie nożyczki, obcążki i pudło. Ofiarę znam z imienia, jej zwyczaje pokarmowe też. Czekam cierpliwie.

KIEDY MÓWIMY o gołębiach, przeważnie mamy na myśli te, które najczęściej widujemy na skwerach, ulicach i placach. To gołąb miejski z rodziny gołębiowatych, do której oprócz niego należą również sierpówka (zwana też synogarlicą), siniak, turkawka i odmiany hodowlane. Gołębie miejskie i pocztowe pochodzą od gołębi skalnych i są do nich bardzo podobne. To ptaki o przeważnie szarym ubarwieniu, ciemnym dziobie i rdzawej barwie oczu. Gołąb grzywacz, spotykany przez nas zwykle w lasach, jest płochliwy, większy, ma charakterystyczne białe plamy po bokach szyi i żółty dziób.

Na gołębie skalne człowiek polował już 12 tysięcy lat temu na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Przyjmuje się, że około 3000 lat przed naszą erą udało mu się je udomowić, co oznaczało wykorzystywanie ich jako źródła pożywienia, dostarczyciela nawozu i symbolu religijnego (czytaj: składano gołębie w ofierze). Wciąż nie jest jasne, dlaczego akurat te ptaki tak dobrze orientują się w terenie, że można było ich użyć też w charakterze posłańców. Instynkt, który każe im wracać do gniazda, wiąże się z koniecznością dostarczania młodym pokarmu zdobywanego na odległych terenach. Wiadomo było zatem, gdzie przyleci wypuszczony w dowolnym miejscu gołąb, więc można było tam wysłać za jego pośrednictwem wiadomość.

Skąd jednak gołębie skalne wzięły się w Europie? Przywędrowały tu w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą wraz z przybyłymi z Bliskiego Wschodu Fenicjanami, którzy prowadzili handel z ludami zamieszkującymi basen Morza Śródziemnego. Wykorzystywane w charakterze posłańców ptaki często były zabierane w klatkach, na przykład (później) przez legiony rzymskie wysyłane na podbój nowych terenów czy (znacznie później) przez uczestników wypraw krzyżowych. Mobilne gołębniki nie zawsze okazywały się wystarczającym zabezpieczeniem i część ptaków uciekała po drodze.

Pocztą gołębią posługiwał się finansista Nathan Rothschild, założyciel brytyjskiej gałęzi rodu – i banku – Rothschildów. Jak chce legenda, dzięki niej miał pierwszy na Wyspach Brytyjskich dowiedzieć się o porażce Napoleona pod Waterloo w 1815 roku. To umożliwiło mu sprzedaż, a następnie odkupienie papierów wartościowych, już po dużo niższej cenie. Zresztą przez wieki hodowla tych ptaków była oznaką statusu społecznego. Nad Sekwaną dopiero po Wielkiej Rewolucji Francuskiej pozwolono na nią bez względu na pochodzenie.

Londyńskie zrzeszenie towarzysko-sportowe The Hurlingham Club od 1867 roku (wówczas jeszcze pod inną nazwą) organizowało letnie polowania na gołębie,

eprasa.pl d281880d2c

rysunek URSZULA PALUSIŃSKA

eprasa.pl d281880d2c

ALICJA BIELAWSKA, prawniczka specjalizująca się w brytyjskim prawie pracy, migracyjnym, biznesowym i korporacyjnym. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Publikowała m.in. w OKO.press, „Tatrach" i „Kontynentach". Czas wolny najchętniej spędza nad rzeką, w lesie lub na rowerze.

choć już w tamtych czasach było to uznawane za kontrowersyjne. Kiedy w 1883 roku w brytyjskiej Izbie Lordów dyskutowano o poprawce do Cruelty to Animals Act (Ustawy o okrucieństwie wobec zwierząt), jeden z przywódców Partii Konserwatywnej, Arthur James Balfour, nazwał tę praktykę okrutną i bezużyteczną. Wypuszczania gołębi z koszy po to, aby je po chwili zastrzelić, ostatecznie zakazano w Wielkiej Brytanii w 1921 roku. Pamięć o tej rozrywce przechowała się w nazwie dysku, do którego się strzela zamiast do ptaka – to *clay pigeon*, czyli gliniany gołąb.

W Drugiej Rzeczypospolitej hodowla gołębi była regulowana ustawowo. Zezwolenie wydawały władze powiatowe, które odbywały konsultacje z wojskiem. W razie znalezienia gołębia należało go oddać do najbliższego posterunku policji lub urzędu gminnego. Polowanie na te ptaki było zakazane. Polskie gołębniki zostały zarekwirowane przez Niemców zaraz po ataku Trzeciej Rzeszy we wrześniu 1939 roku. Trudno się dziwić tej decyzji, znany był im z pewnością gołąb Cher Ami (fr. Drogi Przyjaciel), któremu przypisuje się uratowanie życia 194 amerykańskim żołnierzom podczas pierwszej wojny światowej. Jego misją było przekazanie Brytyjczykom wiadomości o okrążonym przez Niemców batalionie, który znalazł się pod omyłkowym ostrzałem artylerii sprzymierzeńców. Zadanie to wykonał, co przypłacił utratą oka i nogi oraz raną postrzałową w klatce piersiowej. Cher Ami otrzymał francuski Krzyż Wojenny, a jego ciało po śmierci w 1919 roku zakonserwowano i wystawiono w Narodowym Muzeum Historii Amerykańskiej w Waszyngtonie.

Bohaterskich gołębi było więcej. Po drugiej wojnie światowej aż 32 z nich otrzymały Medal Dickin, brytyjskie odznaczenie wojenne ustanowione w 1943 roku przez działaczkę na rzecz zwierząt Marię Dickin, przyznawane zwierzętom za dzielność na polu bitwy (do dzisiaj tylko psów odznaczono nim więcej niż gołębi, bo 38). Czy ptaki faktycznie wykazywały się męstwem? Czy to człowiek potrzebował ich „zasługi" zmierzyć swoją miarą?

A przecież symbolika kojarzona z gołębiem jest zupełnie inna. To właśnie ten ptak znalazł się na zaprojektowanym przez Pabla Picassa plakacie Światowego Kongresu Pokoju w 1949 roku. W tradycji chrześcijańskiej to pod postacią gołębicy Duch Święty zstąpił z nieba podczas chrztu Chrystusa, a ten sam ptak wypuszczony przez Noego zapowiadał zakończenie potopu. Gołębie występują również w islamie – miały uratować ukrywającego się proroka Mahometa przez zbudowanie gniazda, którym zasłoniły wejście do jego schronienia.

Dzisiejsze gołębie miejskie to potomkowie ptaków, które służyły człowiekowi na wojnach, przekazywały wiadomości, a jednocześnie były symbolem pokoju. Powodem, dla którego są tak blisko nas, jest ingerencja człowieka w naturę i udomowienie ich wieki temu. Dziś gołębie hoduje się przeważnie dla rozrywki – na wyścigi czy wystawy. Trudno jednak nie zauważyć, że sposób ich postrzegania się zmienił. Obecność gołębi miejskich często jest uważana za problem do rozwiązania.

> *Najczęściej zgłaszane problemy dotyczą zabrudzeń elewacji, balkonów, uciążliwości związanych z obecnością ptaków w dużych skupiskach. Temat zagrożeń zdrowotnych wynika z obaw mieszkańców kształtownych przez przekazy medialne.*

Kiedy przygotowuję się do napisania tego tekstu i czytam artykuły o gołębiach, trafiam na określenia takie jak „poważny", „uciążliwy" lub „skrzydlaty problem" czy „nieproszeni współlokatorzy". Nie brakuje też, oczywiście, „latającego szczura". Podobna nazwa po raz pierwszy pojawiła się w 1966 roku w „New York Timesie". Opublikowany w nim artykuł o pogarszającym się stanie Bryant Park w Nowym Jorku cytował słowa Thomasa Hovinga, miejskiego komisarza do spraw parków, który narzekał na „szczury ze skrzydłami". Słowa te spopularyzował film Woody'ego Allena z 1980 roku *Wspomnienia z gwiezdnego pyłu*. Główny bohater mówi tak o gołębiu, który wleciał do jego pokoju. Nazwa ta działa jak lep: dokleja do wizerunku gołębia miejskiego kolejne pejoratywne i nieprawdziwe skojarzenia.

—

GOŁĄB MIEJSKI, na którego poluję metodą zasiadkową, odwiedza mnie od kilku miesięcy. Ptak jakich tysiące – szary, z dwoma czarnymi paskami w dolnej części skrzydeł. Przylatuje rano, kiedy jeszcze śpię, siada na parapecie i zaczyna gruchać, choć brzmi to bardziej jak stękanie (dlatego otrzymał imię Stękający Gołąb). Zwinięcie żaluzji go nie płoszy, kuśtyka tylko w bardziej osłoniętą część parapetu. Na nodze od dłuższego czasu ma zaciśnięty sznurek. Nie wiem, na ile jego stękanie jest spowodowane bólem, jaki musi odczuwać. Jednak gdy jego noga zaczyna przypominać nabrzmiały czerwony kalafior, decyduję się napisać do Sylwii, warszawskiej wolontariuszki z Gruszętnika.

To wrocławska fundacja specjalizująca się w pomocy zwierzętom, w szczególności dzikim ptakom i gołębiom miejskim. Kiedy przeglądam tematyczne grupy na Facebooku, na których ludzie piszą o znalezionych chorych gołębiach, prawie zawsze pojawia się komentarz sugerujący kontakt z Gruszętnikiem. Tam też znajduję numer do Sylwii, która – jak się okazuje – obecnie wspiera wolontariuszy Gruszętnika, ale sama już nie działa przy tej fundacji, odpisuje mi: „Ja na pewno bym łapała takiego gołębia i leczyła go u weterynarza albo oddała do zoo".

Chora noga nie przeszkadza Stękającemu Gołębiowi zalecać się do partnerki, z którą, kiedy już opuści mój parapet, wygrzewa się na dachu naprzeciwko. Czuję dyskomfort na myśl, że siłą zabiorę go z naturalnego środowiska. Sylwia jednak namawia: „Będzie się lepiej czuł, gdy nie będą bolały go nogi, niż jakby miał siedzieć z rodziną w bólu, z martwicą. (...) Taki zaplątany sznurek utrudnia przepływ krwi i ptak mógłby umrzeć. Jeśli uciska nerwy, trzeba go zdjąć pod narkozą, bo to bardzo boli. Jak jest tylko lekko zaplątany, używam nożyczek dla niemowląt do obcinania paznokci, takich zakrzywionych".

Kupuję nożyczki, chociaż gdy przyglądam się nodze Stękającego Gołębia, zdaję sobie sprawę, że będzie to misja skazana

eprasa.pl d281880d2c

na porażkę. Sznurek ugrzązł zbyt głęboko w ciele. Kupuję też jednorazowe rękawiczki, bo słyszałam, że ptaki mogą przenosić choroby.

—

KOSZALIN, sierpień 2025 roku. „Gazeta Wyborcza" podaje, cytując rzeczniczkę Urzędu Miasta, że mieszkańcy proszą lokalne władze o zmniejszenie populacji grzywaczy ze względu na zagrożenie epidemiologiczne. Prezydent miasta nie wydaje decyzji o polowaniu, a jedynie ją obwieszcza. Okres polowań i gatunki łowne określa minister środowiska, a polowania prowadzą koła łowieckie. Tylko że grzywacze w miastach widywane są raczej rzadko, więc mieszkańcom pewnie chodziło o gołębie miejskie. – Ludzie często nie rozróżniają gatunków gołębi. Poza tym grzywacze gniazdują na drzewach, nie gromadzą się w takich stadach jak gołębie miejskie. To dzikie ptaki, które nie lgną do człowieka – mówi mi lekarka weterynarii Aleksandra Kornelia Maj, specjalistka chorób zwierząt nieudomowionych.

Zwracam się do Urzędu Miasta w Koszalinie z prośbą o komentarz. Rzeczniczka prasowa Anna Makarewicz zaznacza, że „gołębie grzywacze nie są uznawane za szczególne zagrożenie epidemiologiczne w przestrzeni miejskiej", ale powołuje się na „opracowania wskazujące na potencjalne zagrożenia sanitarne związane z obecnością ptaków, w tym gołębi. Przykładem są materiały publikowane przez stacje sanitarno-epidemiologiczne, które opisują możliwe ryzyka wynikające z kontaktu z odchodami ptaków czy wdychania pyłów zawierających drobnoustroje". Przyznaje, że konkretnie w przypadku gołębi „najczęściej zgłaszane problemy dotyczą nadmiernej liczebności populacji, zabrudzeń elewacji, balkonów i infrastruktury miejskiej, uciążliwości związanych z obecnością ptaków w dużych skupiskach. Temat potencjalnych zagrożeń zdrowotnych również pojawia się w zgłoszeniach, choć często wynika z obaw mieszkańców kształtowanych przez przekazy medialne".

Końcówka okresu lęgowego gołębia grzywacza zazębia się z początkiem sezonu łowieckiego przypadającym na 15 sierpnia. Zabicie rodzica to śmierć głodowa młodych w gnieździe. Polowanie budzi kontrowersje nie tylko wśród miłośników zwierząt. Ratusz błędnie bowiem informuje, że odstrzał ma się odbyć również na terenie miasta. Zajmuje się nim Koło Łowieckie „Bekas", którego członkowie zabijają wówczas jednego grzywacza, a w całym sezonie kilkanaście. Upolowane okazy myśliwi zachowują. Ptaki, które rzekomo stwarzają zagrożenie epidemiologiczne, zostają przeznaczone do konsumpcji?

O to, czy gołębie grzywacze są zagrożeniem, pytam Jacka Karczewskiego, wiceprezesa stowarzyszenia Jestem na pTak! – Ptaki w ogóle ze względów ewolucyjnych są dla nas bezpieczne epidemiologicznie – odpowiada. – Oczywiście każdy słyszał o grypie ptaków. Czasem się zdarza, że jakieś szczepy wydostaną się z kurników przemysłowych [o hodowli drobiu na masową skalę pisał Bartek Sabela, „Pismo" nr 6/2020 – przyp. red.]. W Azji są kurniki, gdzie rocznie hoduje się setki milionów ptaków. Natura nie mogłaby sobie wymyślić lepszych warunków dla ewolucji bakterii i wirusów.

Dariusz Grochal jest współzałożycielem (z Igą Fant) fundacji Chatka Gołębia pomagającej chorym i rannym ptakom. – To zaczęło się przypadkowo – opowiada. – Znalazłem rannego gołębia na osiedlu, zawiozłem go do schroniska. Później znalazłem kolejnego i zacząłem szukać po internecie informacji. Koleżanka powiedziała mi: „Jak raz pomożesz gołębiowi, to będziesz to robił całe życie". W 2024 roku jako fundacja wystąpiliśmy do Głównego Inspektora Sanitarnego (GIS-u) o dane o zakażeniach odzwierzęcych za ostatnią dekadę.

Grochal przekazuje mi pismo, które otrzymał w sierpniu 2024 roku. Spośród chorób odzwierzęcych, nad którymi GIS prowadzi nadzór, gołębie mogą się zarazić ornitozą, której objawy u człowieka często przypominają grypę (ból głowy, kaszel, dreszcze i wysoka temperatura), oraz bakteriami typu salmonella. W przypadku salmonelli urząd stwierdza, że źródłem zakażenia dla ludzi jest wiele zwierząt, w tym ssaki, ptaki i gady. Rezerwuarem bakterii wywołujących ornitozę są ptaki dzikie, hodowlane i ozdobne. Przeniesienie choroby na człowieka może się odbyć przez bezpośredni kontakt ze zwierzęciem lub wdychanie pyłu z odchodów. W latach 2014–2024 w całej Polsce stwierdzono dwa przypadki zachorowania na ornitozę. Jeden w województwie zachodniopomorskim w 2016 roku i jeden w Małopolsce w 2017 roku. Urząd nie dysponuje danymi odnośnie do gatunku ptaka, od którego nastąpiło zarażenie. Wcale nie musiał być to gołąb.

Jerzy Bialik, fundator Gruszętnika: – Nie bez powodu ornitoza nazywana bywa papuzicą. Realnym źródłem zakażenia może być papuga, domowy pupil, któremu mimo choroby nie grozi szybka śmierć. Nie przegra rywalizacji o pokarm z resztą stada, będzie żył jakiś czas i zarażał opiekuna, który wobec swojego podopiecznego nie będzie zachowywał nawet minimalnych środków ostrożności i bioasekuracji.

To samo słyszę w Ośrodku Rehabilitacji Ptaków Chronionych w Warszawskim ZOO, znanym lepiej jako Ptasi Azyl. Do tej pory nie stwierdzono żadnego przypadku ornitozy wśród jego pracowników. Doktor nauk weterynaryjnych Andrzej Kruszewicz, ornitolog i dyrektor zoo, dodaje: – Dzikie ptaki roznoszą wiele chorób, ale przy zachowaniu minimum higieny nic nam nie grozi. W Azylu mamy 10 tysięcy pacjentów rocznie, w tym ponad tysiąc gołębi i nikt nie czuje się zagrożony.

– Jeżeli nie mamy bezpośredniego kontaktu z wydzielinami gołębi, to ciężko mówić o jakimkolwiek zagrożeniu – dodaje Maj. – A w przypadku ptasiej grypy gołębie wykazują bardzo niską podatność na zakażenie wirusem, a ich rola jako potencjalnego rezerwuaru oraz źródła transmisji zarówno dla drobiu, jak i ludzi jest marginalna.

Dlaczego w takim razie gołąb miejski jest powszechnie kojarzony z przenoszeniem chorób? Grochal sugeruje, że interes w powielaniu tej opinii mają firmy sprzedające akcesoria do odstraszania ptaków. Piszę zatem do trzech, odpisuje mi jedna: „Odchody gołębi są siedliskiem licznych patogenów, które mogą przeżyć w środowisku i zostać przeniesione na ludzi poprzez dotyk, kontakt z powierzchniami. Poza tym odchody zawierają białka i alergeny, które mogą wywoływać lub nasilać astmę, alergiczne choroby płuc, przewlekłe zapalenia dróg oddechowych oraz nadwrażliwość układu

eprasa.pl d281880d2c

oddechowego, szczególnie u dzieci, osób starszych oraz osób z osłabionym układem immunologicznym".

Według doktora Roberta Maślaka, zoologa i adiunkta na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, wyschnięte odchody wszystkich ptaków faktycznie bywają źródłem bioareozoli zawierających między innymi białka ptasie, alergeny i zarodniki grzybów. Te z kolei mogą wywołać reakcje nadwrażliwości oraz nasilać astmę i inne choroby układu oddechowego. Jednocześnie Maślak podkreśla, że dla przeciętnej osoby przebywającej w przestrzeni miejskiej ryzyko zdrowotne jest bardzo niewielkie. Zagrożenie dotyczy przede wszystkim ludzi mających długotrwały, intensywny kontakt z pyłem z odchodów, na przykład hodowców ptaków.

Karczewski zwraca mi uwagę na rolę gołębi w oczyszczaniu miast. Powszechnie żerują przy targach czy punktach gastronomicznych, gdzie zbierają resztki z ziemi: – Gołębie robią ogromną czyścicielską robotę. Gdyby nie one, nasze miasta byłyby dużo brudniejsze, pokryte pleśnią i gnijącymi odpadkami. Byłoby też więcej szczurów czy innych gryzoni.

Jeżeli opinie o zagrożeniu epidemiologicznym nie są poparte rzetelnymi argumentami, to skąd ten czarny PR w przypadku gołębi? Przyczyną może być jego pochodzenie od gołębia skalnego. Taki ptak, by uwić gniazdo, szuka w przestrzeni miejskiej wszystkiego, co przypomina półkę skalną, jaskinię, grotę: – Nasz parapet czy balkon jest idealny – mówi Grochal. – Inne ptaki tego nie robią i budują gniazda na drzewach, a gołąb miejski ma taką naturę, że jest blisko człowieka. To rodzi konflikt.

—

O ILE GOŁĄB chce być blisko człowieka, o tyle człowiek się od niego odgradza. Montowanie kolców na budynkach czy elementach infrastruktury jest dzisiaj powszechną praktyką w miastach. – Kolce szkodzą nie tylko gołębiom, ale też innym ptakom – zwraca mi uwagę Dariusz Grochal. Fundacja Chatka Gołębia rozesłała pisma do ponad 100 gmin w Polsce, w których sugerowała odejście od ich stosowania. Otrzymała 25 odpowiedzi, w których padły deklaracje przejścia na spirale – cienkie druty, wyglądające jak zamontowana poziomo sprężyna, które nie robią krzywdy ptakom. Grochal przyznaje, że fundacja nie zweryfikowała, czy gminy faktycznie to zrobiły.

Walka z kolcami odbywa się również w Sejmie, gdzie procedowany jest obywatelski projekt nowelizacji Ustawy o ochronie zwierząt, która ma zakazywać „montowania lub utrzymywania na elementach budynków urządzeń lub przedmiotów mogących powodować zranienia lub okaleczenia ptaków, w szczególności kolców lub drutów". W sprawie projektu wypowiedział się rząd, który sugeruje zmianę zapisu, aby odnosił się konkretnie do urządzeń montowanych w celu zabezpieczenia budynku przed ptakami (obecny obejmuje

Dla osoby przebywającej w przestrzeni miejskiej ryzyko zdrowotne ze strony gołębi jest znikome. Zagrożenie dotyczy przede wszystkim osób mających długotrwały, intensywny kontakt z pyłem z odchodów, na przykład hodowców ptaków.

również na przykład anteny). Wskazuje też, że ogólny zakaz montowania kolców, które mogą być tępo zakończone, jest zbyt daleko idący. Żałuję, że piszący te słowa nie widział zdjęć ptaków nadzianych na tępo zakończone kolce.

Wysłałam maile do firm produkujących kolce, pytając, czy wykorzystywany przez nie sprzęt mógłby zostać przestawiony na wytwarzanie spiral, gdyby zakaz został przegłosowany. Odpisał mi przedstawiciel jednej z nich: „W naszej ocenie promowanie spiral jako jedynego «humanitarnego» rozwiązania ma charakter lobbystyczny i nie znajduje potwierdzenia w praktyce. Spirale są rozwiązaniem mniej skutecznym, a jednocześnie droższym, ze względu na większe zużycie materiału potrzebnego do uzyskania porównywalnego poziomu ochrony. (...) produkowane przez nas kolce nie ranią ptaków. Ich funkcją jest wyłącznie uniemożliwienie ptakom lądowania i przesiadywania w danym miejscu. (...) Materiały i farby stosowane przy renowacjach są bardzo kosztowne, a zabrudzenia spowodowane ptasimi odchodami często prowadzą do trwałej degradacji elewacji".

Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska (GDOŚ) w 2018 roku wydała opinię, w której wskazuje, że ptaki czasem wykorzystują kolce jako podporę dla swoich gniazd. – Z tego powodu są kompletnie nieskuteczne, a bywa, że robią krzywdę niezdarnie poruszającym się pisklętom – komentuje Jerzy Bialik z Gruszętnika. Rekomendowanym przez GDOŚ rozwiązaniem z uwagi na bezpieczeństwo ptaków i uniemożliwienie założenia w danym miejscu gniazda są druciane spirale. W przypadku stosowania kolców najlepiej używać takich z końcówkami zabezpieczonymi silikonem.

Dopytuję zatem firmę produkującą kolce o rzekomy brak ich szkodliwości, a także dlaczego spirale miałyby stanowić mniej skuteczne rozwiązanie i czy dysponuje danymi, które wskażą ich wyższy koszt. Wysyłam też zdjęcia ptaków nadzianych na takie kolce jak te znajdujące się w ofercie firmy (bez zabezpieczonych końcówek). Nie otrzymuję odpowiedzi.

—

NIEDZIELA RANO, pierwszy śnieżny dzień, choć kalendarzowo to jeszcze jesień. Miejsce zbiórki: warszawski Dworzec Centralny. Pijemy kawę, czekamy na spóźnialskich. Ostatecznie zebrała się nas dziesiątka. Dzielimy się na trzy grupy. W każdej powinna być przynajmniej jedna osoba z podbierakiem, takim jak na ryby. Ludzie poprzynosili pudła, ja – paczkę ziaren słonecznika. Zostaję przydzielona do grupy Tomasza Plasy ze znanej mi już Chatki Gołębia. Wkrótce dołącza do nas Paweł Kazimierski, wolontariusz, częsty uczestnik takich akcji. Jedziemy tramwajem pod Halę Mirowską. Gdzie handel, tam też gołębie.

Zaspani idziemy po pustym dzisiaj placu na pobliski trawnik, który jeszcze wczoraj miał zielonkawy kolor, a dziś jest przykryty świeżą warstwą śniegu. – Macie, maluchy! – mówi Tomasz i rzuca ziarno na skwer. Z gzymsów budynków i pobliskiego drzewa

eprasa.pl d281880d2c

zdjęcie DOMENA PUBLICZNA

W 1903 roku Julius Neubronner opatentował miniaturowy aparat fotograficzny umieszczany na ciele gołębia, uruchamiany za pomocą mechanizmu czasowego. Fotografia w sekcji technologii szpiegowskiej Smithsonian National Air & Space Museum

sfruwają gołębie. Niektóre przyglądają nam się z daleka. Chodzimy wśród stada, pochylamy się, kucamy, patrzymy. Idziemy dalej, na skwerek przy metrze Ratusz Arsenał. Śnieg pada coraz mocniej. Krążymy przy ziemi, schylamy się naprawdę nisko, aby dostrzec gołębie nogi brodzące w śniegu – wypatrujemy poranionych przez żyłki, sznurki, nitki czy włosy.

Nagle bach! Tomasz zarzucił podbierak i woła Pawła. Złapany ptak jest bardzo spokojny. Pewnie ze strachu wpadł w stupor. Tomasz asekuruje go ręką, podczas gdy Paweł rozplątuje sznurek zawiązany na jego nodze. Z plecaka wyjmuje tłustą maść antybakteryjną i delikatnie wmasowuje ją w zranione miejsce. Dwa kolejne złapane gołębie mają sznurki wżęte w ciało tak głęboko, że konieczne jest zabranie ich do Ptasiego Azylu. Dysponujemy tylko jednym pudełkiem, drugie Paweł zdobywa w kiosku na stacji metra. Kończymy akcję. Tomasz zawiezie ptaki. Kiedy czekam na tramwaj, widzę, że Paweł chodzi jeszcze po skwerku. Rzuca ziarno i obserwuje.

– Akcję Sznurek zapoczątkowaliśmy dwa lata temu. Dzięki niej pozyskujemy nowych ludzi, którzy przychodzą zobaczyć i często z nami zostają – mówi mi Dariusz Grochal. Dodaje, że inicjatywa ta odbywa się co dwa miesiące, w różnych miastach. W Krakowie, mateczniku Chatki Gołębia, do tej pory miała miejsce 13 razy.

Dlaczego sznurki są takim problemem dla gołębi miejskich? Jerzy Bialik z Gruszętnika mówi, że gołębie szukają jedzenia przeważnie na piechotę i nawet z niesprawnymi skrzydłami są w stanie przeżyć w kontrolowanych warunkach. Co innego gdy doznają urazów nóg: – Utrata kilku palców nie jest kłopotem, ale całej nogi już bardzo ogranicza możliwości ptaka. Lądowanie na jednej nodze to straszne obciążenie, a ciągłe skakanie na niej w poszukiwaniu pokarmu może prowadzić do uszkodzenia stawów. Brak obu nóg to już tylko eutanazja.

Andrzej Kruszewicz z Warszawskiego ZOO dodaje, że ptak nie potrafi sam oswobodzić własnych nóg po ich oplątaniu: – Pasma zaciskają się na łapach ptaków, stopniowo przerywając ciągłość tkanek kończyn, co ostatecznie skutkuje martwicą. Ptaki tracą możliwość sprawnego poruszania się, pobierania pokarmu czy ucieczki przed zagrożeniem. W związku z tym bardzo ważne jest, aby gołębie z oplątanymi łapami mogły otrzymywać pomoc szybko, najlepiej w miejscu, w którym żyją, dopóki uszkodzenia nie są zbyt głębokie. Zaawansowane rany wymagają udzielenia pomocy w Ptasim Azylu.

Lista urazów, z jakimi trafiają tam pacjenci, jest znacznie dłuższa. To nie tylko sznurki czy żyłki zaplątane na nogach, ale też złamania, zwichnięcia, rany spowodowane przez zderzenia, na przykład z wiatami przystanków czy szybami. Są ptaki, które przeżyły atak drapieżników, w tym psów i kotów [o ich wpływie na populację ptaków pisał Marcin Przymencki, „Pismo" nr 10/2023 – przyp. red.], uwolnione z zamknięcia i odebrane opiekunom przez służby oraz niesamodzielne pisklęta i podloty, które padły ofiarą porwania z gniazda lub czyszczenia balkonu.

eprasa.pl d281880d2c

zdjęcia DOMENA PUBLICZNA

Zdjęcia lotnicze wykonane aparatem Juliusa Neubronnera umieszczonym na ciele gołębia pocztowego

Zdarzają się też gołębie wypuszczane podczas uroczystości, na przykład na ślubach. To dla ptaka ogromny stres. W styczniu 2024 roku Agnieszka i Sławomir Łyczkowie z fundacji „Mysikrólik" opowiedzieli na łamach „Gazety Wyborczej" o gołębiu ozdobnym, który został wypuszczony z takiej okazji, a następnie trafił do nich ze złamanymi obiema nogami i innymi obrażeniami. Jego rehabilitacja trwała kilka miesięcy.

—

CHYBA MNIE nie widzi, gdy obserwuję go zza rogu. Szlaczek usypany z ziarna nie wzbudza w nim podejrzeń. Każde kolejne ziarenko w dziobie to mały kroczek przed siebie. Kiedy widzę, że już nawet ogon jest po wewnętrznej stronie parapetu, podbiegam i szybko zamykam za nim okno. W pierwszej chwili Stękający Gołąb nie zauważa, że właśnie stracił drogę powrotu na wolność. Dopiero gdy podchodzę do niego, ucieka i, nie widząc szyby (ptasia przypadłość), miota się, próbując wylecieć. Łapię go jedną ręką, drugą zabezpieczam skrzydła. Delikatnie obracam go do góry nogami i patrzę na kalafiorowatą nogę. Nie podejmuję próby ściągnięcia mu sznurka.

Mam wyrzuty sumienia, że narażam ptaka na taki stres, ale nimi będę zajmowała się później. Teraz wkładam go do pudełka, które wcześniej wyścieliłam miękką szmatką, wrzuciłam tam też kilka ziarenek (w razie

eprasa.pl d281880d2c

gdyby zgłodniał i trochę na przeprosiny), po czym wzywam taksówkę. Czekając na jej przyjazd, do pudełka przyklejam kartkę, na której dokładnie opisuję, co się gołębiowi przytrafiło, gdzie i kiedy został złapany, że nie podałam żadnych leków, że nazywam się tak i tak, a mój numer telefonu jest taki i taki. Dodaję, że byłabym wdzięczna za jakąś informację, co z nim. W kolejnych dniach nie przychodzi żadna wiadomość.

W międzyczasie dowiaduję się o postępie w zakresie leczenia gołębi miejskich.

Gruszętnik współpracuje też z zaufanymi gabinetami weterynaryjnymi na terenie całej Polski, gdzie leczenie dzikich ptaków odbywa się na koszt fundacji. Pytam, skąd mają na to wszystko pieniądze. – Historycznie fundacja była utrzymywana głównie przez fundatora, czyli przeze mnie – przyznaje Jerzy Bialik. – W trudniejszych chwilach posiłkowaliśmy się zbiórkami, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby pokryły nam choćby połowę kosztów utrzymania zwierząt. Od kilku lat korzystamy z bazarków facebookowych [fundacja handluje na nich przedmiotami codziennego użytku – przyp. A.B.], zbieramy również co roku 1,5 procent podatku. W zeszłym roku otworzyliśmy przychodnię w części sfinansowaną z bazarku, w części ze środków prywatnych, które otrzymałem w spadku po rodzicach.

Obecnie przychodnia działa komercyjnie i leczy również zwierzęta domowe. Przed jej powstaniem zwierzęta przyjmowane przez Gruszętnik (rocznie nawet do 5 tysięcy gołębi, ale też nietoperze, jeże czy gryzonie) były leczone w innych gabinetach. – Lekarze, którzy teraz u nas pracują, obsługiwali naszych pacjentow w innych placówkach weterynaryjnych jeszcze jako praktykanci na studiach, niektórzy byli naszymi wolontariuszami, ucząc się weterynarii – opowiada mi Bialik.

—

DO OŚRODKA Ptasiego Azylu w Warszawskim ZOO, do którego trafił Stękający Gołąb, nie można wejść, chyba że jest się pracownikiem albo wolontariuszem. Dariusz Grochal miał rację, gdy raz pomożesz gołębiowi... Kilka tygodni po akcji ratunkowej na moim parapecie zgłaszam się na szkolenie do Azylu. Ośrodek zajmuje niewielki budynek na tyłach ogrodu zoologicznego. Zostaję przydzielona do opieki nad gołębiami. Pracuję w niewielkim, wąskim pomieszczeniu. Po lewej od wejścia rzędy półek z klatkami i koszami, po prawej niewielka półka, pod nią rząd koszy. To wszystko tymczasowe mieszkania ptasich pacjentów. Biorę dwa wiadra.

Najpierw czytam kartę pacjenta przyczepioną do kosza lub klatki, żeby się dowiedzieć, czy w grę wchodzi choroba, czy uraz, na przykład nóg lub skrzydeł (w tym wypadku muszę ostrożniej go chwycić, by nie nadwyrężyć uszkodzonych części jego ciała). Otwieram pojemnik. Spokojnym głosem mówię do ptaka, choć to nie jest wymagane. Delikatnie wyjmuję go i przekładam do kartonu. Ptak zwykle nie chce dać się złapać, chyba że jest pisklęciem – te domagają się uwagi i jedzenia. Zdarza się, że wyrwie mi się z rąk i osoba pracująca w Azylu łapie go w podbierak. Jednak niektóre są tak chore, że nie mają siły uciekać. Stare miski z wodą i resztkami jedzenia trafiają do wiadra (później będę je myła). Do drugiego – zabrudzona ściółka, szmatka lub kocyk (ściółka trafia do kontenera na odpady, a szmatki i kocyki do pralki). Myję klatkę. Wkładam nową porcję ściółki albo kocyk lub szmatkę, w zależności od tego, które podłoże było stosowane wcześniej. Nalewam wodę, sypię ziarno. Przekładam gołębia. I tak 40 czy 50 razy. A to tylko jedno pomieszczenie. Są też inne i inne ptaki – myszołowy, łabędzie, bociany, czaple, wrony, kawki, jerzyki, kopciuszki, wróble. Pacjenci nieraz bardziej wymagający niż gołębie.

—

POSZKODOWANE GOŁĘBIE, których stan zdrowia nie pozwala na wypuszczenie ich na wolność, trafiają do ptasich fundacji, o ile te mają miejsce i możliwość podjęcia opieki. Niektóre, w zależności od usposobienia czy stopnia niepełnosprawności, mogą zostać zakwalifikowane do adopcji. – To duża gałąź naszej działalności – mówi mi Jerzy Bialik z Gruszętnika. – Staramy się dobierać ptaka do osoby. Wcześniej upewniamy się, że będzie miał dobrą opiekę, obowiązuje umowa adopcyjna, wizyta przed-, a czasem i poadopcyjna, wysyłanie regularnie zdjęć podopiecznego wraz z informacjami o jego

eprasa.pl d281880d2c

stanie. Chętnie pomagamy, gdyby pojawiły się problemy zdrowotne.

Dariusz Grochal opowiada taką historię: – Pan spod Łodzi w trakcie spaceru z rodziną znalazł gołębia. Szukał pomocy, bo ptak miał problem z nogą. Była tak zmasakrowana, że w grę wchodziła tylko amputacja. Gołąb został z nimi. Mężczyzna przysyła mi nagrania, jak kładzie sobie ręcznik na kolana, bierze gołębia, głaszcze go, gołąb siedzi i razem oglądają telewizję.

Chatka Gołębia podchodzi do adopcji ostrożnie; każde wydanie ptaka poprzedzają wywiad i skrupulatna analiza kwestionariusza wypełnionego przez kandydata. – Moim marzeniem jest, żeby ludzie nie kupowali egzotycznych ptaków, ale adoptowali gołębie i dali im drugie życie – dodaje Grochal.

Towarzyszem człowieka może zostać też gołąb grzywacz. Pompon, oswojona samica grzywacza, mieszka we Wrocławiu z Natalią Paduszyńską, jej mężem i dwoma psami. Natalia, która jest biolożką, zoopsycholożką i behawiorystką zwierząt, tłumaczy mi, że dorosłe gołębie grzywacze słabo adaptują się do życia w domu. – Inaczej sprawa ma się z tymi wychowanymi przez człowieka od pisklęcia lub odłowionymi w bardzo młodym wieku, te nie zdążyły nauczyć się bycia grzywaczem – mówi.

Pompon została znaleziona jako pisklę przez mamę Natalii. Miejscowi weterynarze nie byli w stanie jej pomóc; okazało się, że nie jest w pełni sprawna, choruje na krzywicę i dlatego nie mogła wrócić na wolność – trwa rehabilitacja jej prawego skrzydła i stóp. U Paduszyńskich rozwinęła zachowania, które nie są spotykane u jej dzikich pobratymców.

– Obserwuje nas. Gdy mój mąż pracuje z domu, Pompi przychodzi i wpatruje się w komputer, czasem próbuje zjeść cyferki z ekranu. Słucha, gdy mąż gra na pianinie, ogląda z nami filmy na rzutniku, uwielbia siedzieć na otwartych drzwiach od zmywarki. Próbuje się też komunikować, spoglądając na interesujący ją obiekt, a następnie na nas. Cieszy się, gdy wracamy do domu, podskakuje i macha skrzydłami, a gdy coś ją zaniepokoi, biegnie w naszym kierunku, by się schować przy nas. Pompi ma dość dominujący, silny charakter, jest bardzo odważna i trudno stwierdzić, na ile to zasługa jej temperamentu, a na ile wychowania z nami – mówi mi Natalia Paduszyńska.

—

GOŁĘBIE, które nie mogą wrócić na wolność i znalazły dom u człowieka, mogą dożyć nawet 20 lat. Te, które żyją na ulicy, umierają po trzech, góra pięciu latach, za co odpowiadają głównie słaba jakość dostępnego pokarmu i drapieżniki. Wbrew pozorom tych ptaków wcale nie jest tak dużo, jak może się wydawać. – W Polsce cała populacja gołębi miejskich to około 200–500 tysięcy, w całej Europie jest ich 25–30 milionów, a na świecie 400 milionów – mówi mi Jacek Karczewski ze stowarzyszenia Jestem na pTak! – Dla porównania populację wróbla w Polsce szacuje się na 13 milionów osobników.

Niektóre miasta podejmują próby kontrolowania populacji gołębi. Pilotażowy program ma polegać na stworzeniu specjalnych gołębników, w których zostanie umieszczone ziarno kukurydzy ze środkiem antykoncepcyjnym.

Niektóre miasta podejmują próby kontrolowania populacji gołębi. W lutym 2026 roku dołączył do nich Kraków. Pilotażowy program realizowany przez miasto wraz z Fundacją Dzikusy Salamandry ma polegać na stworzeniu specjalnych gołębników, w których zostanie umieszczone ziarno kukurydzy ze środkiem antykoncepcyjnym. Rozwiązanie to przyjęły już niektóre miasta w Europie, na przykład Berlin i Paryż.

Według Tomasza Plasy, którego spotkałam podczas Akcji Sznurek, gołębniki to najlepsze rozwiązanie, jakie może być, nie tylko dla samych ptaków, ale też dla miast. Przykłady z Niemiec, Czech, Francji czy ze Szwajcarii udowadniają, że może to być skuteczny sposób sprawowania kontroli nad tymi ptakami w miastach.

– Gołębnik można postawić z dala od centrum. Ptak spędza w gołębniku ponad połowę doby, więc tu pozostanie większość jego odchodów – tłumaczy mi Tomasz. – W Niemczech z tego rozwiązania korzysta 40 miast i wciąż ich przybywa. Augsburg ma 12 takich gołębników i władze miejskie szacują, że przebywa tam 63 procent populacji gołębi tego miasta. To gołębniki wolno stojące, ale też zagospodarowane strychy w budynkach, również w tych zabytkowych. Oczywiście to miejsca pod nadzorem i z monitoringiem.

– Gołębie są wszędobylskie, wszechobecne i supermiejskie, są na placach, pomnikach, imprezach, pochodach. Tak jakby mówiły: „Jesteśmy tak samo Warszawiakami czy Londyńczykami jak wy" – opowiada Karczewski.

Gołąb Warszawiak? Znam takiego. Nazywa się Jerzy Bamboszek. Widzę, jak na grafice stworzonej przez Monikę Ludwicką z Domu Kultury Śródmieście przyozdabia sztuczną palmę na Rondzie de Gaulle'a dekoracjami świątecznymi. Opowiada mi Izabela Lenkiewicz, kierowniczka Działu Promocji i PR: – Któregoś dnia Olga Głuchowska [z zespołu promocji – przyp. red.] wpadła na pomysł powołania do życia maskotki – kulturalnego gołąbka, Jerzego Bamboszka. Gołębie to bardzo śródmiejskie zwierzęta, które mamy ochotę trochę odczarować, zdjąć z nich niechlubną łatkę „głupiutkiego sralucha" i „latającego szczura". Gołębie są cool. Szczególnie nasz Jerzy Bamboszek.

—

W SŁONECZNY wiosenny poranek spoglądam w kierunku okna. Na parapecie siedzi Stękający Gołąb i patrzy na mnie. Na nodze został mu głęboki ślad, biedak stracił też jeden palec. Ale żyje. Od tego czasu widujemy się na skwerku i kiedy on sobie skubie ziarna słonecznika, ja przypatruję się jego kończynom. Od tamtej pory na szczęście obie są zdrowe.

Przeczytaj nagradzany reportaż *Izabela Dłużyk, pani od Ptaszków* lub wysłuchaj go na **magazynpismo.pl/izabela-dluzyk**

eprasa.pl d281880d2c

RADIO 357

Pobierz aplikację i dołącz do społeczności
najlepszego internetowego radia bez reklam

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

FOTOREPORTAŻ

Litwo, halucynujesz

zdjęcia MICHAŁ ŁUCZAK, *tekst* AGA KOZAK

TO NIE JEST OPOWIEŚĆ o chłodniku, choć w pewnym sensie jest. To opowieść o tym, w jaki sposób kraj, z którym sąsiadujemy, ale o którym niewiele wiemy, pomysłowo buduje swoją tożsamość narodową.

eprasa.pl d281880d2c

MICHAŁ ŁUCZAK, fotograf, artysta wizualny, kurator. Absolwent Instytutu Fotografii Twórczej na Uniwersytecie Śląskim w Opawie w Czechach oraz filologii hiszpańskiej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Od 2010 roku członek kolektywu Sputnik Photos. Prowadzi warsztaty z fotografii dokumentalnej w ramach Programu Mentorskiego Sputnik Photos oraz wykłada na Wydziale Sztuki UKEN w Krakowie. Autor książek fotograficznych: *Brutal* (2012), *Koło miejsca / Elementarz* (wspólnie z Krzysztofem Siwczykiem, 2016), *11.41* (wspólnie z Filipem Springerem, 2016), *Extraction* (2026). Laureat konkursów: Magnum Expression Award, Mio Photo Award, Fotograficzna Publikacja Roku, Prix Pictet.

AGA KOZAK, dziennikarka, coachka, edukatorka. Autorka wywiadów z Anthonym Bourdainem, Esther Perel, Stingiem czy Brené Brown. Laureatka LGBT+ Diamonds Awards i jedna ze 100 najważniejszych edukatorek seksualnych wyróżnionych przez „Forbes Women". Współautorka książki *Sztuka męskości, czyli jak nie być chu*em* (2025). Laureatka Dźwigaczy Kultury Miasta Krakowa i jedna z 26 kobiet na 2026 magazynu „Elle".

Ktoś mógłby uznać, że Vilnius Pink Soup Festival, który co roku odbywa się pod koniec maja w Wilnie, to skrojona pod turystów kampania marketingowa miasta. Ale to o wiele więcej. Wyobraźcie sobie festiwal pieroga, który nie jest przaśny i nie odnosi się do martyrologii, tylko daje mnóstwo okazji do zrobienia wymyślnych i zabawnych zdjęć. Wyobraźcie sobie festiwal muzyczny, tylko że zamiast koncertów macie do wyboru różową zjeżdżalnię pełną piany albo kąpiel w różowym basenie w kształcie miski, a uczestnicy są poprzebierani za opakowania kefiru, ogórki, jajka na twardo i buraki, czasem – choć to trudniejsze – również za szczypior.

Vilnius Pink Soup Festival to skupione wokół chłodnika – prostego kulinarnego symbolu – narzędzie do budowania wspólnoty, które bez sztucznie nadmuchiwanego balonu patriotyzmu pozwala się spotkać i świętować. I to w sposób, który przypomina o wspólnotowości w wersji letniej posiadówki przy stole pod drzewem czereśni. Trochę Anton Czechow, a trochę Adam Mickiewicz, ale na wesoło. Z jednej strony robi się nostalgicznie, bo chłodnik pamiętamy z dzieciństwa, z drugiej – ten róż jest szalenie instagramowy.

Do uchwycenia jest jeszcze jedna rzecz: choć rozpoznajemy wyraźną ludyczność tego święta (jedną z atrakcji dnia jest bieg kelnerów z miską chłodnika na tacy), jednocześnie ta impreza pokazuje, jak nowoczesnym i sprawnie zarządzanym państwem jest Litwa. A do tego świętuje wspólnota, do której chce się przynależeć, bo uwielbia się bawić i ma na tyle specyficzne poczucie braku obciachu i humoru, że przebieranie się za składnik zupy uznaje za genialną propozycję na spędzenie weekendu.

Wilno – na co dzień miasto o wysokiej kulturze kulinarnej z czterema restauracjami wyróżnionymi Gwiazdką Michelin – raz w roku ogarnia chłodnikowy szał. Już parę tygodni przed Vilnius Pink Soup Festival w sezonowych kartach dań pojawiają się nie tylko zimna zupa, ale też panna cotta o smaku chłodnika czy buraczane drinki. W dniu festiwalu nie brakuje również chipsów o smaku chłodnika czy chłodnikowych dipów do słonych przekąsek, w tym do litewskiej specjalności – chrupek ze smażonego, ciemnego chleba.

O podawaną na zimno zupę na bazie buraków i kefiru moglibyśmy się z Litwinami pokłócić: to w końcu nasz Mickiewicz pierwszy raz o niej w literaturze wspomniał („litewski chołodziec milcząc żwawo jedli" – to fraza wyryta w umysłach wielu Polaków). A jednak w tej kłótni uprzedzili nas Łotysze. Zaczęło się od mema przekonującego, że chłodnik w Litwie smakuje lepiej niż w Łotwie, a potem lawina ruszyła. Łotwa odpowiedziała wiralowym kobiecym rapem: „Już czas, by wyjaśnić chłodnikową kontrowersję, Litwo, krok w tył, to gra Łotwy, Litwo, halucynujesz, twoje roszczenia są martwe, burak, kefir, szczypiorek razem, łotewski smak, łotewska duma". Litwini odpowiedzieli nagranym w dobę kawałkiem: „Dziewczyno, nie znasz nawet przepisu, a twoje rymy pisze ChatGPT, Łotysze, gdzie jest wasza chłodnikowa zjeżdżalnia?". Zjeżdżalnia jest oczywiście na Vilnius Pink Soup Festival, w którym w 2025 roku wzięło udział 93 tysiące osób, z czego co piąta przyjechała z zagranicy (w 2024 roku było zaledwie 42 tysiące uczestników, a w 2023 – 13 tysięcy). Zobaczymy, jaka frekwencja dopisze w tym roku, bo festiwal wydłużono aż do trzech dni: 29–31 maja.

Wieść niesie, że w tym roku do walki o to, do kogo należy chłodnik, stanie Estonia, która również uważa, że to jej danie narodowe.

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

Przestraszone dzieci przestraszonych rodziców

z JOANNĄ FLIS *rozmawia* KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

POKOLENIE MILENIALSÓW zostało wychowane w przekonaniu, że lęk to największe zło. I tym strachem przed uczuciem lęku i niepokoju zarażamy nasze dzieci, które powoli wchodzą teraz w dorosłość – mówi psychoterapeutka Joanna Flis.

Młody dorosły – w wieku 19–29 lat – nie chce wyjść z domu, obawia się spotkania w większym gronie czy pójścia na imprezę, unika rozmów przez telefon, woli pisać na komunikatorze. Często komentujemy to słowami: fobia społeczna.

Ja z kolei mam już kilka pytań. Skąd płynie łatwość takiego diagnozowania? Skąd wiemy, że te diagnozy są trafne? Chętnie powielamy opinie o kryzysach psychicznych młodych ludzi, ale co to właściwie znaczy? I dlaczego nazywamy lękiem społecznym czy fobią społeczną coś, co może być po prostu lękiem rozwojowym, zdrowym zjawiskiem związanym z intensywnymi zmianami, które pojawiają się w ciele i życiu młodych ludzi?

A przecież młodość jest takim okresem, kiedy ciągle mamy jakieś swoje pierwsze razy: pierwsze zakochanie, pierwsze porzucenie, pierwsze złamane serce, pierwszy bunt, pierwsze wyzwania, pierwsze znaczące zmiany w ciele, pierwsze lęki. I lęki są normalne, ale to, jak my dorośli reagujemy na normatywne lęki naszych dzieci, będzie miało ogromne znaczenie w ich życiu.

JOANNA FLIS, psycholożka, psychoterapeutka, pedagożka, naukowczyni i pisarka. Autorka popularnego podcastu *Madame Monday* oraz książek: *Po dorosłemu*, *Gry rodzinne*, *Co ze mną nie tak*, *Tak samo, ale inaczej*, *Współuzależnieni*. Ekspertka w projekcie Młode Głowy. Twórczyni projektu Self Control Zone poświęconego samoregulacji.

To odpowiedzmy na wszystkie pytania, które postawiłaś, bo często w mediach padają mocne hasła, które mogą nie mieć odzwierciedlenia w rzeczywistości. Jesteś ekspertką w Fundacji UNAWEZA, pracowałaś przy raporcie *Młode głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym* z 2023 roku, w zeszłym roku na BitterSweet Festival rozmawiałaś o wyzwaniach związanych ze zdrowiem psychicznym młodzieży. To zapytam: młodzi ludzie mają lęki społeczne czy nie?

Mają, ale często się zdarza, że to my dorośli zarażamy nimi dzieci.

Poproszę o rozwinięcie.

Według Światowej Organizacji Zdrowia 4,4 procent populacji ma zaburzenia lękowe, z czego większość stanowią osoby dorosłe. Ważne, żeby od tego zacząć, bo tak naprawdę to my dorośli często sami nie rozumiemy naszego lęku i jego funkcji. Nasze pokolenie, pokolenie milenialsów, zostało wychowane w przekonaniu, że lęk to największe zło, to słabość. I tym strachem przed uczuciem lęku i niepokoju zarażamy nasze dzieci, które powoli wchodzą teraz w dorosłość.

W jaki sposób?

Przekazujemy dzieciom instrukcję, której sami się nauczyliśmy, że lęk należy ukrywać, dysocjować, bagatelizować, a najlepiej go unikać. Milenialsi marzyli o tym, żeby być siłaczami, taką wojowniczką Xeną [postać z serialu fantasy popularnego w latach 90. – przyp. red.], kimś, kto nie czuje lęku, a nawet jeśli go czuje, to tego nie okaże, zaciśnie zęby.

eprasa.pl d281880d2c

rysunek AGNIESZKA WRZOSEK

eprasa.pl d281880d2c

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA, dziennikarka. Zastępczyni redaktorki naczelnej „Pisma". Redaktorka prowadząca wydań specjalnych. Autorka cyklu *Strategie przetrwania*, a także książek *Życie. Strategie przetrwania* oraz *Wielkie zmęczenie. Osobista historia cukrzycy typu 1.*

Nie da się mówić o tym, co się dzieje z młodymi, bez zrozumienia tego, co się stało z nadopiekuńczymi, przerażonymi, samotnymi rodzicami, którzy niestety nadal – gdy dziecko przychodzi i mówi, że ma niepokojące myśli, jest przestraszone, ma koszmary senne – reagują paniką. Dziecko się wtedy uczy, że lęku należy się bać. A to jest patomechanizm zaburzeń lękowych, w tym fobii, które często są strategią postępowania z emocjami. I takich strategii uczymy się, obserwując je u innych osób. Zastanawiam się, czy my, dorośli, poddajemy refleksji to, co przekazujemy dzieciom. Czy uczymy je różnych sposobów przeżywania emocji, czy raczej ich unikania? Gdy obserwuję, w jaki sposób próbujemy poradzić sobie z kryzysem psychicznym młodych, mam wrażenie, że chcemy rozebrać go na czynniki pierwsze, ująć w statystyki, zintelektualizować i znaleźć rozwiązanie, żeby młodzi nie czuli tego, co czują.

To wyjaśnij, proszę, skąd biorą się zaburzenia lękowe.
Zapominamy, że lęk jest wpisany w życie jako jedna z podstawowych emocji. Zaprasza nas do czujności, która każe nam rozejrzeć się na przejściu dla pieszych albo zwrócić uwagę na nietypowe dźwięki, kiedy idziemy sami przez las. Albo ćwiczyć różne scenariusze przyszłości, również te dla nas nieprzyjazne.
Zaburzenia lękowe rozwijają się wtedy, kiedy zaczynamy się tego lęku bać, czyli patologizujemy jego obecność w życiu i zaczynamy go unikać na różne sposoby. Tak bardzo boimy się lęku, że chcąc go uniknąć, zaczynamy ograniczać sytuacje, w których on występuje.

I co wówczas?
Jeżeli relacje społeczne mogą być dla nas źródłem lęku, to zaczniemy ich unikać i rozwija się na tym tle fobia – w rezultacie strategicznie zaczynamy unikać relacji społecznych. Natomiast chcę podkreślić jeszcze raz, że duża część reakcji młodych na ich własny lęk – poza zaburzeniami, które się przytrafiają na przykład z powodów biologicznych albo sytuacyjnych – rozpoczyna się od niewłaściwego stosunku do lęku dorosłych. Im częściej mówią: „Nasze dzieci boją się bardziej niż inne pokolenia, należy im tak organizować życie, żeby tego lęku było mniej", tym bardziej dolewają oliwy do ognia. To, co dzieje się z młodymi w kontekście samoregulacji i stosunku do emocji, jest w dużej mierze pokłosiem tego, co my – zaniepokojeni, przerażeni, przywiązani do konceptu wychowania bezstresowego rodzice – wnieśliśmy w ich życie.

Koncepcja wychowania bezstresowego, która pojawiła się w Polsce w latach 90., wciąż ma swoich zwolenników.
Pamiętam to, bo jako młoda, dwudziestokilkuletnia mama sama się z tą ideą, popularną wśród rodziców także w kolejnej dekadzie, zetknęłam: zafundujmy naszym dzieciom życie bez stresu, bez trudnych emocji, bez lęku. Bo sami byliśmy jako pokolenie tym lękiem obarczeni. Dziś zbieramy tego żniwo i próbujemy to odwrócić. Coraz częściej mówi się o tym, że potrzebujemy jako ludzie dyskomfortu, że wszystkie emocje są ważne, że trzeba je przeżywać, że przed lękiem nie należy uciekać. Ale zasialiśmy już ziarno w pokoleniu obecnych nastolatków i młodych dorosłych. Koncept bezstresowego wychowania mógł wykwitnąć tylko w środowisku, w którym ludzie marzyli o tym, żeby nie czuć.

Ale przecież w nas ten lęk nie wziął się znikąd – sami zostaliśmy wychowani przez rodziców, którzy doświadczyli całego spektrum PRL-u, a my wraz z nimi wielu zmian: niepewnych politycznie lat 80., zmiany ustrojowej i kryzysu gospodarczego pierwszej połowy lat 90., migracji za pracą. Zastanawiam się, na ile właśnie my jako dzieci przełomu epok dojrzewaliśmy z jednej strony zafascynowani zmieniającym się światem, ale z drugiej – obciążeni ogromnym lękiem poprzedniego pokolenia.
Myślę, że to jest bardzo trafne. My też byliśmy pokoleniem delegowanym przez naszych bliskich do awansu społecznego, do roli pierwszej osoby w rodzinie, która będzie miała wykształcenie albo wyjedzie za granicę czy weźmie udział w wyścigu szczurów. A jeśli nie do awansu, to do skonsumowania tych wspaniałości, które się przed nami otworzyły. I mieliśmy zrobić z nich użytek. To potężne obciążenie dla większości milenialsów.
A o tym, że my tego lęku mieliśmy w sobie dużo, świadczą przede wszystkim trzy strategie, które są charakterystyczne dla nas jako rodziców: perfekcjonizm, nadmierna kontrola oraz maskowanie lęku. Trudno nam sięgać po pomoc, mówić o tym, że się czegoś boimy. A skoro mamy w sobie tyle nieoswojonego lęku, którego nie umiemy obsługiwać, nazwać, zadbać o siebie, to jak mamy reagować na przejawy tych samych elementów związanych z życiem psychicznym u naszych dzieci? Odpowiadamy paniką. Skoro ja całe życie pracuję nad tym, żeby stłumić w sobie lęk, a on wybucha u mojego dziecka, to jest mało prawdopodobne, żebym powiedziała: „No dobrze, u siebie tłumię, ale u ciebie będę akceptować". To tak nie działa.
Dzieci z kolei nie potrafią jeszcze używać naszych strategii nadmiernej kontroli czy perfekcjonizmu do radzenia sobie z lękiem. Jednocześnie *Diagnoza młodzieży 2026* [raport Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej – przyp. red.] pokazała, że partycypacja młodych w podejmowaniu różnych decyzji jest za niska, nie mają gdzie uczyć się sprawczości. Czyli po pierwsze mamy świat, w którym młodzi nie mogą przeżywać lęku, a po drugie nie mogą być sprawczy w robieniu czegoś mimo tego

eprasa.pl d281880d2c

lęku. Dlatego w efekcie używają strategii niższego rzędu, czyli unikania.

Chciałabym się zatrzymać na chwilę przy tej sprawczości. W raporcie *Młode głowy* czytamy, że wyzwaniem dla młodych jest brak przygotowania do samodzielności i wiary we własne kompetencje. Z kolei z *Diagnozy młodzieży 2026* dowiadujemy się, że młodzi mają dużą wiedzę w kwestii zaburzeń psychicznych, ich sprawczość realizuje się w nazywaniu, w języku. To paradoks, że są dużo bardziej od nas świadomi swojego zdrowia psychicznego.

Tak, młodzi mają większą świadomość, ale używają języka terapeutycznego (klinicznego), oderwanego od głębi, posługują się jedynie etykietami pochodzącymi z kultury terapii, skrótami myślowymi oddającymi naturę zjawisk psychicznych. Stosują hasła, ale jednocześnie są daleko od doświadczenia. Za rzadko wykorzystują język opisowy. Mówią na przykład: „To mnie striggerowało", „Mam meltdown". To pojemne konstrukcje do wyrażenia dyskomfortu, ale jednocześnie takie etykietowanie swojego samopoczucia oznacza brak refleksji, zbliżenia się do indywidualnego przeżywania świata.

Podasz przykład?

Gdy przychodzi do mnie młoda osoba z problemem, to chciałabym od niej usłyszeć opis tego, co przeżywa. Na przykład: „Co wieczór, kiedy kładę się do łóżka, to myślę o tym, że mam grube nogi, zastanawiam się, co mogę zrobić, żeby schudnąć. Te myśli przychodzą do mnie wiele razy w ciągu dnia". Zamiast tego usłyszę od niej: „Mam zaburzenia odżywiania".

Czyli już to nazwała, choć nie wyjaśniła, co to właściwie dla niej znaczy.

A to oddala od własnego cierpienia. Wszystko nam się pochrzaniło z psychoedukacją w Polsce. Kiedy ćwierć wieku temu studiowałam psychopedagogikę, to najważniejszym elementem psychoedukacji było dostarczanie młodym ludziom języka do opisu własnego doświadczenia, a przede wszystkim korektywnych doświadczeń społecznych. Czyli coś się wydarza, więc aranżujemy doświadczenie społeczne – na przykład młodzi ludzie mają wspólnie zbudować szałas – dzięki temu uczą się, przeżywają, dostarczają sobie pewnej wiedzy, ale nie z głowy, tylko z ciała, z doświadczenia, z historii, co pozwala im lepiej funkcjonować w świecie. Potem mogą sobie to swoje doświadczenie ponazywać.

Dziś pomijamy ten etap. Szkoła ma mało przestrzeni na to, żeby dostarczać doświadczeń korektywnych specjalnie aranżowanych pod psychoedukację. Podobnie w domach – rodziny nie są już wielopokoleniowe, więc też jest mniej tych doświadczeń.

Czyli zamiast doświadczać, zaczynamy nazywać coś, czego nie przeżyliśmy?

Tak. Używamy języka terapii do nazywania nieoswojonych zjawisk, jeszcze zanim je świadomie przeżyjemy. I to jest jak z młotkiem. Gdy mam go w ręku, wszędzie widzę gwoździe. Jeżeli używam słowa „trigger", wszędzie widzę triggery, ale nie wiem, dlaczego mnie triggerują i co tak naprawdę robi to z moim ciałem. A im bardziej skomplikowanego języka używamy do opisywania zjawisk, które nas dotyczą, tym mniej sprawni się stajemy w radzeniu sobie z tą rzeczywistością. Młodzi są tego przykładem – są przeintelektualizowani, czytają dużo książek o tym, jak się przyjaźnić, a realnie mało się przyjaźnią, bo często siedzą zamknięci w domach.

Nie wiem, czy nasze dzieci są w kryzysie psychicznym, czy one po prostu żyją, a życie jest pełne wyzwań.

Czy to oznacza, że powinniśmy odrzucić język terapii i zacząć opisywać to, co nam się przytrafia?

Język terapii jest potrzebny w gabinecie terapeutycznym. Używamy go, by lepiej opisać bardzo subiektywne doświadczenia pacjentów, którzy dzięki temu widzą, że to, co czują, czego doświadczają, ma swoją nazwę, że to można leczyć. Czyli język oswaja doświadczenie. Ale kiedy ten sam język przenika do świata codziennego, to robi więcej szkody niż pożytku, bo wówczas oddala nas od doświadczeń.

Sama też się do tego przyczyniam, bo moje książki o dysfunkcyjnych domach, DDA czy DDD [odpowiednio syndromy: dorosłego dziecka alkoholika i dorosłego dziecka z rodziny dysfunkcyjnej – przyp. red.] również tym językiem operują. To są najczęściej treści przeznaczone dla ludzi, którzy doświadczyli krzywdy, przemocy i nie mają instrukcji samoobrony, żeby postawić granice czy choćby rozpoznać, że ktoś im robi krzywdę. I te książki dostarczają takim osobom niezbędnych narzędzi do ochrony siebie, ale na etapie opisu zjawiska, postawienia granic są dość autorytarne. Chodzi o to, żeby nauczyć czytelnika w potrzebie zamykać drzwi, wyraźnie stawiać granice.

Natomiast gdy my, dorośli, używamy języka terapii i pojęć odnoszących się do psychopatologii, by opisywać doświadczenia młodych – „fobia", „zaburzenia", „kryzysy psychiczne", czyli terminów zarezerwowanych dla terapii – to nie oddaje on całej złożoności ludzkiej psychiki, ponieważ oscyluje wokół patologii i dysfunkcji, wokół problemów. I potem zaczynamy wykorzystywać ten język w sytuacjach powszechnych, przez co koszyczek pojęć nasyca nam się treściami, które były dotychczas zarezerwowane dla sytuacji wymagających interwencji terapeutycznych.

Jeżeli czytamy o sobie, że prawie wszyscy mniej lub bardziej pochodzimy z rodzin dysfunkcyjnych, to siłą rzeczy przekładamy ten język na doświadczenie pokoleniowe.

eprasa.pl d281880d2c

Tak, chcemy być częścią większej całości. Jasne, to jest język, który na jakimś etapie pracy terapeutycznej ze sobą jest potrzebny, by sobie uświadomić pochodzenie z dysfunkcyjnego domu. Ale to nie jest język na całe życie.

Trigger, trauma, meltdown, borderline, zaburzenia, dysocjacja, kryzys psychiczny.
To są słowa zarezerwowane dla sytuacji skrajnych. Mam wielką niezgodę na mówienie, że teraz dzieci są w kryzysie psychicznym. Jasne, mają różne wyzwania rozwojowe, bo są kryzysy normatywne, sytuacyjne, wywołane czynnikami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Nie wiem, czy nasze dzieci są w kryzysie psychicznym, czy one po prostu żyją, a życie jest pełne wyzwań. A samo pojęcie „kryzys psychiczny" dodaje potwornego ciężaru do wszystkich momentów, w których nasze dzieci jakoś nas niepokoją, potrzebują wsparcia albo po prostu zwyczajnie się z czymś zmagają, bo robią to po raz pierwszy.
Część z tych dzieci potrzebuje pomocy psychologa, psychiatry, ale gdy siedmiolatek słyszy, że jest uzależniony od telefonu, to nie wiem, jakiego języka będzie trzeba użyć, kiedy naprawdę będzie uzależniony. To jak powiedzieć osobie, która w danym momencie jest smutna, że ma depresję. Jej zdrowiu psychicznemu to nie pomoże. A my rzucamy na prawo i lewo diagnozami.

Słucham historii o studentach, którzy najchętniej odbywaliby zajęcia zdalnie, o młodych ludziach, którzy mówią, że triggeruje ich rozmowa przez telefon albo nie mogą spotykać się ze znajomymi, bo wszędzie widzą red flagi, czy też boją się iść na koncert.
Red flagi stały się zasłoną dymną do wszelkich prób unikania dyskomfortu. A dyskomfort uważamy za awarię. Czyli jeżeli ja czuję dyskomfort w jakiejś relacji, bo na przykład zawstydziłam się albo przestraszyłam, to musi znaczyć, że ta relacja nie działa. Wydaje nam się, że świat społeczny powinien funkcjonować jak dobrze zaplanowana aplikacja, bez przeszkód i potknięć. A przecież relacje wymagają współdziałania, zawierania kompromisów, zgadzania się czasem na rzeczy, które są nam nie na rękę, tolerowania cudzych błędów, sprzeczek.

Przychodzi do ciebie młody dorosły i mówi, że został wysłany przez rodziców, kolegę lub żonę, bo ma fobię społeczną. Boi się wychodzić z domu, nie spotyka się ze znajomymi, bo to powoduje jego dyskomfort, ale też stało się już kłopotliwe. I co teraz?
Proces diagnostyczny obejmuje kilka etapów. Ważnym jego elementem jest wysłuchanie opowieści klienta o tym, jak widzi swoją rzeczywistość, po czym wnioskuje, że ma fobię społeczną, które objawy według niego o tym świadczą, od kiedy to się w jego życiu dzieje.

Red flagi stały się zasłoną dymną do wszelkich prób unikania dyskomfortu. A dyskomfort uważamy za awarię.

Absolutnie nie chodzi o to, żeby odbierać komuś język i sprawczość w nazywaniu swoich stanów, bo czasem rzeczywiście jest tak, że na przykład ktoś ma bogaty język terapeutyczny do tego, żeby opowiedzieć o swoim doświadczeniu, a ubogi język powszechny. Czyli gdybyśmy zabrali ten pierwszy, klient nie będzie wiedział, o czym ma mówić i jak się zabrać za swoje wnętrze. Ale często na tym etapie dostarczam pacjentom nowego języka. Czyli gdy ktoś mówi: „To mnie triggeruje", użyję innego słowa i powiem: „Rozumiem, że ciebie to «drażni», «irytuje», «pobudza», «wkurza» albo «reagujesz na to alergicznie», «wstydzisz się za kogoś», «czujesz zażenowanie»".

To pomaga?
Ludzie szybko poszerzają swoją zdolność do opowiadania o sobie, gdy widzą, że po drugiej stronie jest osoba, która chce z nimi rozmawiać innym językiem niż kliniczny. Bo jest on jedną z form oddalania się od siebie. Patrzę na siebie z oddali jak na pewien konstrukt, który rozbrajam i przejmuję nad nim władzę. Tylko kim jest ten „ktoś", kto to wszystko robi? Bo to z tym „ktosiem" dobrze jest pracować.

Czyli lepiej, kiedy ludzie zbliżają się do swojego doświadczenia i mówią: „Ja to tak sobie myślę, że jestem po prostu porypana", niż kiedy stwierdzają, że mają nieprawidłowy styl przywiązania i coś ich triggeruje?
Właśnie, bo to naprawdę często niewiele znaczy. Zresztą we wszystkich współczesnych paradygmatach terapeutycznych mówi się o tym, żeby przechodzić na etap diagnozy funkcjonalnej, opisowej, trochę jak w przypadku oceny dziecka w szkole, żeby ona znaczyła coś więcej niż tylko odhaczanie objawów. Terapeuci na całym świecie coraz rzadziej używają języka klinicznego. W Polsce wciąż lubimy popisać się wiedzą i używamy trudnych sformułowań, ale psychoterapia nie idzie w tym kierunku. A wracając do klienta, to oczywiście etap diagnostyczny jest potrzebny. Na przykład umawiamy się, że przez następne dwie sesje spróbujemy postawić diagnozę, o ile jest potrzebna.

A może nie być potrzebna?
Stare paradygmaty terapeutyczne zakładały, że jest niezbędna, szczególnie odkąd psychoterapia stała się narzędziem medycznym. Medycyna potrzebuje diagnoz, by właściwie leczyć. Ale możemy pracować bez nich. Na przykład terapia humanistyczna Carla Rogersa, terapie egzystencjalne czy terapie narracyjne, o których napisałam książkę *To samo, ale inaczej*, zapraszają nas do świata, w którym my z różnych perspektyw opowiadamy o własnym doświadczeniu. Terapia narracyjna bazuje na metaforach, którymi ja lubię się posługiwać.

eprasa.pl d281880d2c

Na przykład?
Sięgnę po metaforę ogrodu. Gdy przychodzi klient i mówi mi, jaką sobie diagnozę postawił, to tak, jakby zaczął opowiadać o swoim ogrodzie, ale od strony technicznej. Na przykład: tu mamy glebę żyzną, tam jałową, tu rosną cyprysiki, a tam poziomki. Ale to nic nam nie mówi o osobie, która ten ogród opisuje. Nie wiemy, jaki ma do niego stosunek, co jej się w nim podoba, czy go lubi, co by chciała w nim zmienić. I taki jest język diagnostyczny. A w ramach terapii narracyjnej zachęcam do opisywania swoich wrażeń związanych z ogrodem, przyłapywania się na swoich przekonaniach o nim – na przykład że tutaj z tego fragmentu już nic nie da się zrobić, a potem okazuje się, że to świetne miejsce na posadzenie tam czegoś zupełnie innego.

Albo do wypoczynku.
Albo do wypoczynku. I oprócz opisywania swoich wrażeń związanych z ogrodem i odkrywania w sobie utartych przekonań na jego temat – czyli tak naprawdę na swój – zaczynamy patrzeć na niego z różnych perspektyw. Bo ten sam ogród o poranku z parteru będzie inaczej wyglądał niż wieczorem z jakiegoś okna wychodzącego na zachód. I też takie jest nasze życie psychiczne. Często jest tak, że ludzie chcą dostać diagnozę, żeby wiedzieć, co zmienić. I to jest bardzo ważne w kryzysach psychicznych, ale w pracy rozwojowej nad sobą już nie. Nasze życie nie jest komputerem, który się zepsuł i trzeba go naprawić, żeby znowu był super. Za to potrzebujemy spojrzeć na siebie poprzez nasz subiektywny sposób rozumienia własnego życia i potem samemu zdecydować, czy chcemy coś zmienić, czy nie. Medyczne wskazania nie są do tego niezbędne.
Niejednokrotnie klienci przychodzą, żeby odkryć, co z nimi jest nie tak, żeby im powiedzieć, nad czym mają popracować. Ale terapeuta nie jest architektem ogrodów swoich klientów. Klienci mają sami wybrać, jak chcą żyć, dokąd chcą zmierzać, co chcą zmienić, a my im towarzyszymy. Również w rozczarowaniach, że pewnych rzeczy zmienić się nie da.

Czyli nie dowiem się, gdzie posadzić poziomki?
Nie. Trzeba to zrobić samemu i sprawdzić, czy się przyjęły. A my jesteśmy od tego, żeby w tym odkryciu towarzyszyć, bo jeśli wskażemy drogę, to już ktoś sam nie zaryzykuje i może potem całe życie tego żałować.

No dobrze, to masz tego ogrodnika, który przychodzi i mówi: „U mnie to nic nie rośnie. Nawet nie wychodzę do tego ogrodu, żeby sprawdzić, czy urosło. Ale chciałbym to zmienić". Jak się z taką osobą pracuje? Co można jej zaproponować albo co można jej zasugerować, żeby zaczęła sadzić?

Pismo. MAGAZYN OPINII

Zapisz się na nasze newslettery.

Aktualności Pisma

W każdy piątek redaktorka naczelna **URSZULA KIFER** poleci Ci jeden tekst, który warto przeczytać w weekend.

Powody do radości

MAGDALENA KICIŃSKA z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.

Wybór zagraniczny

Co w prasie zagranicznej zaciekawiło **MARCINA CZAJKOWSKIEGO**, redaktora i *fact-checkera* „Pisma"?

Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/newslettery i zapisz się.

eprasa.pl d281880d2c

Musimy sprawdzić, jaka jest zdolność klienta do znoszenia niepokoju, czyli kiedy czuje ten niepokój, którego unika, czy są wyjątki od tej sytuacji. Często osoby z fobiami społecznymi albo zaburzeniami lękowymi, które zaczynają przyjmować strategię unikania, są dopiero w procesie. To nie jest jeszcze stan totalnego wycofania się z życia, zerowego kontaktu z rzeczami niepokojącymi – bo takie stadium najczęściej wymaga hospitalizacji. Zwykle trafiamy do gabinetu na wcześniejszym etapie. Jest wówczas ważne, by sobie uświadomić, jak to się stało, że ten niepokój związany z przyjściem do gabinetu – do nowego miejsca – był do zniesienia. I próbujemy się zastanowić, jak to się dzieje, że w niektórych sytuacjach radzę sobie z niepokojem, a innych sytuacji unikam. Ludzie często odkrywają, że mają strategie na konkretne sytuacje, które w innych nie działają. Na przykład jeżdżę taksówką, a nie autobusem.

Czy kolejnym krokiem będzie wejście do autobusu?
Tak, bo praca z zaburzeniami lękowymi polega właśnie na wystawianiu się na sytuacje lękorodne, na poszerzaniu zdolności do znoszenia dyskomfortu. Także na desensytyzacji tego lęku, czyli na zbudowaniu w sobie przekonania, że będę umiała wytrzymać to napięcie, które mi towarzyszy. W zależności od poziomu zaburzeń lękowych stosujemy terapię poznawczo-behawioralną, czyli zmieniamy nasze przekonania, które towarzyszą nam w lękowych sytuacjach, i ćwiczymy nowe zachowania. To jest bardzo wdzięczna praca, bo zaburzenia lękowe są wbrew pozorom dość plastyczne, jeżeli rozumiemy ich architekturę.

Czyli większym wyzwaniem, jak rozumiem, jest mechanizm unikania samego lęku, od którego zaczęłyśmy rozmowę?
Unikanie samego lęku jest patomechanizmem fobii, zaburzeń lękowych. I ten mechanizm trzeba zrozumieć. Czy miałam atak paniki w autobusie i już nie chcę, żeby to się powtórzyło, więc nie jeżdżę autobusami? Samo unikanie ma chronić, ale w praktyce nas więzi. Dlatego praca w gabinecie polega na tym, że moi klienci uczą się rozpoznawać patomechanizm i rozbrajać go w różnych sytuacjach.

To trudne?
Są osoby, które mają tendencję do wycofywania się w obliczu trudnej sytuacji. Wtedy pracujemy nad tym, żeby to zmienić. Ale celem tej pracy nie jest przejście od unikania do całkowitego zaangażowania w życie z ciągłą ekspozycją na niepokój. Nie o to chodzi. Patrzymy, które zmiany są warte wysiłku, a które niekoniecznie i nie ma wtedy potrzeby nadawania im nadmiarowego znaczenia. Dziś pięć razy wystawiłam się na niepokój, a trzy razy nie. I bilans jest na plus. Nie możemy też patrzeć na zaburzenia lękowe jak na coś, co możemy albo musimy całkowicie wyeliminować z naszego życia. Poprzeczkę stawiamy w miejscu możliwym do osiągnięcia.

Trzeba sobie zadać pytanie: „Czy ja mam w życiu przestrzeń na zdrowe dziecko?". Wiele osób przyznaje, że tej przestrzeni nie ma.

Ale też wyobrażam sobie, że jeśli ktoś się nauczył strategii unikania, to trochę jak z paleniem papierosów, zawsze będzie kusić.
Trzeba oddać sprawiedliwość temu mechanizmowi, że na pewno wielokrotnie uratował nam samopoczucie. Więc też mam takie przekonanie, że cokolwiek nam się w życiu wydarza, to jednak przytrafiło się z wyraźnego, pozytywnego powodu, żeby nas chronić. I warto nauczyć się z tych przysług korzystać, ale też bez nadawania im wielkiej rangi. Każdy z nas ma jakieś swoje dziwactwa i jakbyśmy zaczęli się diagnozować, to mogłoby się okazać, że wszyscy jesteśmy „do poprawy", ale chyba nie po to powstała nauka o zdrowiu psychicznym, żeby mówić, że wszyscy jesteśmy chorzy.

Zaczęłyśmy od tego, że pokolenie młodych, które teraz wchodzi w dorosłość i tej dorosłości się obawia, nie zostało należycie wyposażone w umiejętności społeczne. Jak z tym mamy żyć i pracować?
Młodzi, którzy chorują na depresję, zaburzenia lękowe czy są w kryzysie psychicznym, powinni otrzymać profesjonalne wsparcie. Ich rodziny także, bo to, czego doświadczają dzieci, jest tylko objawem tego, co się dzieje z systemem społecznym. Przyczyna bardzo często leży w środowisku społecznym tych młodych ludzi, czyli w rodzinie. Na przykład, gdy rodzinom w terapii zada się takie pytanie: „Co by się musiało stać, gdyby państwa dziecko przestało chorować na depresję i na przykład od jutra stałoby się ciekawe świata, zaangażowane w życie, takie, które chce się uczyć, spędzać z wami czas, spotykać się ze znajomymi. Co by to zmieniło w waszym życiu?", okazuje się, że życie tych rodziców musiałoby się zmienić o 180 stopni.
Między innymi nie mogliby tyle pracować, bo trzeba by było dziecko dowozić do koleżanek i kolegów, a także zastanowić się, jak jednocześnie znaleźć czas dla pozostałej dwójki czy trójki. Albo rodzice mają pasję: chodzą na squasha lub jeżdżą na rowerze, biorą udział w triathlonach i musieliby z czegoś zrezygnować. To jest też ważne i brutalne pytanie, które trzeba sobie zadać: „Czy ja mam w życiu przestrzeń na zdrowe dziecko?".

Tekst powstał we współpracy z **BitterSweet Talks**, inicjatywą kulturotwórczą tworzoną przy BitterSweet Festival. Druga edycja festiwalu odbędzie się 13–15.08.2026 r. w Poznaniu.

eprasa.pl d281880d2c

Wiele osób w sprzyjających warunkach terapeutycznych, w których nie bawimy się w ocenę, przyznaje, że tej przestrzeni nie ma. „Byśmy się w końcu rozwiedli" – to też mówią rodzice.

To smutna refleksja.
Podkreślam, że nie chodzi o ocenianie, ale o dostrzeżenie mechanizmów, jakie rządzą w danej rodzinie. W rodzinach, w których rodzice mają dużo pracy, także wieczorami, po nocach, albo narzekają na to, że są przemęczeni, nie mają dla dzieci czasu, te często są zależne od nowych technologii. Siedzą sobie w swoich pokojach, grzecznie się czymś zajmują. Depresja dziecka okazuje się wtedy jedynym sposobem na to, żeby ściągnąć uwagę rodziców. A ta skierowana na patologię wzmacnia patologię. Jeżeli moja mama jest ze mną blisko i prowadzi ze mną długie rozmowy przed snem, kiedy nie mam siły iść do szkoły albo kiedy powiedziałam, że mam myśli samobójcze, albo kiedy upiłam się z koleżanką, nagle to, że rodzic ma dla mnie czas, interesuje się mną, jest dla mnie jasnym sygnałem: jeżeli nadal tak będę postępować, to dostanę więcej troski i miłości.
Niestety zdrowe, samodzielne, sprawcze dzieci otrzymują najmniej uwagi, bo można się nimi nie zajmować. To, co się dzieje z młodymi, jest dla mnie objawem tego, co się dzieje z dorosłymi. Praca z młodymi często polega na pracy z ich rodzicami. W mojej praktyce terapeutycznej miałam tak nieraz, że dziecka na oczy nie widziałam, a jego życie się zmieniło, bo rodzice wprowadzili zmiany w rodzinie.

A co można zrobić z takim dwudziestoparoletnim młodym dorosłym, który ma te same wyzwania, a już nie wpłynie na niego zmiana systemu rodzinnego?
Jako rodzice musimy zredefiniować naszą rolę także w towarzyszeniu dorosłym dzieciom. Kiedy występuje bezpośrednie zagrożenie życia i widzimy, że nasze dziecko nie wychodzi z domu, to podejmujemy interwencje kryzysowe. Wtedy zachęcam do tego, żeby pójść do terapeuty i z nim wypracować interwencję wobec dziecka. Wielu młodych dorosłych na etapie wycofywania się z życia i problemów ze zdrowiem psychicznym wraca do swojego domu rodzinnego albo nigdy z niego nie wychodzi, bo młodzi boją się teraz wyjść z domu, usamodzielnić.

Z czego to wynika?
Jeżeli młodzi nie chcą się usamodzielniać, to tylko dlatego, że nie ma warunków do sprawczego usamodzielnienia. Rynek mieszkaniowy jest poza ich finansowymi możliwościami, wynajem jest bardzo drogi, na kredyt ich nie stać. Praca często nie zaspokaja potrzeb. Naszą cechą jest potrzeba rozwoju, usamodzielnienia, sprawczości, przynależności. Ale jeżeli warunki temu nie sprzyjają, nie możemy tego realizować i wtedy się zaczynają różnego rodzaju dysfunkcje, patologie, przeszkody rozwojowe.

A czy to usamodzielnianie się nie zaczyna się w domu?
To jest jeszcze inna sprawa związana z tym, kiedy młody dorosły powinien się usamodzielnić i wyjść z domu. Usamodzielnianie się zaczyna się od tego, żeby nauczyć dzieci sprzątania po sobie, a gdy pójdą do pracy – dokładania się do wspólnego życia i zachowywania jak dorośli. Jasne, jeśli rodzina nie jest w stanie swojego 22-latka traktować jak osoby dorosłej i wymagać od niego tego wszystkiego, to musi go wypchnąć poza stado, żeby tam się nauczył odpowiedzialności. Ale dlaczego w rodzinach, w których te warunki do usamodzielnienia istnieją, upieramy się, że wszyscy muszą z tego domu wyjść?

Czyli warto rozważyć wspólne mieszkanie z młodymi dorosłymi, bez wymuszania na nich życiowych zmian?
Biorąc pod uwagę wydłużający się czas naszego życia, musimy przygotować się na to, że okres dorastania także proporcjonalnie będzie dłuższy. Bo my cały czas mamy z tyłu głowy, że wydłuża się okres starości i dorosłości. A na ile się znam na zdrowiu psychicznym, to mogę zaryzykować stwierdzenie, że wszystkie okresy wydłużają się proporcjonalnie. I jak patrzymy na zmiany w naszym życiu społecznym – teraz na szczęście już wiemy, że ośmiolatki są za małe na pracę w fabryce, a 13-latki na bycie żonami i matkami – tak być może za jakiś czas odkryjemy, że dzieciństwo trwa jeszcze dłużej, podobnie okres dojrzewania i niewykluczone, że 20-, 23-latek jeszcze jest w tej fazie, a wczesna dorosłość zaczyna się na przykład po 25., a nie po 18. roku życia, jak mówi prawo. Magiczna osiemnastka już w tej chwili nic nie znaczy.

Czyli trzeba przemodelować nasze myślenie o dorosłości, wspólnotowości i o tym, co społeczeństwo ma młodym do zaoferowania.
Bo co my jako społeczeństwo systemowo proponujemy młodym? Czym jest ta wspaniała dorosłość? My sami, wchodząc w dorosłość, nie mieliśmy specjalnie wiedzy, jak ona ma wyglądać, a rzeczywistość tak szybko się zmieniała, że musieliśmy się ciągle adaptować. A teraz, czterdziestoparoletni, kopiemy się z koniem rozczarowania. Bardzo mnie rozczuliło to, co powiedział w jednej rolce Kamil Nowak, autor blogojciec.pl: „Jeżeli będzie ci w życiu trudno, możesz wrócić do domu. Jeżeli będziesz mieć kryzysową sytuację, możesz wrócić do domu. Jeżeli nie będziesz miał z czego żyć, możesz wrócić do domu". To jest postawa, której dziś potrzebujemy.

eprasa.pl d281880d2c

Sensoryczne tory przeszkód

tekst PAWEŁ KICMAN

INTEGRACJA SENSORYCZNA to prawdziwy hit na rynku terapii dzieci w spektrum autyzmu. Ale czy za atrakcyjną, obiecującą efekty formą idzie udowodniona naukowo skuteczność?

Poczekalnię od sali ćwiczeń dzieli kilkumetrowy korytarz i dwoje zamkniętych drzwi – mimo to praktycznie przy każdej wizycie słyszę śmiech mojego dziecka. Nie ma co ukrywać, bardzo lubi te zajęcia. Rzeczywiście sprawiają wrażenie świetnej zabawy – bujanie na huśtawce, tory przeszkód, masaże, rzucanie piłkami. Przypomina to trochę mieszankę lekcji wychowania fizycznego, aktywności znanych z placu zabaw i fizjoterapii.

Od półtora roku, raz w tygodniu, jeżdżę z sześcioletnią córką na zajęcia z integracji sensorycznej (*sensory integration*, SI). Zostały nam zapisane w związku z diagnozą spektrum autyzmu (*autism spectrum disorder*, ASD), a zlecił je zespół orzekający z poradni psychologiczno-pedagogicznej w ramach wczesnego wspomagania rozwoju (WWR). To ministerialny program finansowany ze środków publicznych, realizowany w wymiarze od czterech do ośmiu godzin miesięcznie.

Wydaje się, bo przecież nie badam tego żadnymi profesjonalnymi narzędziami, że córka rzeczywiście korzysta na SI. Gołym okiem widać, że ma lepszą koordynację, sprawniej radzi sobie w różnych aktywnościach fizycznych, takich jak wspinanie, nabrała też znacznie więcej pewności siebie w próbowaniu nowych sportów. Oczywiście to może być zasługa wielu innych czynników – w końcu jest coraz starsza, no i podejmuje też inne aktywności poza integracją sensoryczną. Ale co, jeśli to właśnie ta metoda jest kluczem i rzeczywiście wspomaga rozwój mojego dziecka?

Problem w tym, że wcale nie tak łatwo to udowodnić. Psycholożka i psychoterapeutka Kinga Rajchel, mówiąc o terapiach niezweryfikowanych naukowo, jednym tchem wymienia SI obok homeopatii, totalnej biologii i programowania neurolingwistycznego – oddziaływań opartych na nieprawdziwych założeniach, o nieudowodnionej naukowo skuteczności. Czy to uprawnione porównanie? I czy w ogóle SI działa – a jeśli tak, to na co właściwie? A może to tylko wielki biznes, którego popularności trzeba szukać nie w efektywności, a zupełnie gdzie indziej?

ZACZNIJMY jednak od początku. Założenia teoretyczne SI sformułowała w 1972 roku Anna Jean Ayres, amerykańska terapeutka zajęciowa i doktorka psychologii, wskazując, że sposób, w jaki mózg dziecka przetwarza bodźce zmysłowe, to jeden z fundamentów jego rozwoju. Integracja sensoryczna jest rozumiana jako nieświadomy proces neurologiczny polegający na odbieraniu, porządkowaniu i łączeniu informacji płynących z ciała oraz otoczenia w taki sposób, aby mogły zostać wykorzystane do celowego, adekwatnego działania. Prawidłowe przetwarzanie bodźców umożliwia dziecku skuteczne funkcjonowanie w różnych obszarach – nie tylko ruchowym, ale też intelektualnym czy emocjonalnym, natomiast zaburzenia tegoż przetwarzania mogą prowadzić do trudności w zachowaniu, uczeniu się i samoregulacji.

W teorii integracji sensorycznej szczególne znaczenie przypisuje się tak zwanym zmysłom bazowym: dotykowi, propriocepcji (zdolności do rozpoznawania pozycji i ruchu ciała w przestrzeni) i układowi przedsionkowemu, które dostarczają mózgowi podstawowych informacji o ciele i jego relacji z otoczeniem. Prawidłowe przetwarzanie tych bodźców ma umożliwiać powstawanie adaptacyjnych odpowiedzi, czyli adekwatnych reakcji na wymagania środowiska,

eprasa.pl d281880d2c

rysunki PAWEŁ MILDNER

eprasa.pl d281880d2c

PAWEŁ KICMAN, dziennikarz, projektant gier fabularnych, pracownik dydaktyczny Uniwersytetu SWPS. Jego teksty publikowały m.in. „Pismo", Dwutygodnik, „Gazeta Wyborcza", „CD-Action" czy „Nowa Fantastyka".

i opiera się na założeniu plastyczności mózgu zdolnego do reorganizacji pod wpływem doświadczeń.

Metoda SI bazuje na przekonaniu, że na zaburzenia przetwarzania bodźców sensorycznych (*sensory processing disorder*, SPD) można wpłynąć odpowiednio dobranymi oddziaływaniami terapeutycznymi. Nasuwa się tutaj kilka pytań: „Jak się to diagnozuje?", „Na czym polegają te oddziaływania?", ale też „Czy ta teoria została naukowo potwierdzona?". W odniesieniu do tej ostatniej kwestii przez dekady pojawiało się sporo wątpliwości.

W książce *Terapia integracji sensorycznej w Polsce. Fakty, mity, analiza fenomenu* doktorka nauk społecznych Agnieszka Sternak, psycholożka i adiunktka na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, sporo miejsca poświęca przeglądowi podobnych głosów, zwracając uwagę na krytyczne argumenty dotyczące niejednoznaczności definicji, braku badań lub ich ograniczeń metodologicznych, a także trudności w przedstawianiu jednoznacznych dowodów. Jednocześnie autorka przywołuje nowsze argumenty, które przemawiają za teoriami Ayres. Odsyła choćby do tekstu Shelly J. Lane i jej zespołu z 2019 roku, zatytułowanego *Neural Foundations of Ayres Sensory Integration®* (*Podstawy neuronowe integracji sensorycznej Ayres®*) – symbol ® nie jest tu przypadkowy, nazwa została zarejestrowana jako znak towarowy w 2007 roku, żeby wyraźnie odróżnić ją od innych teorii czy terapii „sensorycznych".

W swojej analizie Lane pokazuje, jak współczesna neurologia, wsparta zaawansowanymi metodami obrazowania, do których Ayres nie miała dostępu 50 lat temu, w pewnym stopniu potwierdza niektóre intuicje psycholożki. Mózg rzeczywiście integruje informacje z wielu zmysłów na różnych poziomach, a układ przedsionkowy i somatosensoryczny [pierwszy odpowiada za zmysł równowagi, drugi zaś za proprioceptcję i czucie powierzchniowe – przyp. red.] wpływają nie tylko na ruch, ale też na uwagę, samoregulację i planowanie działania. Jednocześnie dane sugerują, że zależności między przetwarzaniem sensorycznym a funkcjami poznawczymi (jak pamięć czy uwaga) są bardziej złożone, niż pierwotnie zakładała Ayres. W jej analizie brakowało też jednoznacznych dowodów neuroobrazowych wskazujących, w jaki sposób terapia SI miałaby bezpośrednio wpływać na funkcjonowanie mózgu.

A jak wygląda SI w praktyce? Oprócz wspomnianych wcześniej ćwiczeń do oddziaływań zalicza się też: układanie puzzli, skakanie na skakance, rozpoznawanie zapachu, dotykanie przedmiotów o różnych fakturach czy chodzenie po nich, wspinanie się na ścianki wspinaczkowe – a to zaledwie część z pokaźnej listy możliwych interwencji. Takie listy można znaleźć nie tylko w fachowej literaturze, ale również na stronach placówek szkolnych, kanałach na YouTubie czy profilach terapeutów i terapeutek na Instagramie, a nawet na stronie Decathlonu. Dla rodzica ilość dostępnych informacji dotyczących integracji sensorycznej może być wręcz przytłaczająca.

Do oddziaływań SI zalicza się też: układanie puzzli, skakanie na skakance, rozpoznawanie zapachu, dotykanie przedmiotów o różnych fakturach, wspinanie się na ścianki wspinaczkowe.

Aby przybliżyć różnorodność terapii SI, zaprosiłem do rozmowy doktorkę Iwonę Palicką, psycholog kliniczną, terapeutę integracji sensorycznej i prezes zarządu Polskiego Towarzystwa Integracji Sensorycznej. Zapytałem ją, czy rzeczywiście tak trudno zdefiniować i odróżnić metody SI od innych oddziaływań terapeutycznych, szczególnie że w ramach jednych zajęć mogą być łączone choćby z metodami fizjoterapeutycznymi czy logopedycznymi.

– W ocenie skuteczności terapii ważne jest, żeby badać określoną interwencję, a nie wszystkie, które w nazwie mają „sensoryczna". Chodzi o określone metody spełniające kryteria Ayres Sensory Integration (ASI). W badaniach pojawia się problem, gdy łączy się wszystkie oddziaływania „sensoryczne". Terapie nieoparte na założeniach ASI mieszają się wtedy z tymi związanymi ogólnie z terapią zajęciową – mówi Palicka.

W takim razie jakie konkretne aktywności spełniają kryteria ASI? Żeby to sprawdzić, sięgam po podręcznik *Integracja sensoryczna a przetwarzanie sensoryczne* pod redakcją naukową Ewy Emich-Widery, Olgi Przybyli, Beaty Kazek oraz Iwony Palickiej. To obszerne kompendium przeznaczone dla profesjonalistów, które już na okładce obiecuje: „Obalamy mity, przedstawiamy naukowe podejście". Z rozdziałów poświęconych interwencjom wyłuskuję takie strategie terapeutyczne, jak: szczotkowanie skóry, głęboki docisk, tworzenie liter z papieru ściernego, zabawy z rozpoznawaniem przedmiotów schowanych w pudełku za pomocą dotyku, wąchanie olejków eterycznych, jazda na deskorolce w pozycji na brzuchu – lista jest długa i bardzo eklektyczna. Prawdziwy miszmasz. Dopytuję o to Palicką, która odpowiada mi w mailu: „Nie chodzi o samo przejechanie się na deskorolce czy pobujanie w hamaku. Mamy konkretne wytyczne (Ayres Sensory Integration Fidelity Measure – miary wierności w metodzie integracji sensorycznej według Ayres, co może się nazywać terapią SI – ASI jest zastrzeżone dla osób, które ukończyły szkolenia akredytowane przez Collaborative for Leadership in Ayres Sensory Integration, międzynarodową organizację promującą wiedzę o integracji sensorycznej według Ayres)".

Warto również dodać, że każda z przytoczonych interwencji odnosi się do konkretnego obszaru trudności – wzrokowych, motoryki małej (koordynacji ręka–oko), koncentracji, a nawet komunikacji. W książce omówiono też, jak powinna być wyposażona sala terapeutyczna, jak budować i podtrzymywać relacje, a także na czym polega rola rodziców w całym tym procesie. Dzięki temu zajęcia z integracji sensorycznej wydają się kompleksowe i pomocne w wielu przypadkach. Jednocześnie fakt, że SI przedstawiana jest jako remedium na różne trudności, może działać zachęcająco, ale także stanowić jej potencjalną słabość. Dlaczego?

Kiedy popatrzymy na raporty dotyczące skuteczności ASI (czy innych technik z „sensoryczne" w nazwie), rzuca się w oczy jedno – ogromna większość dotyczy dzieci w spektrum autyzmu. Ale czy ASI nie jest, zgodnie z założeniami, interwencją w zakresie zaburzeń sensorycznych? Dlaczego

eprasa.pl d281880d2c

badania dotyczą głównie autyzmu (skuteczność SI badano również w kontekście zespołu Downa, ADHD, zaburzeń rozwoju, ale to ASD było i jest najważniejszym obszarem zainteresowań)? Rzecz w tym, że w żadnym oficjalnym systemie klasyfikacji – ani w Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób (ICD-10 i nowszym ICD-11), ani w amerykańskim DSM-5 (Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders) – nie istnieje taka jednostka chorobowa jak „zaburzenia integracji sensorycznej".

Co prawda istnieją pewne zbliżone kategorie, jak F82 – specyficzne zaburzenia rozwojowe funkcji motorycznych w ICD-10, czy 6A04 – rozwojowe zaburzenie koordynacji ruchowej w ICD-11, ale nic, co odpowiadałoby 1:1 jednostce zaburzeń opisywanej przez Ayres i jej kontynuatorów. Agnieszka Sternak zwraca uwagę na DSM-5: – Punktem zwrotnym był 2013, kiedy do kryteriów diagnostycznych spektrum autyzmu (w DSM-5) włączono między innymi objawy nadmiernej lub niedostatecznej reaktywności na bodźce sensoryczne czy nietypowe zainteresowanie aspektami sensorycznymi otoczenia – mówi. – To był moment, który uruchomił lawinę badań dotyczących skuteczności ASI w terapii dzieci w spektrum.

I rzeczywiście, wyszukanie w Google Scholar pokazuje około 45 procent więcej wyników dla hasła „sensory integration [AND] autism" od 2013 roku do teraz niż w okresie od 1972 do 2012 roku. Świadczy to o rosnącym zainteresowaniu tematem w badaniach w ciągu ostatnich 13 lat. Jednak mimo wzmożonych testów i analiz skuteczność integracji sensorycznej w przypadku dzieci w spektrum autyzmu przez wiele lat pozostawała w ogniu krytyki.

—

WSPOMINAŁEM JUŻ, że Kinga Rajchel niemal jednym tchem wymieniła SI obok totalnej biologii, ustawień Hellingera czy homeopatii, mówiąc o terapiach, których efektywność nie jest poparta badaniami. W mailu zapytałem ją, czy zrównuje integrację sensoryczną z innymi oddziaływaniami. Odpisała: „Kiedy w rozmowie wymieniam integrację sensoryczną obok totalnej biologii, ustawień Hellingera czy homeopatii, nie robię tego dlatego, że stawiam te podejścia w jednym rzędzie pod względem ryzyka czy stopnia pseudonaukowości. Homeopatia i totalna biologia są wprost sprzeczne z podstawową wiedzą medyczną i psychologiczną, a ich szkodliwość jest dobrze opisana w rzetelnych źródłach [mówi o tym Oktawia Kromer w audioserialu „Pisma" *Psychowashing* – przyp. red.]. Integracja sensoryczna należy do innej kategorii. Jest to podejście z pogranicza rehabilitacji i terapii, posiadające pewne neurobiologiczne uzasadnienie oraz kilka obiecujących badań, ale nadal o ograniczonej i niejednoznacznej bazie dowodowej. Duże towarzystwa naukowe opisują ją raczej jako interwencję o niewystarczająco potwierdzonej skuteczności, która może stanowić element szerszego planu oddziaływań, niż jako terapię pierwszego wyboru z dobrze udokumentowanymi efektami".

Istotnie, fundamentem krytyki integracji sensorycznej jest brak rzetelnych badań jednoznacznie wykazujących jej skuteczność. Tomasz Garstka, psycholog, członek Klubu Sceptyków Polskich, w swojej książce *Psychopedagogiczne mity. Jak zachować naukowy sceptycyzm w edukacji i wychowaniu* poświęca cały rozdział analizie skuteczności ASI w kontekście terapii dzieci w spektrum autyzmu. Cytuje stanowisko Amerykańskiej Akademii Pediatrii z 2012 roku, zgodnie z którym SI nie znajduje wystarczającego potwierdzenia w neurologii czy neuropsychologii, a ilość danych na temat jego zastosowań jest ograniczona. Jako szczególnie ważny wskazuje raport amerykańskiego National Austim Center z 2015 roku, w którym pogrupowano terapie dzieci z ASD w trzy zbiory: ustanowione (poparte rzetelnymi badaniami), obiecujące (pojedyncze dowody) oraz nieustanowione (brak metodologicznie poprawnych badań bądź brak skuteczności). Techniki oparte na interwencjach sensorycznych (*sensory intervention package*) znalazły się w tej ostatniej grupie. Właśnie o tym pisała mi Kinga Rajchel.

Dlaczego badania nad działaniem SI nie bronią się metodologicznie? Kilka z powodów takiego stanu rzeczy Agnieszka Sternak wymienia w swojej książce – to między innymi problem z klasyfikacją diagnostyczną zaburzeń integracji sensorycznej, ale też błędy metodologiczne wczesnych badań Anny Jean Ayres, rozbieżności w zakresie

TOP CHARITY Art '26

KIEDY&GDZIE

17.04—16.06,
OD PONIEDZIAŁKU DO NIEDZIELI,
10:00—18:00
ORANŻERIA MUZEUM PAŁACU
KRÓLA JANA III W WILANOWIE

ZWIEDZANIE

WSTĘP WOLNY
OPROWADZANIA CODZIENNIE O 16
OPROWADZANIE KURATORSKIE
W KAŻDY CZWARTEK O 14:00

ORGANISERS

TOP CHARITY
OmenaArt Foundation
Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie
PHENOMENAA

MAIN PARTNER

UniCredit

PARTNERS

APART High Jewellery
impact
POLSWISSART DOM AUKCYJNY
Sunreef Yachts
the company.

eprasa.pl d281880d2c

oceny skuteczności interwencji czy nieprecyzyjne metody diagnozy (choć autorka podaje również nowsze badania, które minimalizują te ograniczenia).

Na inne problemy wskazuje Tomasz Garstka – to małe grupy badanych, brak grup kontrolnych, brak randomizacji (losowego przypisania do grupy badanej i kontrolnej) oraz brak podwójnie ślepej próby (ani badany, ani badający nie wiedzą, jaka metoda terapii jest stosowana). W praktyce terapeutycznej mogą to być przeszkody nie do pokonania – trudno stosować metodę, nie znając jej, w końcu to nie tabletka, którą można podać. Złożoność i czasochłonność terapii nie sprzyjają też tworzeniu licznych grup. To prowadzi do pytania, które postawiłem we wstępie – skąd tak naprawdę wiadomo, że to działa (lub nie) integracja sensoryczna, a nie inne czynniki?

W standardowych badaniach nad skutecznością leków można podawać (bądź nie) jeden wybrany lek lub placebo w ramach ślepej próby, gdzie część osób dostaje substancję aktywną, część – nieaktywną (placebo), a część – grupa kontrola – nie dostaje żadnej substancji. Ma to służyć kontroli rzeczywistego działania badanego leku, które czasem może wynikać z efektu placebo. Zupełnie inaczej jest w przypadku terapii autyzmu i w ogóle terapii, które choćby zahaczają o komponent psychologiczny czy rozwojowy [pisał o tym Paweł Kicman, „Pismo" nr 12/2023 – przyp. red.].

– Do badań efektywności musimy znaleźć grupę, która przez określony czas stosuje tylko jedną metodę – mówi mi Iwona Palicka. – No i tutaj jest kłopot metodologiczny, bo rodzice albo wycofują swoje dziecko, albo chcą, żeby w tym samym czasie korzystało też z innych oddziaływań. Dlatego tak ciężko jest znaleźć rzetelne raporty, ale to nie tak, że takich w ogóle nie ma. W ostatnich latach publikacji pokazujących skuteczność SI, wydawanych w recenzowanych czasopismach, jest coraz więcej.

Garstka przeanalizował raport opublikowany przez National Clearinghouse on Autism Evidence and Practice z 2020 roku i zauważył, że w przeglądzie uwzględniono tylko trzy badania uznane za metodologicznie poprawne. Pokazywały one raczej niewielkie, częściowe efekty, a dodatkowo opierały się na małych grupach i nie zawsze precyzyjnych narzędziach pomiaru. To jednak nie oznacza, że Palicka wprowadziła mnie wcześniej w błąd, mówiąc o badaniach pokazujących skuteczność SI. Po 2020 roku pojawiły się kolejne analizy, w tym przegląd z 2021 roku opublikowany w „Journal of Autism and Developmental Disorders", który wskazuje, że terapia ASI prowadzona zgodnie z jej standardami może być uznana za praktykę opartą na dowodach w pracy z osobami w spektrum autyzmu. Należy podkreślić, że chodzi tu o standaryzowane działania w ramach konkretnej metody, a nie o wszystkie ćwiczenia z „sensoryczne" w nazwie. Palicka zwróciła mi też uwagę, że sporo obiecujących badań zostało opublikowanych dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat – a więc już po krytycznym tekście Garstki, wspomnianym wyżej.

Według raportu z Wielkiej Brytanii, efekty oddziaływań integracji sensorycznej nie różniły się od standardowych form wsparcia, jak terapia zajęciowa, adaptacja środowiska i strategie sensoryczne.

Ale co to znaczy, że terapia działa? I na co dokładnie? Zapytałem Palicką, czy rzeczywiście zajęcia z integracji sensorycznej są formą terapii autyzmu, czy raczej oddziaływaniem ukierunkowanym na zaburzenia integracji sensorycznej, które często dotykają osoby w spektrum.

– Powinno istnieć wyraźne rozróżnienie oddziaływań. Trudno mówić o jakiejkolwiek metodzie, która leczy autyzm – mówi terapeutka. – Nawet jeśli używa się sformułowania „terapia autyzmu", w rzeczywistości nie istnieje metoda, która z niego leczy. Spektrum autyzmu nie jest chorobą, którą można wyleczyć, lecz kondycją psychofizyczną, a dokładniej neurorozwojową. W ramach tej kondycji mogą pojawiać się różnorodne trudności: poznawcze, komunikacyjne czy sensomotoryczne. Te ostatnie obejmują między innymi problemy z modulacją bodźców, nadwrażliwość lub podwrażliwość sensoryczną, trudności z praksją [zdolnością do planowania i wykonywania celowych ruchów – przyp. red.] czy kontrolą posturalną, i to właśnie te obszary podlegają oddziaływaniom terapii integracji sensorycznej.

I dodaje: – Nie oznacza to jednak, że takie działania prowadzą do pozbycia się autyzmu, który nie funkcjonuje na jednym kontinuum z wrażliwością sensoryczną czy zaburzeniami integracji sensorycznej. Są to odrębne ścieżki rozwojowe, które mogą się w pewnych punktach zazębiać, ponieważ w obrazie spektrum autyzmu występują także specyficzne problemy sensoryczne. Celem oddziaływań nie jest więc zmiana samej kondycji neurorozwojowej, lecz sprawdzenie, czy konkretne trudności sensoryczne w istotny sposób utrudniają funkcjonowanie danej osoby i czy można zmniejszyć ich negatywny wpływ – podsumowuje psycholożka.

I tutaj dochodzimy do rozróżnienia, które – mam wrażenie – wykracza poza zwykłą semantykę. Jeśli spojrzymy na terapię SI jako proces mający wspierać specyficzne trudności w jasno określonych obszarach, a nie jako panaceum na autyzm, trochę zmienimy perspektywę na efekty tej metody. Palicka zwraca uwagę, że ASI działa na konkretne sfery sensoryczne i nie powinno jej się stosować wszędzie i na wszystko. Jako przykład podaje samookaleczenia, których podłoże może być bardzo różne, ale zdarza się, że ludzie mylnie przypisują ich występowanie zaburzeniom w obszarze szeroko rozumianego „czucia głębokiego" – czegoś, co pozostaje w obszarze zainteresowań SI, choć powinno być leczone przez specjalistów zdrowia psychicznego, a nie masażem czy jazdą na deskorolce.

Krytycy podnoszą jeszcze jedną ważną kwestię. Terapia to czas i pieniądze, które są zasobami limitowanymi. Rodzi się zatem pytanie, czy SI nie zabiera przestrzeni, w której mogłyby być realizowane inne, być może lepiej przebadane działania o większej skuteczności? Z tym stwierdzeniem zgadza się Kinga Rajchel: „Ruch, zabawa, stymulacja koordynacji są dla dzieci ważne, nawet bardzo ważne. Chodzi o to, żeby nie sprzedawać rodzicom tej metody jako terapii o udowodnionym działaniu na rzekome «zaburzenia integracji sensorycznej», skoro mocne, spójne dowody na taki status wciąż

eprasa.pl d281880d2c

nie istnieją. A jednocześnie jasno mówić, że wiele elementów tej pracy, czyli więcej ruchu, sensownie zaplanowane środowisko, konkretne strategie dla domu i przedszkola, można i warto wdrażać także poza gabinetem, bez konieczności wieloletniego jeżdżenia na kosztowne zajęcia".

Sięgam do raportu z Wielkiej Brytanii opisującego duże, randomizowane badanie kontrolne, sprawdzając, czy terapia SI jest opłacalna finansowo – dla rodziców i systemu (badanie było finansowane przez rząd). Okazało się, że efekty oddziaływań integracji sensorycznej nie różniły się istotnie od *usual care*, czyli standardowych form wsparcia, takich jak terapia zajęciowa, adaptacja środowiska czy strategie sensoryczne, o których pisała mi Rajchel, a które, co ważne, nie spełniały założeń Ayres Sensory Integration. Tym samym wyniki badań wskazują, że ASI – choć bezpieczna i pomocna w osiąganiu pewnych indywidualnych celów – nie jest opłacalna systemowo.

Jedna z moich rozmówczyń sugeruje, że terapia SI to nie tylko kwestia straty czasu i pieniędzy. – Monika Suchowierska [doktorka psychologii, wiceprezeska Polskiego Towarzystwa Psychologii Behawioralnej – przyp. red.], którą zresztą cytuje Tomasz Garstka w swojej książce, podaje przykład badań dotyczących tego, że stosowanie terapii behawioralnej równocześnie z innymi terapiami niepotwierdzonymi naukowo (jak integracja sensoryczna) obniża skuteczność tej pierwszej – mówi mi doktorka Magdalena Markowska, psycholożka, badaczka i wykładowczyni akademicka, współautorka książki *Autyzm bez lęku*. Z takim założeniem nie zgadza się Barbara Witkowska, pedagożka specjalna i terapeutka SI, która kategorycznym tonem przekonuje: – Tylko holistyczne podejście do terapii dziecka pozwala na efektywną terapię. Jednotorowe działania nie przynoszą takich postępów w codziennym życiu dziecka.

—

ZA TYMI wszystkimi liczbami, badaniami i krytyką stoją dzieci i ich rodzice, a także terapeuci i terapeutki. Jak więc teoria ma się do praktyki?

Moje rozmówczynie podkreślały, że w porównaniu z innymi metodami terapia SI jest w Polsce bardzo popularna. Sternak uznaje wręcz popularność metody SI za „swoisty fenomen społeczny". Brakuje co prawda danych dotyczących tego, ile osób korzysta z tego rodzaju oddziaływań – czy to w ramach WWR, czy jakichkolwiek innych darmowych bądź płatnych interwencji. Ale można założyć, że jest ich coraz więcej, do czego za chwilę wrócę. Jak przekonuje Witkowska, terapia SI u dzieci w spektrum autyzmu jest stosowana, bo często występują u nich zaburzenia, które mieszczą się w obszarze oddziaływań ASI.

– Nie mam w diagnozie i terapii dzieci w spektrum i ADHD bez współistniejących zaburzeń motorycznych, posturalnych czy praksji wynikających z niedojrzałości układu nerwowego – mówi terapeutka. Niektóre badania wskazują, że u dzieci w spektrum autyzmu ryzyko wystąpienia w dzieciństwie zaburzeń ruchowych (obejmujących zarówno motorykę małą, jak i dużą) jest 22-krotnie większe w porównaniu z populacją ogólną, co może nasilać inne trudności, w tym te dotyczące komunikacji czy szerzej – funkcjonowania społecznego. Dla kontekstu – w analizie obejmującej blisko 14 tysięcy dzieci z ASD, aż 88 procent było w grupie ryzyka zaburzeń ruchowych. W zestawieniu z rosnącą liczbą orzeczeń o potrzebie kształcenia specjalnego w związku z rozpoznaniem zaburzeń ze spektrum autyzmu

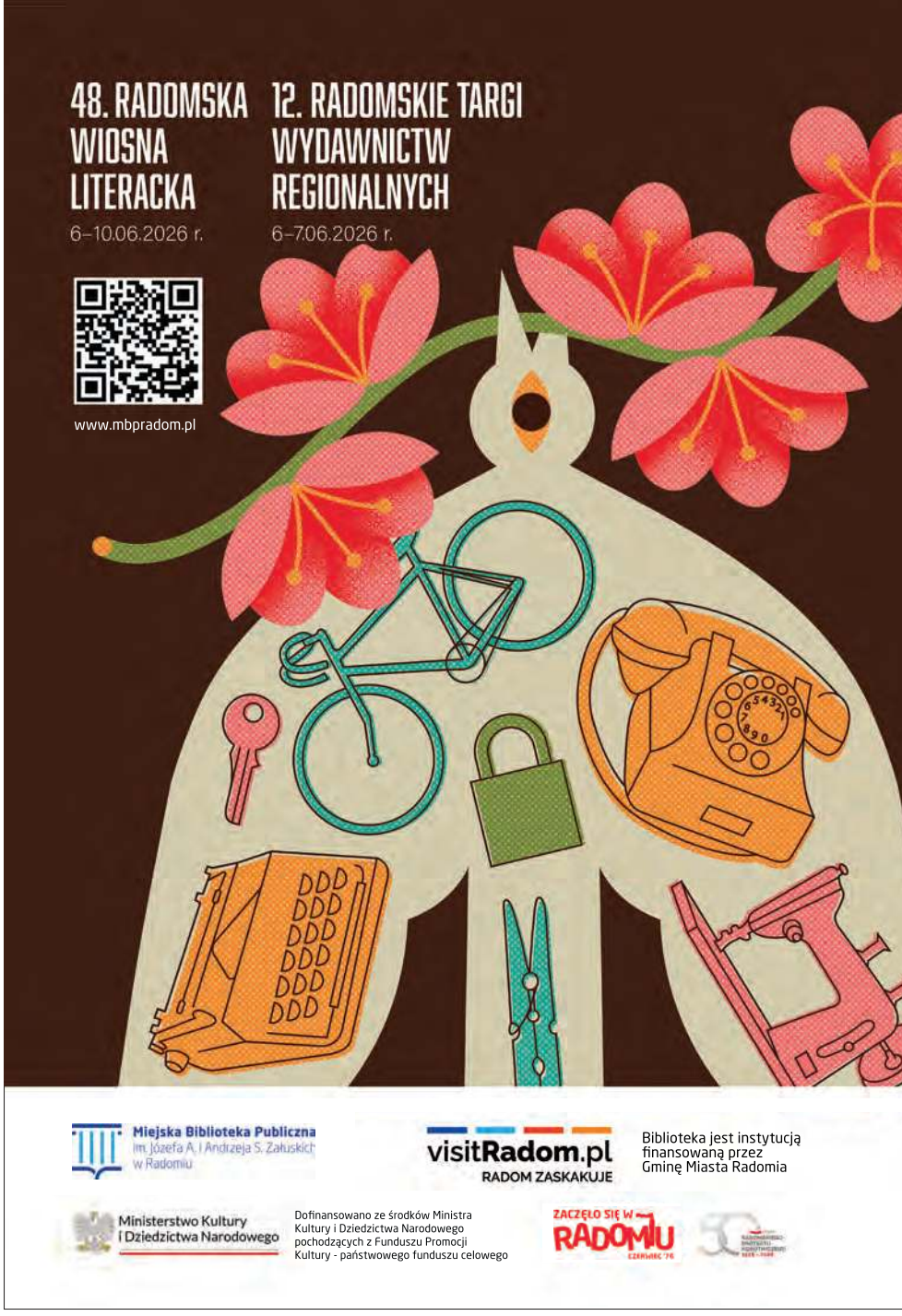

eprasa.pl d281880d2c

(wśród przedszkolaków wzrost z 25 tysięcy orzeczeń w roku szkolnym 2022/2023 do 36 tysięcy w następnym) można założyć, że interwencje ruchowe, w tym SI, będą coraz bardziej popularne. Za tym idą też realne wydatki z systemu opieki zdrowotnej. Subwencja oświatowa, od 2025 roku zastąpiona „kwotą potrzeb oświatowych", na dziecko w spektrum wynosiła w roku szkolnym 2024/2025 – w zależności od innych diagnoz oraz przyznanych godzin zajęciowych – od kilkunastu tysięcy do nawet 90 tysięcy złotych rocznie. Ze względu na wzrost orzeczeń w samych przedszkolach będą to więc ogromne kwoty. Ale kryje się tutaj pewna pułapka.

– W okresie nastoletnim około 20 procent dzieci nie spełnia już pełnych kryteriów diagnostycznych [badania przeprowadzone w 2008 roku przez zespół pod kierownictwem Molly Helt wskazują od 3 do 25 procent – przyp. red.], bo to nie był autyzm. W swojej praktyce widzę, że są dzieci, które mają orzeczenie i z tego tytułu dostają miesięcznie około 9 tysięcy [chodzi o kwotę potrzeb oświatowych, jaką otrzymuje placówka edukacyjna na terapie i pomoce dla dziecka z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego – przyp. red.], ale nie spełniają kryteriów diagnostycznych spektrum – mówi mi Markowska i kontynuuje. – Jak ma nie być dziury w budżecie oświatowym, jeśli finansujemy terapię autyzmu dla dzieci, które go nie mają? Co więcej, te dzieci blokują nam [specjalistom – przyp. P.K.] dostęp do ich rówieśników, którzy rzeczywiście są w spektrum – stwierdza gorzko. – To, co mnie bardzo boli i na co we mnie nie ma zgody, to jest to, że integracja sensoryczna jest finansowana z publicznych pieniędzy, bo w kształceniu specjalnym, w orzeczeniu, które wydają poradnie psychologiczno-pedagogiczne, rutynowo to zalecają. Zresztą bardzo często wpisuje się tam z góry na dół przeróżne rodzaje terapii, czasem niemal wszystkie możliwe. Ja już abstrahuję od tego, że to wcale nie jest zgodne z potrzebami każdego dziecka, ale uwiera mnie, że tak mocno obciąża system – dodaje.

Jednak sam wzrost diagnoz ASD, niezależnie od tego, z czego wynika (lepszych narzędzi, szerszego przesiewu czy błędów w diagnozie lub wypadkowej wszystkich powyższych), nie tłumaczy galopującej popularności integracji sensorycznej. Mimo to wpisuje się zajęcia z SI niemal z automatu przy wydawaniu orzeczenia w związku z rozpoznaniem autyzmu (psychiatrzy nie przeprowadzają diagnozy w tym zakresie, choć SI zalecają, a następnie na podstawie tego zalecenia do orzeczenia wpisuje je zespół orzekający w poradni psychologiczno-pedagogicznej). Z czego to wynika?

– Mamy bardzo dużą dostępność tej formy terapii na rynku. Ale pamiętajmy też, że to, co psychiatra zaleci, może wynikać z jego otoczenia zawodowego, oczekiwań rodziców czy różnorodności form terapii w środowisku, w którym rozwija się dziecko – mówi Agnieszka Sternak. – Oprócz tego, danych, które do nas docierają, jest tak dużo, że nawet najlepsi specjaliści nie ze wszystkim są na bieżąco. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z połączeniem dostępności terapii coraz częściej weryfikowanej w badaniach jak i ekspozycji na szeroką ofertę, zwłaszcza w dużych miastach.

Diagnoza spektrum autyzmu lub innych rodzajów neuroróżnorodności czy zaburzeń neurorozwojowych jest bardzo trudna. A w praktyce zdarza się, że psycholog lub psychiatra zalecają zajęcia z interacji sensorycznej – popularne, modne i dostępne.

Co prawda nie istnieje lista wszystkich placówek, które oferują zajęcia z integracji sensorycznej, ale na różnych portalach dostępne są wykazy wybranych. Na stronie Akademickiego Centrum Integracji Sensorycznej znajduję 178 miejsc, które współpracują z Centrum SI w zakresie praktyk specjalistycznych. Portal intergracjasensoryczna.info ma za to mapę gabinetów, do której można samodzielnie dodać swoją placówkę – w marcu 2026 roku było ich na niej 66. Strona Polskiego Stowarzyszenia Terapeutów SI wymienia natomiast 107 gabinetów, w których pracują licencjonowani terapeuci i terapeutki. Tymczasem na mapie dostępnej na stronie KATIS (Komputerowego Asystenta Terapii Integracji Sensorycznej, platformy do diagnozowania i terapii dzieci z zaburzeniami poniżej czwartego roku życia) w samej tylko Warszawie doliczyłem się ponad 40 gabinetów i ośrodków integracji sensorycznej.

W praktyce jednak, jeśli dziecko ma SI zaleconą w orzeczeniu, to placówka edukacyjna powinna takie zajęcia zapewnić. To kwestia odrębna od WWR-u, z którego korzysta moja córka i który może być realizowany w różnych miejscach oferujących tego typu wsparcie (w jej ramach może być też na przykład logopedia) – szkołach, przedszkolach czy ośrodkach rehabilitacji. W obu tych przypadkach mowa o nieodpłatnych, bo finansowanych z publicznych pieniędzy, interwencjach, a ośrodki wymienione na znalezionych przeze mnie listach oferują także wizyty odpłatne.

Na ciekawą rzecz zwrócił uwagę Tomasz Garstka w tekście *Reaktywacja terapii integracji sensorycznej?* opublikowanym w piśmie „Dyrektor Szkoły". Autor przyglądał się w nim jednemu z badań nad skutecznością ASI prowadzonemu przez Renee L. Watling i Jean Dietz w 2007 roku, w którym naukowczynie badały natychmiastowe skutki zajęć z integracji sensorycznej u dzieci w spektrum autyzmu. Obiektywne pomiary nie wykazały żadnego efektu terapeutycznego, ale dane subiektywne (deklaracje rodziców i terapeutów) wskazywały na istotną poprawę. Nie ukrywajmy, aktywności oferowane w integracji sensorycznej są zazwyczaj bardzo pociągające – szczególnie że ta forma oddziaływań kładzie też nacisk na budowanie relacji z dzieckiem. Na to zwraca uwagę Rajchel: „[Integracja sensoryczna] ma bardzo atrakcyjną narrację: odwołuje się do zmysłów, plastyczności mózgu, ruchu, to brzmi nowocześnie i neurologicznie, a równocześnie jest intuicyjne i pozytywne. Nie ma tu metafizyki ani wielkich obietnic w stylu «wyleczymy wszystko», jak w totalnej biologii, więc trudniej laikowi dostrzec czerwone flagi. (...) sama forma zajęć SI, czyli kolorowe sale, huśtawki, hamaki i przyjazna atmosfera, sprawia, że rodzice mają poczucie, że dzieje się coś dobrego. Dziecko się rusza, bawi, otrzymuje indywidualną uwagę dorosłego, a jednocześnie wiele dzieci i tak z czasem rozwija się dzięki naturalnemu dojrzewaniu układu nerwowego. To sprzyja

eprasa.pl d281880d2c

przypisywaniu poprawy konkretnemu protokołowi, nawet jeśli w badaniach porównawczych jego przewaga nad standardową opieką nie jest jednoznacznie widoczna".

Wspominałem już o pieniądzach wydawanych na terapię dzieci w spektrum autyzmu; odnosi się do tego również Markowska: – Przeczytałam takie bardzo fajne zdanie w książce *Hałas* Małgorzaty Halber o tym, że nie ma żadnego innego zaburzenia, które dało się tak skomercjalizować jak autyzm. Po prostu wypuszczasz kołderkę obciążeniową za 150 złotych i robisz na tym biznes. Szkoły budują sale integracji sensorycznej, a to są ogromne pieniądze – około 50–60 tysięcy, jeśli chcesz to zrobić na odpowiednim poziomie. Do tego finansują studia i dyplomy z terapii integracji sensorycznej swoim nauczycielom. To duże wydatki.

Staram się sprawdzić podane kwoty. Rzeczywiście, kołdry obciążeniowe kosztują od kilkudziesięciu do kilkuset złotych, ale znajduję też takie za 1500. Wyposażenie sali? Specjalistyczne sklepy internetowe oferują produkty do zagospodarowania „kącika rozwijania zmysłów" za około 30 tysięcy złotych, zestawy podwieszane z wymiennymi huśtawkami i obręczami gimnastycznymi za 8600 czy drewniane zjeżdżalnie za 1500. Suma rzędu 60 tysięcy za całą salę wydaje się więc realistyczna, szczególnie gdy mam w pamięci, jak wygląda pomieszczenie, w którym ćwiczy moja córka – dosłownie obłożone sprzętem od podłogi do sufitu.

Na inną przyczynę popularności, chociaż trudno jednoznacznie wyjaśnić, jak działa ta zależność, wskazuje Iwona Palicka: – Popularność SI w Polsce wynika po części z tego, że u nas jest stosunkowo szeroka dostępność kształcenia się w zakresie integracji sensorycznej i zdobywania odpowiednich uprawnień.

Dowiaduję się, jak dokładnie wygląda taka ścieżka. Zwykle to proces dwustopniowy – pierwszy etap obejmuje neurobiologiczne podstawy SI (około 40–45 godzin nauki), a drugi diagnostykę i terapię (około 160–180 godzin). Od kiedy dostępne są studia podyplomowe w zakresie integracji sensorycznej, program rozszerzył się o dodatkowe godziny, które wcześniej były wyłącznie warsztatowe, a teraz obejmują także zagadnienia teoretyczne – zamykając się w 300, a nawet 400

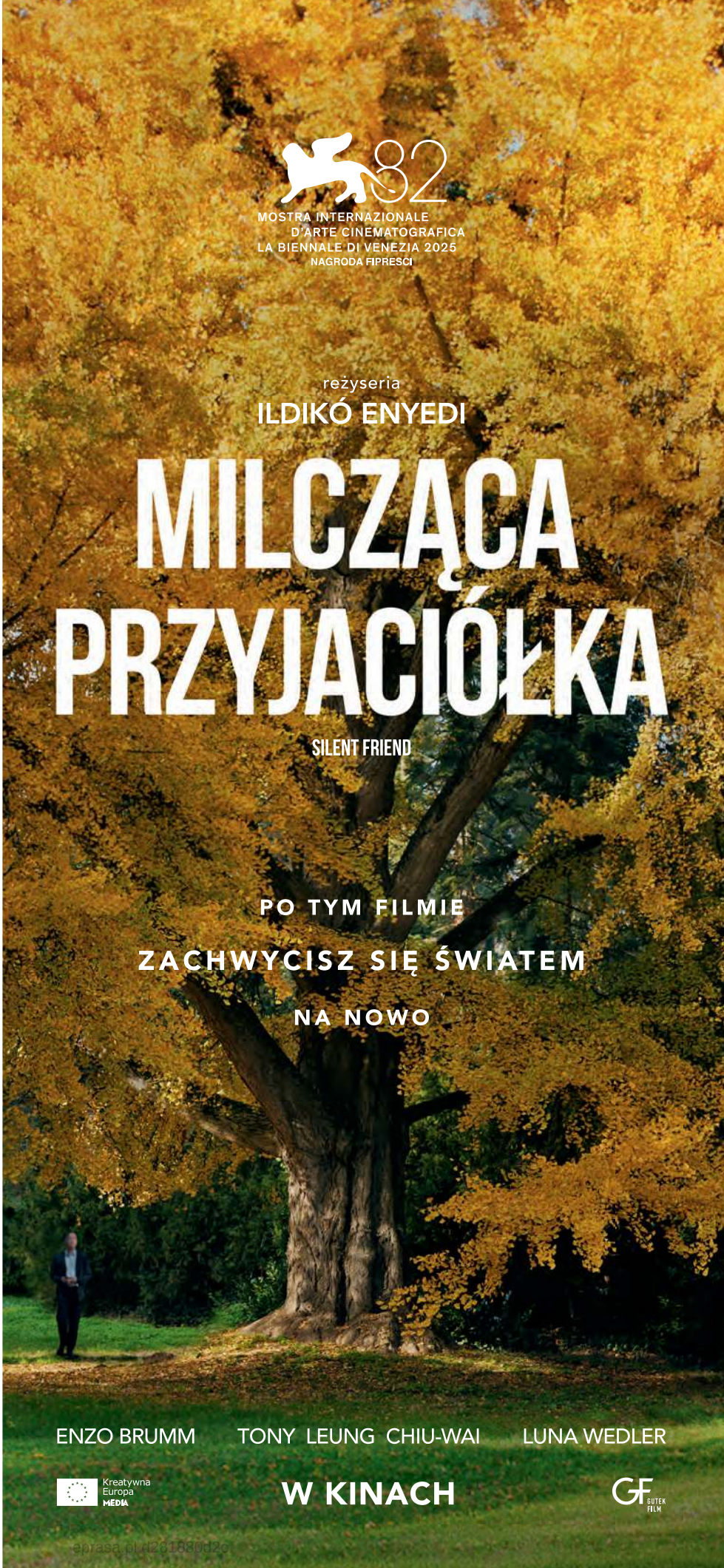

godzinach szkolenia. Warto zaznaczyć, że Palicka reprezentuje Polskie Stowarzyszenie Integracji Sensorycznej, a oprócz tej instytucji istnieją jeszcze inne, które mają swoje wewnętrzne procesy i licencje, swoich superwizorów i swoje szkolenia. Poza wspomnianym wcześniej KATIS jest jeszcze Polskie Stowarzyszenie Terapeutów Integracji Sensorycznej (PSTIS).

—

JAK W TYM informacyjnym gąszczu mają połapać się rodzice? Nic dziwnego, że w trosce o dobro swojego dziecka próbują różnych form terapii. Dostępność SI, ale też jej niemal rutynowe zalecanie w przypadku orzeczenia o potrzebie kształcenia specjalnego, sprawiają, że wiele dzieci w spektrum autyzmu – ale nie tylko – prędzej czy później spotka się z integracją sensoryczną.

Wspominałem, że moja córka bardzo lubi swoje zajęcia. Ma dobry kontakt z terapeutą, może się wyładować i poszaleć, a jednocześnie ma zapewnioną sporą dawkę ruchu pod okiem specjalisty od fizjoterapii (terapia SI jest często prowadzona przez fizjoterapeutów, ale również przez logopedów czy psychologów). Nie płacę za to ani grosza, a trudności mojego dziecka nie wymagają żadnych skomplikowanych, wielogodzinnych terapii innego rodzaju. W naszej sytuacji SI nie odbywa się kosztem pozostałych metod ani nie zabiera czasu, który moglibyśmy przeznaczyć na coś innego.

Ciekawą perspektywę znalazłem też w książce Magdaleny Markowskiej, która jest zapisem długiej rozmowy autorki z Anną Pawlaczyk, wiceprezeską Fundacji Jesteśmy Ważni wspierającej rodziców osób z niepełnosprawnościami, prywatnie mamą dziecka w spektrum. „Gdy u mojego dziecka zauważyłam opóźnienie mowy, oczywiście skonsultowałam je u różnych specjalistów: neurologa, neurologopedy, psychiatry i psychologa – mówi Pawlaczyk. – Neurologopedka powiedziała: «Terapia SI i żłobek, wtedy zacznie mówić». To było moje pierwsze dziecko, niewiele wiedziałam, więc pomyślałam: «OK, żłobek i terapia SI», choć od początku miałam wątpliwości. Nasze dziecko w ogóle nie współpracowało z terapeutą. Nie wiem nawet, czy można to było nazwać terapią, bo to była raczej godzina walki o jego uwagę. Ta walka trwała rok, a mimo to syn nadal nie zaczął mówić (...). Później trafiliśmy do innej terapeutki, która zaczęła od pełnej diagnozy. (...) Ale po trzech czy czterech miesiącach powiedziała, że nie może kontynuować terapii, bo po pierwsze syn nie współpracuje, a po drugie nie może brać od nas pieniędzy, skoro nie ma żadnych efektów. (...) Tamta pani poradziła mi ośrodek z terapeutkami, które oprócz SI są specjalistkami w innych dziedzinach. (...) Już na starcie usłyszałam, że terapia SI nie zdziała cudów, ale pomoże w pewnych aspektach. I to miało sens”.

Na rodzicach skupia się również Agnieszka Sternak, która w swojej książce opisuje fenomen SI, opierając się na własnych badaniach jakościowych. Autorka szuka odpowiedzi nie tylko w liczbach, lecz także w ludziach. Rozmawia z rodzicami i analizuje ich doświadczenia związane z procesem diagnostycznym i terapeutycznym oraz jego znaczenie dla funkcjonowania całej rodziny. Psycholożka podkreśla, że SI pełniła funkcję znacznie szerszą niż tylko oddziaływanie skierowane na dziecko. Była elementem reorganizującym funkcjonowanie całego systemu rodzinnego, a sama diagnoza stanowiła punkt zwrotny.

Według Sternak popularność integracji sensorycznej nie wynika wyłącznie z przekonania o jej skuteczności czy obecności w dyskursie, lecz również z tego, że odpowiada na ważne potrzeby emocjonalne rodzin. Jest czynnikiem porządkującym doświadczenie, oferuje język do opisu trudności dziecka, obniża lęk i przywraca poczucie sprawczości. Z drugiej strony bywa też nadinterpretowana i postrzegana jako złoty środek na wszystko. Badaczka pisze, że „część z niezaspokojonych potrzeb matek, na które odpowiedzią była terapia SI (m.in. potrzeba bycia rozumianą, potrzeba uzyskania wsparcia lub uciszenia niepokoju), to potrzeby niespecyficzne, które powinny być i zwykle są zaspokajane przez każdą psychologiczną, logopedyczną czy inną formę terapii”.

Wspominałem wyżej, że opiekunowie dzieci mogą się czuć zagubieni. Badania Sternak wydają się to potwierdzać: proces terapii to wydarzenie obciążające – poznawczo i emocjonalnie – cały system rodzinny. Gdzie zatem szukać pomocy? Skąd czerpać informacje?

Kinga Rajchel sugeruje: zwracajmy uwagę na wytyczne zaufanych towarzystw naukowych, takich jak National Institute for Health and Care Excellence, American Academy of Pediatrics czy Światowa Organizacja Zdrowia. Jednak czytając relacje z książek Sternak czy Markowskiej, mam wrażenie, że rodzice oczekują – a może nawet potrzebują – czegoś więcej niż tylko danych i rekomendacji. Diagnoza spektrum autyzmu lub jakichkolwiek innych rodzajów neuroróżnorodności czy zaburzeń neurorozwojowych jest bardzo trudna. W praktyce jednak często zdarza się, że na świstku papieru psychiatra bądź psycholog zalecają zajęcia z integracji sensorycznej – modne, popularne i powszechnie dostępne.

W dobie pseudoterapii żerujących na zaufaniu i sprzedawanych jako cudowne panacea integracja sensoryczna jawi się jako metoda wychodząca ze szczerymi intencjami, nawet jeśli od dekad mierzy się z merytoryczną krytyką. Dla jednych będzie bezpieczną formą wsparcia i dobrą zabawą, która nie szkodzi i daje poczucie sprawczości, dla innych – stratą czasu i pieniędzy, które można by poświęcić na działania o lepiej udokumentowanej skuteczności. Ostatecznie to od rodziców zależy, które podejście wybiorą.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.

eprasa.pl d281880d2c

La Biennale di Venezia

61. Esposizione Internazionale d'Arte

Partecipazioni Nazionali

JĘZYKI Z WODY

BOGNA BURSKA
DANIEL KOTOWSKI

PAWILON POLSKI NA 61.
MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE SZTUKI —
LA BIENNALE DI VENEZIA

9.05–22.11.2026

KURATORKI:
EWA CHOMICKA, JOLANTA WOSZCZENKO

ORGANIZATORKA:
ZACHĘTA — NARODOWA GALERIA SZTUKI

LABIENNALE.ART.PL

ZACHĘTA

udział Polski w 61. Międzynarodowej Wystawie Sztuki – La Biennale di Venezia finansuje:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

mecenas Pawilonu:

ORLEN

główni partnerzy wystawy:

POLSKA FUNDACJA NARODOWA

Fundacja

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

partnerzy wystawy:

dela.art collection

GDAŃSKIE CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

INSTYTUT RÓŻNORODNOŚCI JĘZYKOWEJ I KULTYPOSPOLITEJ

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO

Perlage Arte

wspierający:

ISTITUTO POLACCO ROMA

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

eprasa.pl d281880d2c

Zenona Wojtasa, karpackiego łowcy kłusowników

tekst ADAM ROBIŃSKI

RZADKO MOŻNA GO zobaczyć w siedzibie parku, a jego służbowy mundur hibernuje w szafie. Wiedza, którą zdobył, została sumiennie wychodzona.

Punktem zaczepienia jest krew. Czerwone krople na śniegu przypominają zerwane z szyi korale. Ciekawość każe nam pójść tym tropem. Parkujemy na poboczu oblodzonej drogi, a koła terenówki rozjeżdżają śnieg. Trzeba jak najciszej zamknąć drzwi – zmierzch to czas wzmożonej aktywności zwierząt, nie warto wszem wobec ogłaszać swojej obecności. Tu – u źródeł Wisłoki, w Radocynie, na polsko-słowackim pograniczu – zwykle o tej porze dnia dzieje się naprawdę dużo. Większość nielicznych mieszkańców to goście sezonowi, którzy przenoszą się w to miejsce tylko na cieplejszą połowę roku. Bezpośrednie sąsiedztwo Magurskiego Parku Narodowego (MPN) sprawia, że Radocyna tętni zupełnie innym życiem. To właśnie jego ślady stają się naszą przynętą. Strużka krwi prowadzi w dół zaśnieżonego zbocza, w stronę Wisłoki.

Podczas wielu poprzednich wizyt w Karpatach nauczyłem się, że przez większość roku najlepszym obuwiem na tutejsze tereny są gumiaki. Nie ima się ich wszechobecna woda, za nic mają błoto, świetnie sprawdzają się również na śniegu. Ocieplany kalosz dobrze czuje się na zwierzęcej ścieżce, w koleinie pozostawionej przez ciężki sprzęt oraz w potoku. Pozwala też iść na przełaj, gdzie nogi poniosą. W środku zimy człowiek szybko uczy się na pamięć własnego tropu. Rozpoznaje kształt podeszwy i charakterystyczne elementy bieżnika. Widzi też, że są tylko jednymi z wielu innych.

Zimowy krajobraz to kronika dużych i małych migracji. Tropy jelenia, które towarzyszą plamom krwi, przypominają ćwiartki brzoskwini. Obok nich roi się od odbić łap. Jest kilka cech, dzięki którym da się odróżnić trop wilka od tropu dużego psa. Choćby to, że u wilka przestrzeń między opuszkami palców a śródstopiem układa się w kształt litery H lub X. Najbardziej czytelnym sygnałem jest jednak kontekst. Rozmieszczenie większej liczby tropów względem innych oraz obraz, jaki się z nich wyłania. W tym przypadku to polowanie. Krajobrazowe śledztwo dochodzi wreszcie do etapu formowania wniosków i oskarżeń: wilki dopadły byka przy drodze, a potem zapędziły w stronę Wisłoki.

– Ucieczka w dół zbocza to dla jelenia naturalny odruch – tłumaczy Zenek. Wie, co mówi: jest biologiem, w MPN pracuje jako ekspert do spraw dużych drapieżników, a więc wilków, rysi i niedźwiedzi. – Może się rozpędzić, wie też, że dnem doliny płynie woda. Czasem mu się poszczęści i trafi na bobrowe rozlewisko, które uda mu się przeskoczyć. Wtedy wilki odpuszczą.

Często jednak to właśnie tam go dopadają, a w potoku na ofiarę czeka tylko śmierć.

Że tak właśnie będzie i tym razem, sugerują kłaki burej sierści na śniegu. Robi się też gęściej od tropów – wygląda to już na walkę. Śnieg przemieszany z krwią i sierścią traci niewinną biel. Ciało byka leży w wodzie. Jest zjedzone tylko częściowo, z wygryzionym zadem i otwartym bokiem. Widzimy obleczone mięsem żebra i dryfujące w nurcie, miejscami wciąż skłębione jelito.

ZENON WOJTAS, biolog, specjalista do spraw dużych drapieżników w Magurskim Parku Narodowym (gdzie prowadzi m.in. monitoring wilków, rysi i niedźwiedzi). Założyciel Fundacji Linia Frontu, która dostarcza pomoc wojskową na ukraiński front w Donbasie. Członek fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze.

eprasa.pl d281880d2c

rysunki MIKITA RASOLKA

eprasa.pl d281880d2c

ADAM ROBIŃSKI, pisarz, autor książek non-fiction, m.in. *Hajstry. Krajobraz bocznych dróg*, *Kiczery. Podróż przez Bieszczady*, *Pałace na wodzie*. *Tropem polskich bobrów* oraz *Puszcza domowa. Co kryje Kampinos*. Opublikował również powieść dla dzieci *Wodyseja*. W 2026 roku ukaże się jego książka o Bałtyku.

Zaskoczenie: jeleń nie ma głowy. Ktoś ją po prostu obciął. Prawdopodobnie ta sama osoba, która powiesiła na pobliskich drzewach dwie fotopułapki. To sprzęt Lasów Państwowych – Radocyna znajduje się w zarządzie Nadleśnictwa Gorlice.

– Przyszli i zabrali. Jeszcze jedna odbita główka na ścianie jakiejś leśniczówki. Mówią, że głowa to mienie państwowe, więc mają do niej prawo – komentuje Zenek. W jego głosie wyczuwam podszyte żalem szyderstwo. – Mówię ci, wilki już tu nie wrócą. Za dużo ludzkich zapachów.

Przyjechałem do niego dzień wcześniej, pod koniec śnieżnej zimy. Parotygodniowa fala mrozów skończyła się z dnia na dzień. Temperatura gwałtownie wzrosła. Śnieg zrobił się mokry, ale jest go za dużo, by od razu się stopił. Byliśmy w Radocynie również poprzedniego wieczoru, dawno po zmroku. Wtedy naszą uwagę zwróciło inne zdarzenie: samotna terenowa Toyota na nowosądeckich blachach. Jej kierowca chyba nie spodziewał się spotkać kogokolwiek, bo na nasz widok po prostu zawrócił.

– To na bank jakiś kłusownik – zawyrokował Zenek. – Pan przyjechał na nocną wycieczkę, w zimie, w środku tygodnia? Daj spokój!

Pojechaliśmy za Toyotą, trzymając się tuż za jej zderzakiem. Wyminęliśmy ją dopiero kilka kilometrów dalej przy przejeździe przez Wisłokę, gdy Zenek wjechał Jeepem na drewniany most, a Toyota ustawiła się do przejazdu przez bród – potem to ona pojechała za nami. Gdy dotarliśmy do asfaltowej drogi, która łączy Krempną z granicą państwową, Zenek zatrzymał auto. Zastanawiałem się, jak skończą się nocne podchody – pyskówką czy dyplomatyczną pogadanką – ale Toyota tylko poświeciła nam w lusterka i zawróciła.

– Niech wiedzą, że nie są tu bezkarni – tłumaczył biolog kwadrans później nad kubkiem herbaty. Siedzieliśmy w jego kuchni, w dzierżawionej od parku narodowego leśniczówce, a ja próbowałem zrozumieć sytuację, w której przed chwilą uczestniczyłem. – Niech wiedzą, że patrzy się im na ręce – mówił.

Trzecia scena, którą chcę przywołać we wstępie, wydarzyła się następnego poranka. Wstałem po Zenku, bo wiedziałem, że rano musi pojechać do Krempnej. Zawieźć córkę do szkoły i zrobić zakupy. Gotowałem akurat wodę, gdy wpadł do domu podenerwowany.

– Jest akcja! – oznajmił. Wyjaśnił, że wracając z miasta, zobaczył przy drodze krew i ślady podeszew. Zorientował się, że to postrzałek, ranny w polowaniu z ambony jeleń, którego myśliwy postanowił dobić. Sęk w tym, że zwierzę uciekło do parku narodowego, po którym nie można tak po prostu łazić. Tym bardziej z bronią! Zenek wezwał straż leśną i sposobił się do działania. – Rób kawę, zaraz wracam! – rzucił. I wyszedł.

Pół godziny później był z powrotem. Zdążył wytropić człowieka.

– To drugi raz w ostatnim miesiącu, kiedy ten dziadek ranił jelenia, a zwierzę uciekło do parku. Skoro facet nie umie trafić i zabić, to może powinno mu się zabrać broń? Może tacy ludzie nie powinni być myśliwymi? – komentował wzburzony.

Później, gdy ochłonął, z kubkiem kawy w ręku podsumował wydarzenia ostatnich godzin: – Widzisz, Adam, jak to u nas jest. Nie ma chwili spokoju. Ciągle coś się dzieje.

—

POZNALIŚMY SIĘ KILKANAŚCIE lat wcześniej, gdy jako dziennikarz pojechałem na Pogórze Przemyskie na zaproszenie WWF Polska. Chodziło o Turnicki Park Narodowy – projekt ustanowienia nowego obszaru chronionego na terenie trzech podprzemyskich gmin. Pomysł nie był nowy – dokumentacja parku narodowego powstała w latach 90. ubiegłego wieku. W sprawę osobiście zaangażował się Jan Szafrański, nieżyjący już wojewódzki konserwator przyrody w Krośnie (to nazwisko jeszcze do nas wróci). Szafrański chciał również powołania parku w okolicach Krempnej i to właśnie ten projekt doprowadził do finiszu. W 1995 roku został dyrektorem Magurskiego Parku Narodowego. Na Turnicki zabrakło mu sił. Później zmieniły się realia prawne [pisał o tym Adam Robiński, „Pismo" nr 10/2019 – przyp. red.]. Dopiero w drugiej dekadzie XXI wieku temat odkurzyła Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze.

Zenon Wojtas był jej członkiem oraz jednym z ekspertów zaangażowanych do projektu. Na terenie planowanego parku tropił wilki, rysie i niedźwiedzie. Przez kilka letnich dni chodziliśmy za nim z grupą dziennikarzy, a on opowiadał o realiach życia dużych drapieżników w lasach gospodarczych. Wieczorami kąpaliśmy się w Wiarze, a potem kontynuowaliśmy rozmowy przy ognisku. Naszą bazą był blaszany barak w Nowosiółkach Dydyńskich postawiony na działce obok budynku starej poczty, który przerobiono na siedzibę informacji turystycznej. Pewnej nocy, gdy kolejne osoby odchodziły od ogniska i kładły się spać w baraku, Zenek wziął pod pachę śpiwór i poszedł z nim między drzewa. Tak go wtedy zapamiętałem: jako człowieka, który mając do dyspozycji wygodny materac, woli spać w lesie.

Urodził się w 1980 roku w niewielkiej porusińskiej wsi Kotań w gminie Krempna. To daje mu zakorzenienie. Argument: „jestem stąd" pozwala odpierać zarzuty tych leśników, samorządowców i mieszkańców Podkarpacia, którzy sprzeciwiają się zinstytucjonalizowanej ochronie przyrody, przekonując, że jest narzuconym z zewnątrz ograniczaniem ich wolności. Zenek wychował się w tutejszych lasach, pomagał swojemu ojcu

eprasa.pl d281880d2c

w pracy drwala. Po liceum poszedł na studia – ukończył biologię na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie (obecnie Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej), później pracował fizycznie w stolicy („przekopywałem ogrody bogatych Warszawiaków"), Szwecji i Anglii.

Przed ukończeniem trzydziestki wrócił do Polski. Podjął pracę jako biolog w zespole do spraw ochrony przyrody Magurskiego Parku Narodowego. Jest typowym terenowcem – rzadko można go zobaczyć w siedzibie parku, a jego służbowy mundur hibernuje w szafie. Wiedza, którą zdobył, została sumiennie wychodzona – beskidzkie lasy zna od dziecka, od kilkunastu lat w nich pracuje. Większość tego czasu spędził na tropieniu i obserwacjach. Jest też współautorem zdjęć do dokumentów przyrodniczych *Wilcze Góry* i *Into the Carpathian Wild* – ich twórcy, słowaccy filmowcy, skrzętnie korzystali z jego doświadczenia.

O tym, że jego miejsce pracy nie jest przy biurku, wiedzą nawet w Ministerstwie Klimatu i Środowiska – gdy wiosną 2025 roku stawił się w gmachu resortu, by wraz z grupą przyrodników, aktywistów i ludzi kultury odebrać z rąk ministry Pauliny Hennig-Kloski Odznakę Honorową za Zasługi dla Ochrony Środowiska i Klimatu, jak rzadko kiedy założył zielony mundur z logotypem parku narodowego na ramieniu. Przed uroczystością zobaczył go wiceminister Mikołaj Dorożała: „Nie wygłupiaj się, Zenek, nie zaprosiliśmy cię tu po to, żebyś paradował w mundurze. Załóż coś normalnego" – powiedział.

Wojtas zmieszał się i zniknął w toalecie. Wyszedł w bojówkach i czarnej bluzie z kapturem, i to właśnie do niej kilka kwadransów później szefowa resortu przypięła państwowe odznaczenie. Średniego wzrostu, z brodą, w okularach, wyglądający jak muzyk metalowej kapeli odbierał wyrazy uznania od najważniejszej osoby w polskim systemie ochrony przyrody.

—

MAGURSKI PARK NARODOWY, jego matecznik, to teren wyjątkowy w skali całego kraju. Niskie góry porasta stary bukowo-jodłowy las, przez wielu przyrodników uważany za fragment reliktowej Puszczy Karpackiej (rozległego kompleksu lasów, który w kilku miejscach zachował charakter naturalny; puszcza częściowo obejmuje projektowany Turnicki Park Narodowy oraz Bieszczady). Szczyty tutejszych wzniesień porastają drzewa, trudno więc o efektowne panoramy. Do parku nie trafiają przypadkowi turyści – jedynie ci, których interesuje unikatowa przyroda tych stron, czyli zamieszkane przez wilki, rysie i niedźwiedzie buczyny oraz powtórnie zdziczałe doliny, kiedyś wysiedlone w ramach akcji „Wisła". Ale brak turystycznej presji ma też swoje złe strony. Park narodowy przypomina oblężoną twierdzę – otaczają go łowieckie ambony, a w jego bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się kilka obwodów łowieckich. „Od zewnątrz i od środka, bo w jego otulinie wewnętrznej znajduje się pięć wsi. Zwierzęta żyją więc w Parku, ale myśliwi nęcą je jabłkami czy kukurydzą, dlatego one wychodzą z lasu i są strzelane" – mówił w 2019 roku w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" Marian Stój, były dyrektor MPN.

Z rejonem Huty Polańskiej graniczy obwód numer 197, dzierżawiony przez Koło Łowieckie „Zacisze" z Krosna. W obwodzie numer 179 – okolice Nowego Żmigrodu – polują myśliwi z krośnieńskiej „Ponowy". Obwód numer 201 dzierżawi koło „Ryś" z Gorlic; 171 – koło „Magura" ze wsi Pielgrzymka, 172 – „Gwardia" z Jasła, a 186 – „Rogacz" z Dukli. Obwód numer 204 to z kolei Ośrodek Hodowli Zwierzyny, którym kieruje Zarząd Główny Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie (OHZ to forma obszaru łowieckiego, gdzie oprócz polowań powinno się również prowadzić badania naukowe i odtwarzać zanikające populacje zwierząt; w praktyce OHZ są komercyjnymi łowiskami). Jest jeszcze obwód numer 198 – obejmujący wsie Wyszowatka, Ożenna i Grab – gdzie do zwierząt strzelają myśliwi z koła „Ryś" w Krempnej.

Po pracy polują również niektórzy pracownicy parku. We wspomnianym wywiadzie Stój wskazywał, że 18 jego podwładnych to myśliwi.

Poza legalnymi polowaniami w parku i jego sąsiedztwie dochodzi również do aktów kłusownictwa. W ostatnich dniach 2022 roku niedaleko Huty Polańskiej zastrzelono wilczycę. Niecały rok później o zastrzelenie innego wilka został oskarżony Wojciech N., krośnieński notariusz, prywatnie członek koła łowieckiego „Zacisze". Wojtas złapał go niemal na gorącym uczynku – myśliwy stał obok traktora, na łyżce którego znajdowało się martwe zwierzę. Innym razem biolog własnoręcznie schwytał kłusownika ze Słowacji polującego na jelenie.

Cały ten kontekst pozwala lepiej zrozumieć frustrację Zenka i jego stan ustawicznej gotowości do działania. W ochronie przyrody wokół Magurskiego Parku Narodowego rzeczywiście nie ma chwili spokoju.

—

WTEDY NA POGÓRZU PRZEMYSKIM zakolegowaliśmy się na tyle, że pozostaliśmy w kontakcie. Gdy w 2017 roku zacząłem zbierać materiały do książki o Bieszczadach, Zenek otworzył przede mną swój dom i jeszcze chętniej zaczął dzielić się zdobytą wiedzą i doświadczeniem. Beskid Niski i Bieszczady są jak rodzeństwo – z Krempnej do Cisnej jest mniej niż sto kilometrów. Te same warunki przyrodnicze, podobna historia osadnictwa, XX-wiecznych wysiedleń i powrotów. Istotną różnicą są tylko odsłonięte szczyty najwyższych wzniesień w Bieszczadzkim Parku Narodowym na wschód od Wetliny,

Wojtas złapał kłusownika niemal na gorącym uczynku – myśliwy stał obok traktora, na jego łyżce leżało martwe zwierzę.

eprasa.pl d281880d2c

które przyciągają w Bieszczady ponad 650 tysięcy turystów rocznie (dane z parku narodowego za 2024 rok). W niektóre dni widać z nich pasma ukraińskich, a nawet rumuńskich szczytów. Chodziliśmy więc razem po górach – Beskidach, Bieszczadach i Karpatach ukraińskich – a ja garściami czerpałem z tego, że mogę patrzeć na świat przyrody oczami doświadczonego terenowca.

Zapytałem go kiedyś, dlaczego i on nie został myśliwym. Odpowiedział, że ojciec też nie polował.

– Poza tym rodzice mnie nauczyli, że trzeba bronić słabszych – dodał. To krótkie zdanie było całym wyjaśnieniem.

Więcej mówią jego gesty – zaciśnięte na kierownicy dłonie, gdy opowiada o wabieniu przez myśliwych zwierząt do ambon – czy soczyste bluzgi, którymi kwituje łowieckie hobby niektórych sąsiadów. Albo wściekłość, w którą wpada na widok quada w lesie lub pilarzy pracujących w pobliżu ptasiego gniazda. Przeklina często, a jego język bywa równie bezkompromisowy jak opinie.

Wielokrotnie widziałem, jak w jednej chwili potrafi wejść w zupełnie inną rolę: odpowiedzialnego naukowca albo zarażającego pasją edukatora. Spotkaliśmy kiedyś w Hucie Polańskiej wycieczkę licealistów z Krakowa. Uczniowie i nauczycielka nie wiedzieli, że kilkaset metrów dalej leży zabite przez wilki cielę jelenia. Zenek przyklęknął przy martwym zwierzęciu i bez wahania rozpoczął terenową lekcję biologii. „To, co tu widzicie, to coś bardzo naturalnego, bo jeleń jest podstawą diety wilków" – wyjaśnił. Opowiedział o roli drapieżnika szczytowego – znajdującego się na szczycie łańcucha pokarmowego – w ekosystemie Karpat. Wskazał na kruki i inne zwierzęta, które dzięki wilczemu wysiłkowi napełnią swoje żołądki. Młodzież i nauczycielka patrzyli i słuchali jak urzeczeni.

Sam z takim samym podziwem oglądam fotografie, które regularnie wysyła mi do Warszawy. Zdjęcia i nagrania z fotopułapek, dzięki którym monitoruje populacje zwierząt na terenie Magurskiego Parku Narodowego. Grupa jeleni w zamglonej dolinie. Ryś podczas toalety na zboczu zaśnieżonej góry. Para orłów przednich na martwym jeleniu, jego żebra niczym grzędy w kurniku, zakrwawione ścięgna jak spaghetti. Oglądane w mieście zdają się pochodzić z innej planety.

—

Z PRAWIE 20 TYSIĘCY hektarów powierzchni Magurskiego Parku Narodowego korzystają trzy wilcze rodziny. Ale areał każdej z nich w karpackich realiach wynosi nawet 25 tysięcy hektarów – sam park to o wiele za mało, a wilki z jednej z grup zachodzą aż pod słowacki Svidnik. Druga rodzina korzysta z kompleksu najwyższego w parku pasma Magury Wątkowskiej oraz nadleśnictw znajdujących się na północ od jego granic. Trzecia grupa jedynie zahacza o tysiąc, może półtora tysiąca hektarów wschodniej części parku, przede wszystkim funkcjonując poza jego granicami.

Przyjechaliśmy do Radocyny, bo Zenka martwi mała aktywność pierwszej ze wspomnianych rodzin.

– W zeszłym roku było w niej 12 osobników. Później coś się musiało z nią stać. Podobno myśliwi skarżą się leśnikom, że wilki zabijają dużo jeleni, tylko że jakoś nikt ich nie widzi. Spróbujemy je wytropić.

Wędrujemy po kruchym śniegu w stronę słowackiej granicy, najpierw drogą, później na przełaj przez niewidzialną o tej porze roku łąkę. Idziemy w ciszy, Zenek przodem, ja kilkanaście metrów za nim. Widzę, że ma oczy dookoła głowy – nieustannie sonduje to, co pod nogami, ale też niebo i otwartą przestrzeń dookoła. Czasem się zatrzymuje i daje mi do siebie dojść. W terenie funkcjonuje w zupełnie innym trybie niż w codziennych sytuacjach – jeśli coś mówi, to szeptem. Jeśli się unosi, to tylko wtedy, gdy idę nieostrożnie albo zbyt głośno tupię. Zwraca uwagę na dźwięki („dzięcioł czarny po prawej"), wskazuje tropy zostawione przez zwierzęta. Zatrzymujemy się na Przełęczy pod Zajęczym Wierchem, betonowe słupki z „S" po jednej stronie i „P" po drugiej mówią, że tu kończy się jeden kraj, a zaczyna drugi. Widzimy narciarza, który zbliża się do nas na biegówkach. To Słowak, więc rozmawiamy jak zwykle w tych stronach: my po swojemu, on po swojemu. Idzie od Niżnej Polanki, wsi po południowej stronie granicy. Żali się na mokry śnieg, który nie daje ślizgu. Nie widział wilków, na ich tropy chyba nie zwracał uwagi. Mówi tylko o paru napotkanych sarnach.

eprasa.pl d281880d2c

Z punktu widzenia tropicieli wilków dalsza część tego popołudnia też jest bezproduktywna. Zataczamy szeroką pętlę wschodnią stroną doliny. Mijamy źródła Wisłoki, przechodzimy przez Dębi Wierch. Natrafiamy wyłącznie na ślady jeleni – odbicia ich kopyt, bobkowate odchody czy spałowane drzewa, z korą zdartą przez zwierzęta za pomocą siekaczy. Znajdujemy borsuczą jamę, przypadkiem płoszymy trzy łanie. Po drodze Zenek psioczy na realia gospodarki leśnej: sosny, których nie powinno tu być, bo las bukowy nie jest miejscem dla tego gatunku; na grodzone młodniki i drogi, którymi drewno wyjeżdża z lasu.

Wraca do tych obrazów następnego dnia podczas innej wycieczki: jesteśmy w okolicach zachodniej granicy parku narodowego, na drodze łączącej dwie urokliwe doliny. Jeden z dopływów Wisłoki rozgałęzia się tam kandelabrowo niczym korona rosochatego dębu. Kilka potoków spływa do wąskiej przełęczy – niebieskim szwem spajając na mapie rzędy poziomic. Zenek znów zobaczył coś z samochodu, zaparkował na skraju drogi i zaordynował, że musimy to sprawdzić. Schodzimy z nasypu za sznurem wilczych tropów.

– Wczorajsze – mówi głosem niezdradzającym ani krzty wątpliwości. Jednocześnie sugeruje, bym stawiał stopy w odbicia jego podeszew. Mam się rozpłynąć w jego tropach. – Nie róbmy tu zbytniego rozgardiaszu – tłumaczy.

Tropy jak rzeka meandrują między drzewami, idziemy z nosami przy ziemi, czekając, aż krajobraz powie nam coś więcej. Wreszcie dochodzimy do wody. Potok ma tu kilka metrów szerokości, płynie wartko, nie ma szans, byśmy mogli go przebrodzić. – Przeszły na drugą stronę – mówi Wojtas. – Są już daleko stąd.

Porzucamy trop i wracamy na drogę. Kilkaset metrów dalej Zenek chce mi pokazać inny fragment lasu. O wiele starszy, od kilkudziesięciu lat objęty ochroną. Niespodziewanie robi się widno – pod strzelistymi bukami niższa roślinność nie ma szans na światło słoneczne, więc w dolnej partii hula wiatr. O nic się człowiek nie potyka, niczego nie musi wymijać. Zamiast tego nieustannie zadziera głowę ku koronom. Drzewa są potężne, przypominają kolumny w średniowiecznej katedrze.

– Dyrektor Szafrański poprosił mnie kiedyś, żebym pokazał mu najpiękniejszy kawałek lasu. Taki, który byłby kwintesencją tego, co należy chronić. Zabrałem go właśnie tu – szepcze Zenek. – Te drzewa już wtedy, 30 lat temu, były stare. Zupełnie inny las niż ten, który widzieliśmy wczoraj, prawda?

Inny i bardziej tętniący życiem – tropy jeleni, dzików, wilków tworzą gęstą sieć traktów i ścieżek. Trafiamy na kilka legowisk, gdzie śnieg wciąż pamięta kształt sylwetki zwierzęcia. Idąc za Zenkiem, szybko tracę orientację. Mam wrażenie kręcenia się wkoło, chaotycznego deptania własnych śladów, a jednak gdy konfrontuję to wyobrażenie z mapą w telefonie, widzę, że Wojtas prowadzi nas elegancką pętlą. Jakby znał ten las jak własną kieszeń.

Przy samochodzie narzeka na ból pleców.

– Za rzadko jestem ostatnio w lesie. Za mało chodzę w teren. Muszę nadrobić projekty, monitoringi populacji, badania. Dzieje się dużo innych rzeczy, nie na wszystko wystarcza mi czasu.

—

W 2022 ROKU zacząłem dostawać od Zenka zupełnie inne zdjęcia. Zamiast drzew widać było na nich ruiny. Zamiast jeleni i rysiów – rozwalony czołg. Czasem w kadr łapał się również on, w mundurze i hełmie.

– Dzień przed wybuchem wojny w Ukrainie zadzwoniłem do Radka – opowiada. Radek Michalski to jego przyjaciel, założyciel Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, towarzysz wielu batalii o przyrodę w projektowanym Turnickim Parku Narodowym i innych rejonach Karpat Wschodnich. – Jego żona pochodzi z Ukrainy, wiedziałem, że ma w Kijowie dużą rodzinę, między innymi teściową. Powiedziałem tylko: „Radek, gdyby coś się działo, możesz na mnie liczyć". No i następnego dnia zadzwonił: „Zenek, jedziemy!".

Kiedy 24 lutego zgromadzone wzdłuż ukraińskiej granicy rosyjskie wojska ruszyły do natarcia, rozpoczął się masowy *exodus* ludności cywilnej. Ludzie rzucili się do ucieczki, a drogi prowadzące na zachód – przede wszystkim do Polski – błyskawicznie się zakorkowały. W tym czasie Polacy ruszyli na stacje benzynowe. Gwałtownie skoczyły ceny, w niektórych miejscach brakowało paliwa, bo dostawcy nie nadążali z transportami.

– Zupełnie nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, ale skoro w Polsce były problemy z benzyną, to w Ukrainie musiało być jeszcze gorzej. Zanim dojechał do mnie w góry, Radek jeździł po wsiach i szukał małych stacji. Napełniał kolejne kanistry. Załadowaliśmy nimi moją terenówkę i pojechaliśmy na wschód. Byliśmy jedynymi ludźmi, którzy przekraczali granicę w tym kierunku. W przeciwnym – do Polski – stało się w parodniowym korku.

Zenek wspomina nerwowość tamtych dni. Chaos informacyjny i poczucie wielkiej niewiadomej. Granicę przekroczyli w Krościenku. Jego palec wskazujący wędruje po mapie, próbując odtworzyć trasę, którą jechali na wschód. W tym czasie bliskim Radka udało się przedostać z Kijowa do Żytomierza. Dalej jechać nie mogli, bo zabrakło im benzyny.

Polacy zupełnie nie wiedzieli, w co się pakują. A co, jeśli Rosjanie będą szybsi? Jeśli dotrą tam przed nimi, a u celu czekać będą nie bliscy, ale lufy ruskich karabinów?

Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie został myśliwym. – Rodzice mnie nauczyli, że trzeba bronić słabszych – to było całe wyjaśnienie.

eprasa.pl d281880d2c

– Ukraińscy żołnierze opowiadali mi potem, że Władimir Putin chciał wejść do stolicy i jednym ciosem odrąbać Ukrainie głowę. Zabić prezydenta, przeciąć łańcuch dowodzenia. Podobno niewiele mu zabrakło. Mimo ostrzeżeń sojuszników Ukraińcy do końca nie wierzyli, że zostaną zaatakowani. Gdy w końcu do tego doszło, długo nie mogli się pozbierać. Nie mieli pomysłu na obronę, nikt nie wiedział, co ma robić. Decyzje dowodzenia wzajemnie się wykluczały. Ukraińcy opowiadali nam później, że w pierwszych dniach wojny naprawdę byli o włos od katastrofy – wspomina Zenek.

Dojechali do Żytomierza, tam na opuszczonej stacji benzynowej spotkali teściową Radka i zobaczyli dwa auta z pustymi bakami, pełne kobiet z dziećmi. Zatankowali i ruszyli w drogę powrotną. Ale co zrobić, żeby nie utknąć na granicy wraz z tysiącami uchodźców? Zamiast na zachód, pojechali na południe.

Przez Kamieniec Podolski, wzdłuż ukraińsko-rumuńskiej granicy i dalej w stronę Węgier. W internecie obserwowali natężenie ruchu na kolejnych przejściach granicznych. Wreszcie na pograniczu Ukrainy i Węgier, w Karpatach, znaleźli takie, gdzie stania było tylko na kilkanaście godzin. Przez Węgry przedostali się do Słowacji i dalej do Polski.

Zenek wspomina te dni jako pełne strachu i chaosu.

– Na ulicach roiło się od ludzi z bronią. Jakby każdy Ukrainiec nagle dostał do rąk karabin. To było szaleństwo, co chwila ktoś nas zatrzymywał, a my nie mieliśmy pojęcia, kim jest i czego od nas chce. Policja, wojsko czy samozwańczy cywil? Byle wariat z bronią wyciągał mnie z auta i kazał kłaść się na ziemi. Nawet nie chcę liczyć, ile razy miałem lufę przy skroni. Co chwila ktoś do nas mierzył i nas legitymował. W pewnym momencie reagowałem już na to śmiechem, taki mi się włączył mechanizm obronny.

Wesoło oczywiście nie było, wszystkim trzęsły się ręce. W takiej atmosferze nigdy nie wiesz, czy ktoś się nie zagotuje, czy komuś palec się nie omsknie na spuście.

– Pamiętam taką sytuację: jechaliśmy przez ukraińskie Karpaty, w lusterku zobaczyłem, że facet, którego właśnie minąłem, sięga po telefon. Zadzwoniłem do Radka, który prowadził inne auto, i mówię: „Zaraz nas zatrzymają". Rzeczywiście, pół godziny później z tyłu pokazały się niebieskie błyski kogutów. Mówię: „Gaz do dechy". Ale chwilę później dzwoni Radek: „Może się jednak zatrzymamy? Jeszcze zaczną strzelać…". Tak zrobiliśmy. Wysiadłem z auta z paszportem w ręce, ale i tak od razu powalili mnie na ziemię. Kobiety, które wiozłem, tylko krzyczały, żeby nas zostawić w spokoju. Po jakimś czasie zostawili.

Przed samą granicą spotkali pewną rodzinę w samochodzie bez paliwa. Ukraina nie wypuszczała już wtedy mężczyzn, uciekać mogły tylko kobiety z dziećmi. I ewentualnie samotni ojcowie.

Nie zliczę, ile razy miałem lufę przy skroni. W pewnym reagowałem na to śmiechem, włączył mi się mechanizm obronny.

– Zrobiliśmy tak: facet chwycił niemowlę na ręce i przeszedł przez przejście piesze. Przepuścili go. W tym czasie ja wziąłem ich auto na hol. Kobieta usiadła za kierownicą. Kilka godzin później podjechaliśmy do przejścia. Powiedziałem strażnikom, że zepsuł jej się samochód, więc ją holuję, i dlatego mają nas potraktować jako jeden pojazd. Puścili nas bez sprawdzania jej prawa jazdy, którego wcale nie miała. Nie potrafiła nawet prowadzić. Niedługo potem rodzina znowu była razem, już po węgierskiej stronie.

—

WYDAWAĆ BY się mogło, że po takiej dawce emocji człowiek będzie chciał na dłużej zaszyć się w lesie. Nic bardziej mylnego – dwa tygodnie po powrocie z Ukrainy Zenek znów był w Kijowie. Po takim wyrzucie adrenaliny trudno wrócić do szarej codzienności. Inne sprawy schodzą na dalszy plan. Tym bardziej że doświadczenie zdobyte w drodze do Kijowa było bezcenne. Mało kto w tamtych dniach widział wojnę na własne oczy. Mało kto wiedział, jak bezpiecznie przedostać się na wschód. Na przykład z transportem. Owszem, rosło zainteresowanie wsparciem Ukrainy – organizacje pomocowe organizowały zbiórki dla uchodźców, zwykli ludzie udostępniali im swoje domy, mieszkania, pokoje. Świat obiegły zdjęcia dziecięcych wózków na przemyskim peronie kolejowym – polskie matki zostawiły je dla Ukrainek, które uciekały przed wojną z niemowlakami. Mało kto miał jednak odwagę, by myśleć o pomaganiu tym, którzy zostali w objętym wojną kraju.

– Przez mój dom przewija się dużo różnych ludzi. Takich, których interesuje przede wszystkim ochrona przyrody. Poznają mnie przy wielu okazjach, oglądają moje zdjęcia, są zainteresowani tym, co robię. Przyroda potrzebuje sojuszników, więc czasem zabieram takie osoby do lasu. W ten sposób poznałem pewnego korespondenta wojennego, który miał znajomości w Ukrainie.

Kilka dni po powrocie z Ukrainy Wojtas zadzwonił do niego i powiedział: „Chcę się zaangażować. Chcę pomagać". W odpowiedzi dostał namiar na jednostkę wojskową w Wasylkowie, niedużym mieście na południe od Kijowa. Według relacji Ukraińców, w nocy z 25 na 26 lutego zaatakowali je rosyjscy spadochroniarze z wojsk powietrznodesantowych, którzy próbowali przejąć tamtejszą bazę lotniczą. Doszło do ciężkich walk. Ukraińskie wojsko donosiło, że udało mu się zestrzelić dwa Iły transportujące Rosjan. W lasach sąsiadujących z Wasylkowem nie znaleziono jednak żadnych wraków. O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się relacja, wedle której Rosjanie dotarli w okolice lotniska na pokładzie śmigłowców – jak pisał „The New York Times", w tamtych dniach w okolicach ukraińskiej stolicy działało dużo sabotażystów: uśpione grupy dywersyjne, które przebudziły się

eprasa.pl d281880d2c

w chwili wybuchu pełnoskalowej wojny. W tym samym czasie trwały też bombardowania Kijowa.

– To były bardzo nerwowe dni. Rosjanie byli już w Żytomierzu i atakowali Kijów. W oczach żołnierzy widać było przerażenie. Znów wziąłem ze sobą Radka. Pojechaliśmy dwoma samochodami. Zawiesiliśmy na nich polskie flagi, żeby wszyscy wiedzieli, że przyjechaliśmy z pomocą. Tym razem puszczano nas na ogół bez zadawania jakichkolwiek pytań.

Do Wasylkowa przywieźli sprzęt wojskowy, ubrania, żywność, środki higieniczne i leki. Z powrotem zabrali kolejnych uchodźców – kobiety i dzieci.

Tydzień później – następny transport z darami. Fama, że grupa Polaków jeździ na front, niosła się coraz szerzej. Do Zenka zgłaszali się następni ludzie. Jedni przekazywali pieniądze, inni pomoc materialną. Na początku wojny udało się zorganizować łącznie cztery konwoje. Do Ukrainy trafiły cztery samochody – trzy terenówki i bus – a także sprzęt medyczny, taktyczny, żywność i odzież warte łącznie około 200 tysięcy złotych. Jednocześnie ewakuowano około 60 osób.

Kolejnym krokiem było powołanie Fundacji Linia Frontu. Przewodniczącym jej rady został Andrzej Stasiuk, pisarz i sąsiad Zenka, mieszkający w Wołowcu, tuż przy granicy Magurskiego Parku Narodowego. Stasiuk nadał jej działaniom odpowiedni rozgłos.

„To on wszystko wymyślił, założył tę fundację, bo jest osobą bardzo społeczną, bardzo fajnym chłopakiem – mówił o Zenku polsko-ukraińskiemu serwisowi Sestry. – A mnie wziął jako znaną gębę – po prostu". Stasiuk pojawiał się w mediach po to, by opowiadać o kolejnych zbiórkach pieniędzy, na przykład na koparkę dla żołnierzy walczących pod Słowiańskiem w Donbasie.

– Część żołnierzy przeniesiono z Wasylkowa do Chrestyszczy koło Krematorska i Słowiańska, ponad 100 kilometrów na północ od Doniecka. Weszli w skład 18. Słowiańskiej Brygady, a my pojechaliśmy za nimi. Raz nawiązany kontakt trzeba było utrzymać.

Ale co innego jeździć pod Kijów, gdzie walki dawno ustały, co innego ładować się na samą linię frontu. Żeby przydać wojnie konkretów, Zenek uruchamia internetową mapę na ekranie laptopa. Regularnie aktualizowana DeepStateMap pokazuje zasięg walk, zdobyte i odzyskane tereny, miejsce stacjonowania poszczególnych jednostek armii rosyjskiej. Słowiańsk i Krematorsk, wciąż kontrolowane przez Ukrainę, wcinają się jęzorem w okupowane terytorium. Rosjanie otaczają je z trzech stron.

– Jeszcze do niedawna za rzeką stali Rosjanie. I strzelali – opowiada Wojtas. Znajduje na mapie 26. Regiment Czołgowy, klika na odpowiedni rodzaj artylerii, a na mapie pojawia się kółko wyznaczające jej zasięg. Będąca na wyposażeniu ukraińskiej armii haubica samobieżna M109 strzela na maksymalnie 30 kilometrów. Mniej mobilna artyleria – na kilkanaście albo 20. Rosyjski sprzęt podobnie. – Możesz sobie wyobrazić, że raz na jakiś czas coś latało nam nad głowami… – konkluduje.

W pierwszym roku działalności fundację wsparło ponad 250 osób. W drugim – podobna liczba. Zenek przekonuje, że przewiózł przez granicę transporty o łącznej wartości około miliona złotych. Zastrzega jednak, że nie ma głowy do liczb. O pieniądze jest jednak coraz trudniej, bo – jak mówi – Polacy są zmęczeni świadomością wojny u sąsiada. Nie chcą o niej czytać, na liście priorytetów pojawiły się inne tematy. Choćby amerykańska wojna w Iranie, która wywindowała ceny paliw. Linia Frontu zbierała ostatnio pieniądze na podczołgówkę – niskopodwoziową przyczepę z ciągnikiem, która umożliwiłaby manewrowanie ciężkim sprzętem w Donbasie. Kosztuje ona około 170 tysięcy złotych, do czasu zakończenia zbiórki na początku kwietnia udało się uskładać zaledwie połowę tej kwoty. Potrzebne są też powerbanki, odbiorniki GPS, generatory prądu. I samochody terenowe.

eprasa.pl d281880d2c

– Nawet w Kijowie trudno czasem uwierzyć, że na wschodzie trwa wojna. Mieszkańcy wiedzą, jak często trafiają się noce z nalotem dronów, i potrafią je przewidywać. Niektórzy nawet nie schodzą do schronów. Ta wojna toczy się zupełnie gdzie indziej.

Fundacja szuka rozgłosu dla swoich działań, choć – jak przekonuje w wywiadzie dla Sestr Stasiuk – „To nie jest jakiś wielki przemysł", a istotą tej pomocy na niewielką skalę jest to, by sprzęt dostarczyć bez pośredników. Dzięki temu nic po drodze nie zginie. Fundacja reaguje na bieżące potrzeby Ukraińców. Ci zwykle mówią o butach, odzieży termicznej, noktowizorach, dronach i samochodach. Czasem tylko zażartują, że przydałyby im się myśliwce F-16.

W zaśnieżonej leśniczówce, w środku Karpat, w dolinie między jedną górą a drugą musi teraz paść pytanie o motywację. – Pomagasz Ukrainie na tych samych zasadach, na jakich od małego bronisz przyrody? Chodzi o wstawianie się za słabszymi?

Zenek na chwilę milknie, jakby nie rozumiał pytania.

– Pewnie tak, ale robimy to też we własnym interesie. Jeśli Ukraińcy nie zatrzymają Rosjan, to oni zaraz przyjdą do nas. Za kilka miesięcy znajdziemy się w sytuacji, gdy to my będziemy patrzeć błagalnie na innych i prosić ich o pomoc. Tam, na froncie, cały czas czegoś brakuje. Rodziny żołnierzy szukają dla nich sprzętu, noktowizorów, broni. Łańcuch dostaw opiera się na wolontariuszach. Czasami robi się z tego wojenna turystyka – ktoś zawozi sprzęt na front i w zamian ogląda wojnę.

Wojtas mówi też, że adrenalina uzależnia. I chyba ma na myśli zarówno siebie, jak i żołnierzy.

– Znajomi z batalionu wspominają, że po wojnie nie chcą iść do cywila. Doświadczenie wojny i obecności na froncie wywraca człowieka na drugą stronę. Trudno wrócić potem do normalności. Żartują, że jak pokonają Rosjan, to zaczną walczyć z piratami na Oceanie Indyjskim. Albo mówią: „Zenek, jak to się skończy, przyjedziemy w Karpaty łapać z tobą kłusowników".

– A ty? Co chcesz robić, gdy nie trzeba już będzie jeździć do Ukrainy?

– Może wrócę w wysokie góry? W roku, w którym wybuchła wojna, miałem się wyprawić na Szczyt Lenina, siedmiotysięcznik w Pamirze. Wcześniej byłem na Matterhornie… – mówi. – Poza tym, nie oszukujmy się, gdy jedna wojna się kończy, zaraz gdzieś wybucha kolejna. Wciąż trzeba będzie komuś pomagać, linii frontu jest więcej.

—

NA POCZĄTKU WIOSNY dzwonię do Zenka, żeby dopytać o kilka faktów związanych z działalnością fundacji. Mówi, że za tydzień, może dwa znów jedzie do Donbasu. Znalazł bogatego sponsora, który chce wysłać do Ukrainy duży transport sprzętu pomocowego. Oficjalnie do Kijowa, w praktyce – na front. Niektórzy wolą pomagać cywilnym ofiarom wojny niż żołnierzom, którzy muszą w niej walczyć – tłumaczy Zenek. Tak czy inaczej, trzeba będzie to wszystko zawieźć.

Na froncie cały czas czegoś brakuje. Czasami robi się z tego wojenna turystyka. Ktoś zawozi sprzęt na front, a w zamian ogląda wojnę.

Pytam też, co słychać w lesie. Wciąż martwi się o rodzinę wilków, tę, którą tropiliśmy w okolicach Radocyny. W zeszłym roku liczyła 12 osobników, w tym widział tylko cztery, w tym jednego, który wlecze się za grupą. Może jest młody, chory albo po prostu nieporadny? I co stało się z pozostałymi? Wojtas mówi o kłusownikach, którzy czują się na tyle bezkarni, że strzelają również do chronionych gatunków. A co, jeśli zabili samicę? Albo kilka zwierząt naraz?

Poza tym dopiero co natknął się na trzy rysie, matkę z dwoma młodymi. Zobaczył je w parku narodowym, z grani, bawiły się w dole niemal pod jego stopami („Chodzę za nimi od 20 lat, to kto ma je widzieć, jeśli nie ja?"). Na nagraniu, które mi chwilę później wysyła, widzę trzy rude koty siedzące na powalonym drzewie. Dwa przykucnięte, zwrócone plecami do obiektywu, wpatrują się w horyzont. Trzeci rozgląda się, jakby świadomy bycia obserwowanym.

Na koniec rozmowy Zenek coś sobie jeszcze przypomina: – Wiesz, tam, na pograniczu Ukrainy i Węgier, widziałem naprawdę piękne góry. Jak w Ameryce, szerokie drogi przecinające dzicz. Musimy się tam kiedyś razem wybrać. Ale nie na wojnę. Krajoznawczo.

Więcej tekstów o zwierzętach i ochronie przyrody przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/ekologia**

eprasa.pl d281880d2c

POEZJA

***

MARCIN ŚWIETLICKI

—

Zupełny zastój w interesach! Rzeczy, które miałem zrobić, pozostaną niezrobione, leżeć będą i kwiczeć w tym bezwładzie, nie doczekają się. A ja będę już gdzie indziej, wcale nie mam zamiaru się tłumaczyć, ja będę w tym metaforycznym Budapeszcie ukryty, obwarowany i przepełniony nadrealnym spokojem. To jak śmierć, ale piękniej.

MARCIN ŚWIETLICKI

poeta, prozaik – głównie autor powieści kryminalnych, wokalista zespołów Świetliki oraz Czarne Ciasteczka. Autor wielu tomów poetyckich, laureat nagród. Wiersz pochodzi z najnowszej książki *Wypisy*, która ukazała się nakładem wydawnictwa a5.

eprasa.pl d281880d2c

KOMIKS

Wakacyjne pamiętniki wampirów

tekst TOMASZ KONTNY, *rysunki* WERONIKA DOBROWOLSKA

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c

TOMASZ KONTNY, scenarzysta komiksów. Nagradzany w konkursach, w tym wielokrotnie na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi. Pisze serię *Wydział 7* o SB-kach rozwiązujących paranormalne zagadki w realiach PRL.

eprasa.pl d281880d2c

WERONIKA DOBROWOLSKA, ilustratorka, autorka komiksów, w tym serii: *Oh Baby* i *Król Karaczan*. Współautorka zinowych antologii, m.in.: *Queer Erotica*, *Babski Zine*, *Dreszczyk*, *Własnym Głosem*. Jej prace były publikowane na łamach magazynu „Pismo" i „Zeszytów Komiksowych". Laureatka Złotego Kurczaka w kategorii najlepsze rysunki (2024).

eprasa.pl d281880d2c

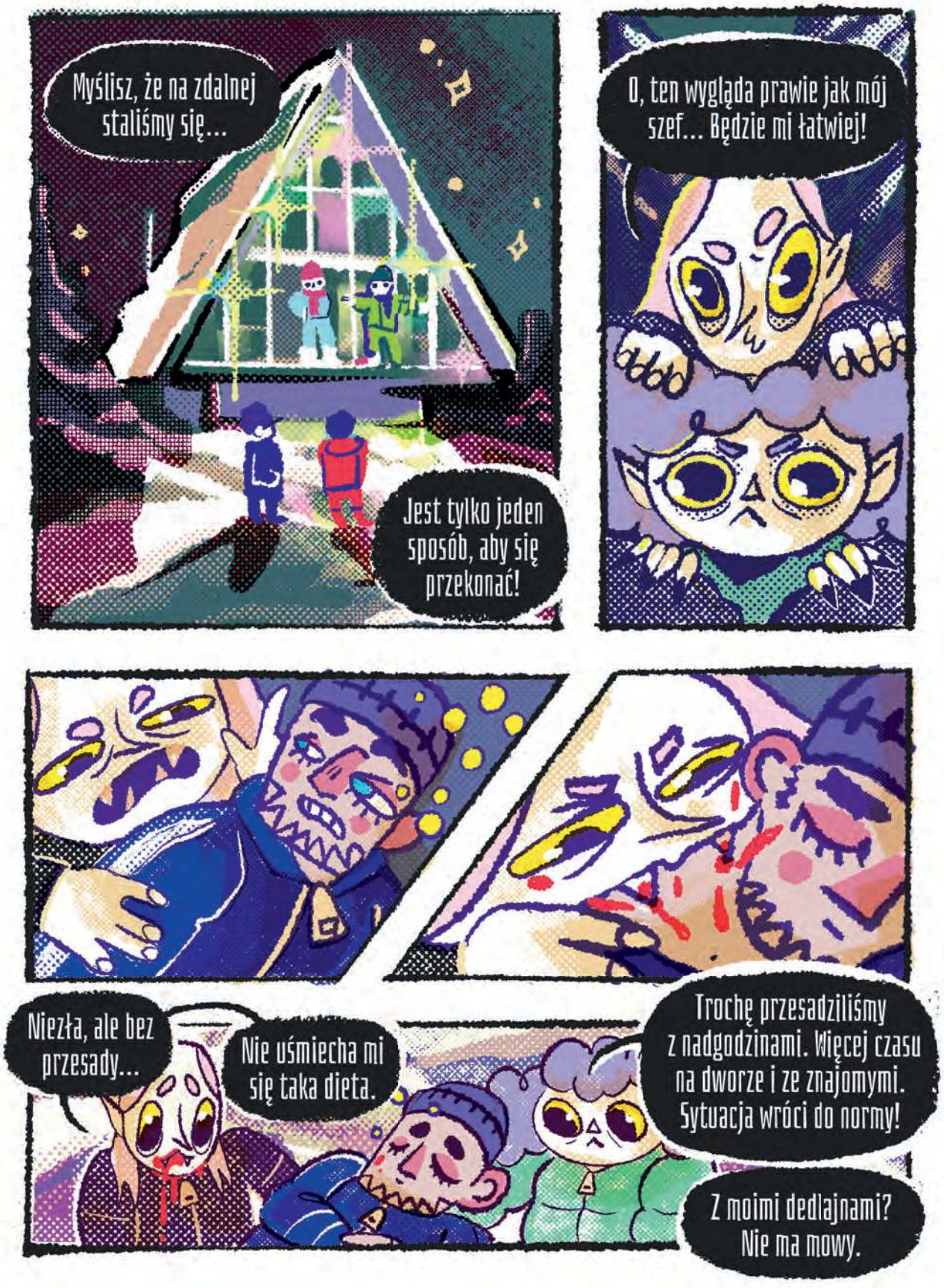

eprasa.pl d281880d2c

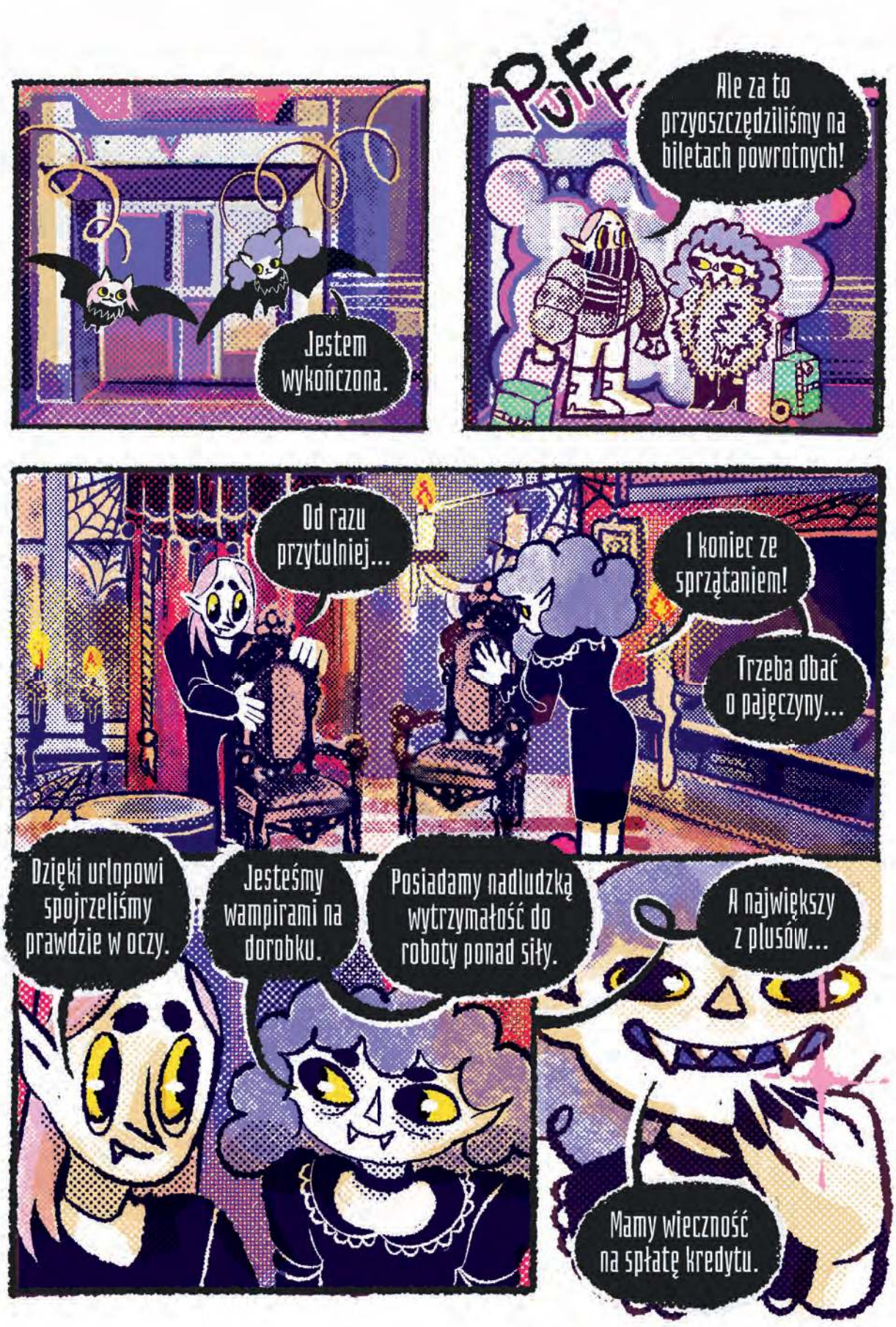

eprasa.pl d281880d2c

Co nam zabiera sztuczna inteligencja?

tekst ŁUKASZ KRUKOWSKI

KARMIONE LUDZKIMI myślami narzędzia sztucznej inteligencji drastycznie ingerują w naszą kulturę. Jeśli potrwa to dłużej, mogą nas pozbawić nie tylko pracy.

Jestem autorem prozy z pogranicza horroru. Do tej pory wszystkie moje utwory były fikcjonalne, ale z bliska widać już horror, któremu daleko do fikcji. Problem, który tu rysuję, jest globalny, przede wszystkim polityczny, i postępuje w niesamowitym tempie.

Emmanuel Carrère w książce *Królestwo* czyni następującą uwagę: „Ci, co znają polityczną gadaninę po wydarzeniach Maja '68, pamiętają sakramentalne pytanie: «A ty z jakiej pozycji się wypowiadasz?». Uważam je za niezwykle trafne". Podobne pytania prawie nie padają w dzisiejszej debacie o sztucznej inteligencji (AI), którą zdominowali tak zwani eksperci, czerpiący mniejsze lub większe zyski z różnego rodzaju wypowiedzi. Zupełnie skandaliczne – ale właściwe dla kapitalizmu – jest stawianie w roli ekspertów samych twórców tej technologii, którzy mają oczywisty interes, by ją promować. Zaznaczam więc, że zrzekłem się honorarium za ten tekst, a wypowiadam się z pozycji pesymistycznego kronikarza tych zjawisk. Już kilka lat temu w wywiadzie dla Culture.pl zauważyłem sprzeczność między deklarowaną misją formy OpenAI (budowanie „bezpiecznej AI") a bezprecedensową zdolnością jej produktów do generowania bezwartościowych tekstów, które zalewają internet i skrzynki mailowe wydawców.

Współcześnie znaczącą część treści w internecie produkują boty, ogólnodostępne narzędzia takie jak Grok tworzą pornografię z udziałem dowolnych osób, a systemy AI są wykorzystywane do bombardowania cywilów w Iranie. W jaki sposób społeczeństwa mają reagować na atak tak ekstremalnie ekspansywnej technologii? Przede wszystkim muszą sobie uświadomić jego skalę i to, że jest przeprowadzany według następującej logiki: instancje sztucznej inteligencji rozmieszcza się w strategicznych miejscach w społeczeństwie, by poczynić jak największe spustoszenie, na które nie da się adekwatnie odpowiedzieć. A jednak spróbujmy.

POD KONIEC 2024 roku zainteresowałem się pisaniem scenariuszy do gier komputerowych. Ze względu na restrykcyjne klauzule tajności, ograniczę się do krótkiej prywatnej historii i informacji znanych publicznie. W pewnym momencie prestiżowa firma F. poprosiła mnie o zrobienie testu rekrutacyjnego w języku polskim, co jest rzadkością. Przewidziany na kilka dni test sam w sobie stanowił wielką zagadkę. Zawierał nadmiarowe, sztuczne i niepotrzebne sformułowania, na przykład należało wprowadzić bohatera, którego motywację opisano jako „zemstę", a cel jako „zemszczenie się". Po co wyodrębniać „motywację" i „cel", jeśli w te dwie rubryki wpisuje się coś tak podobnego lub nawet identycznego? Wskazywało to na nieprzemyślenie samej konstrukcji zadania. W dobrej wierze uznałem jednak, że pewnie to ja czegoś po prostu nie dostrzegam, jakiejś ukrytej trudności czy pułapki.

eprasa.pl d281880d2c

rysunki TOMEK PIEŃCZAK

eprasa.pl d281880d2c

ŁUKASZ KRUKOWSKI, autor wielu tekstów z pogranicza horroru. Publikował wielokrotnie w „Piśmie" oraz w różnych antologiach i magazynach zajmujących się literaturą grozy, w szczególności *weird fiction*. Za apokaliptyczną powieść *Mam przeczucie* (2023) był nominowany do Nagrody Identitas, Odkrycia Empiku i otrzymał nagrodę literacką „Z Buta" przyznawaną przez studentów UAM w Poznaniu.

Zostałem odrzucony, ale także wysłano mi wiadomość zwrotną, tak zwany *feedback*. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś musiał się pomylić i wiadomość nie jest adresowana do mnie – ze względu na oczywiste sprzeczności między wcześniejszymi wymaganiami a tym, co otrzymałem w wiadomości. Zgodność moich odpowiedzi z wymogami testu przedstawiono jako zarzut, tak jakby osoba konstruująca feedback nie widziała testowych poleceń. Na końcu stała standardowa formuła grzecznościowa: „Zostańmy w kontakcie", dlatego postanowiłem odpisać – uprzejmie, a zarazem dość szczegółowo odnosząc się do feedbacku i podając kontrprzykłady z samego testu, a także z gier wyprodukowanych przez firmę F.

Po 30 minutach (szybko!) rekruter wysłał mi kolejny mail. Nabrałem wtedy przekonania, że system rekrutacyjny przynajmniej w części jest zautomatyzowany. Wiadomość zawierała charakterystyczne struktury dla tekstów wygenerowanych przez AI, takie jak: „to nie jest x, tylko y", i nagromadzenie pauz, czyli „—" (kto przed 2022 rokiem spotkał się w mailach z tym długim znakiem?). Rażąco kłóciły się zaskakująca długość i pustka tej wiadomości, algorytmiczność znacznie większa niż w przypadku typowych maili z HR-u. I choć wiadomość odnosiła się po kolei do każdego mojego zdania, to jej treść była wprost absurdalna.

Z dużym prawdopodobieństwem została wygenerowana na podstawie moich maili przez darmowy ChatGPT w wersji GPT-4 (sprawdziłem to i porównałem z innymi narzędziami, takimi jak różne wersje Gemini i Grok). Zostawiam margines błędu, bo oczywiście nie mogę tego udowodnić ze względu na samą naturę tej technologii. W odpowiedzi, którą sam testowo wygenerowałem, używając tego narzędzia, zasadniczo takie same jak w feedbacku były struktura zdań i ich kolejność oraz liczba i objętość akapitów, a przekaz był identyczny. Właściwie obie wersje różniły się tylko kilkoma słowami, a jedno zdanie zamiast na końcu było na początku. Mój prompt [polecenie wydane narzędziu AI – przyp. red.] – do którego załączyłem moje dwie pierwsze wiadomości – brzmiał: „odpisz na mail Łukasza z perspektywy rekrutera", nic więcej.

Takie zastosowanie generatywnych technologii to zresztą nic dziwnego, skoro obecnie Microsoft wprost zachęca do tworzenia maili za pomocą narzędzia Copilot. Cała ta sytuacja przypomniała mi historie o dystopijnych rozmowach na platformie rekrutacyjnej HireVue, gdzie, starając się o pracę, trzeba nagrać swoje odpowiedzi na podane pytania, a nagranie analizują później algorytmy. Nikt nie chciałby być rekrutowany przez automat – i to wyraźnie niezbyt mądry – a już na pewno nie w tak delikatnej sprawie, jaką jest pisanie. Trudno powiedzieć, jak daleko ta automatyzacja sięgała w tym konkretnym, opisanym przeze mnie przypadku. Może ktoś myślał, że kandydaci się nie zorientują? Ja się zorientowałem. A może rekruterzy nie widzieli w tym nic złego? Ja widzę – zwłaszcza że nigdzie nie było mowy o automatyzacji, a w podpisie maila znajdowało się imię i nazwisko.

Było to moje pierwsze zderzenie z generatywną AI w środowisku profesjonalnym. Miałem wtedy nadzieję, że to sobie wmawiam. W końcu jednak dowiedziałem się kilku rzeczy o specyfice tej branży, które można znaleźć w źródłach publicznych.

Generatywna sztuczna inteligencja jest, a przynajmniej jeszcze do niedawna była w branży gier absolutnie genialną innowacją. Co prawda na grafikach od czasu do czasu pojawiały się sześciopalczaste postacie i podobne artefakty, jednak interpretuje się to jako normalne problemy przy wdrażaniu nowej technologii. Normalne jest także odbijanie piłeczki z narzędziami typu ChatGPT podczas opracowywania projektu, na przykład omawianie jego kreatywnych aspektów. Umożliwia to lepsze (na pewno szybsze) iterowanie kolejnych wersji elementów gry, które następnie wdraża się głównie pod pozorem prototypowania [tworzenia wczesnych wersji produktu przeznaczonych do testów – przyp. red.], co jest słowem kluczem. Generuje się w ten sposób na przykład grafiki, dialogi i tak dalej, a później prosi się jakiegoś człowieka, żeby je poprawił. Pozwala to na końcu obwieszczać, że gry są tworzone „przy udziale" ludzi. Poświęcono temu cały rozdział z publicznego raportu branżowego z tegorocznego GDC Festival of Gaming, *2026 State of the Game Industry* (*Stan branży gier w 2026 roku*). Połowa zapytanych w ankiecie deweloperów potwierdziła, że w ich firmie korzysta się z AI, przy czym tylko co trzeci przyznał, że sam to robi. Na pytanie „Jak używasz generatywnej sztucznej inteligencji?" zadane tym ostatnim, 81 procent odpowiedziało, że do burzy mózgów, 47 procent, że do pisania maili, tyle samo do pomocy w kodowaniu, a 35 procent do prototypowania.

Ślady prototypowania przy użyciu AI czasem zostają w końcowym produkcie, co pokazuje przykład polskiego studia 11Bit (z którym nie mam osobiście nic wspólnego i nie znam jego wewnętrznych praktyk). Tłumaczyło się ono z wykorzystania w swojej grze *The Alters* wygenerowanych „placeholderów", czyli treści tymczasowych, przeznaczonych później rzekomo do zastąpienia przez docelowe. Przedstawiciele studia wyjaśniali też, że „z powodu ekstremalnych ograniczeń czasowych zdecydowali się [w przypadku dodatkowych filmów, stworzonych przez partnerów zewnętrznych i umieszczonych w grze – przyp. Ł.K.] nie podejmować współpracy z partnerami ds. tłumaczeń i użyli do tłumaczenia AI, żeby [filmy] były gotowe na premierę [gry]". Z komentarzy pod postem studia 11Bit na portalu X wynika, że sporej części graczy nie przeszkadza już takie podejście.

eprasa.pl d281880d2c

Wiele osób nie widzi problemu w wykorzystywaniu generatywnej sztucznej inteligencji, dopóki „gra jest dobra" – choć doszło już do kilku bardzo poważnych incydentów, na przykład użycia głosów kilku aktorek bez ich zgody przez firmy Aspyr i Konami. Na zastąpienie przez AI narażeni są szczególnie tłumacze – ich wcześniej bardzo odpowiedzialne stanowisko teraz pozornie łatwo zastąpić. Przekonał się o tym tłumacz przedstawiający się jako Max H., który od 2022 roku pracował w Warhorse Studios (wydawca gry *Kingdom Come*), a po zwolnieniu napisał w serwisie Reddit, że jego obowiązki przejęła generatywna sztuczna inteligencja. Z kolei koreańskie przedsiębiorstwo Krafton (wydawca na przykład gry *PUBG: Battlegrounds*) deklaruje się teraz jako „AI first" i wdraża program dobrowolnych odejść pracowników.

Rzeczywista skala użycia AI jest trudna do oszacowania. Oczywiście nie chodzi tylko o gry. Wątpliwej jakości generatywne rozwiązania są wdrażane również w innych branżach. Pokazuje to przykład niedawnego incydentu z prestiżową firmą audytową Deloitte, która w raporcie dla rządu Australii kosztującym kilkaset tysięcy dolarów zamieściła nieistniejące orzeczenia sądowe i inne artefakty powstałe w wyniku użycia generatywnej AI. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że raporty podobnych firm mogą wpływać na gospodarki całych państw i życie milionów ludzi.

—

W ARTYKULE, KTÓRY ukazał się w „New York Timesie" 23 października 2024 roku, wypowiada się Suchir Balaji, były pracownik firmy OpenAI. Pracował tam cztery lata; odszedł w sierpniu 2024 roku, ponieważ – jak powiedział: „jeśli wierzysz w to, co ja, po prostu musisz odejść z tej firmy". Zaledwie miesiąc po publikacji tego artykułu został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Zapoczątkowało to różne spekulacje, ponieważ rodzina Balajiego wątpi, że mógł popełnić samobójstwo.

W co takiego wierzył, że „po prostu musiał odejść"? Działalność OpenAI miała według niego na początku charakter badawczy, co uzasadniało przetwarzanie przez nią gigantycznej ilości danych, również tych chronionych prawem autorskim. Zmieniło się to po udostępnieniu wyników badań jako produktu. ChatGPT i podobne narzędzia, jak stwierdził Balaji, „unicestwiają rentowność osób, firm i usług internetowych, które stworzyły dane używane do trenowania tych systemów". Argumenty wyłożył na stronie Suchir.net w krótkim artykule *When does generative AI qualify for fair use?* (*Kiedy generatywna AI podpada pod dozwolony użytek?*).

W tekście odniósł działanie ChatGPT do amerykańskiego prawa o dozwolonym użytku. Stwierdza ono, że powielanie danych, które są objęte prawem autorskim, na potrzeby krytyki, komentarza, nauczania, działalności naukowej i badawczej nie jest naruszeniem, ale w każdej sprawie należy wziąć pod uwagę cztery czynniki: 1) cel i charakter korzystania, w tym czy takie użytkowanie ma charakter komercyjny, czy też służy celom edukacyjnym o charakterze niezarobkowym; 2) charakter utworu chronionego prawem autorskim; 3) ilość i istotność wykorzystanej części w stosunku do całości dzieła chronionego prawem autorskim; 4) wpływ wykorzystania na potencjalny rynek lub wartość dzieła chronionego prawem autorskim. Balaji dowodził, że ChatGPT w świetle wszystkich tych punktów wydaje się nielegalny i odnosi się to do wielu produktów generatywnej sztucznej inteligencji w wielu dziedzinach.

Omawiając punkt czwarty, czyli wpływ na rynek lub wartość dzieła, Balaji powoływał się na prostą obserwację. Przytoczył badanie, z którego wynika, że od kiedy istnieje ChatGPT, forum programistyczne Stack Overflow zanotowało znaczny spadek ruchu (o około 12 procent). ChatGPT udziela też odpowiedzi na pytania programistyczne, w dodatku robi to znacznie szybciej, niż ktokolwiek na forum. Wniosek: istnienie ChatGPT już teraz wpływa negatywnie na witrynę Stack Overflow, więc tym bardziej może tak wpłynąć na wartość danych objętych prawem autorskim, które były częścią danych treningowych tego modelu. Balaji nie stwierdził, czy model ChatGPT był szkolony na Stack Overlow – chodziło mu tylko o pokazanie pewnej ogólnej zależności, która może zachodzić i ewidentnie zachodzi. Jeśli pojawia się nowe i skuteczniejsze narzędzie, wypiera ono stare narzędzie, nawet jeśli to stare umożliwiło mu powstanie. W połowie 2025 roku Stack Overflow na jednym z blogów branżowych określono jako „prawie martwe".

Prawdziwa siła tekstu Balajiego leży w analizie punktu trzeciego, który dotyczy ilości i istotności wykorzystanej części w stosunku do całości dzieła chronionego prawem autorskim. Tego rodzaju wywód mógł przeprowadzić tylko ktoś rzeczywiście „techniczny", w dodatku będący w środku całego zamieszania.

[W odniesieniu do ChatGPT] możemy zinterpretować ten punkt na dwa sposoby:

1) Dane wejściowe modelu [treningowe] są kompletnymi kopiami danych objętych prawem autorskim, zatem «ilość użytych danych» to całość danych objętych prawem autorskim. Byłby to argument przeciwko «dozwolonemu użytkowi».

2) Dane wyjściowe modelu prawie nigdy nie są identycznymi kopiami danych objętych prawem autorskim, więc «ilość użytych danych» wynosi zero. Byłby to argument za «dozwolonym użytkiem».

Ta druga interpretacja nie jest jednak właściwa, ponieważ celem prawa autorskiego nie jest ochrona dokładnie tej pracy, którą stworzył autor (byłoby to wtedy bardzo łatwe do ominięcia poprzez niewielkie zmiany w dziele).

Firma Deloitte w raporcie dla rządu Australii zamieściła nieistniejące orzeczenia sądowe powstałe w wyniku użycia AI.

eprasa.pl d281880d2c

Prawo autorskie chroni tak naprawdę zestaw twórczych wyborów podjętych przez autora [...] Autor powieści nie tworzy nowych słów, a ochronę prawem autorskim uzyskuje dla wyborów, które podjął podczas zestawiania razem słów istniejących. Każde kolejne słowo w powieści to skutek świadomego wyboru – to znaczy wyboru jednego rezultatu z wielu możliwych – i suma tych wyborów jest chroniona prawem autorskim. Możemy badać te wybory ilościowo za pomocą teorii informacji. (przeł. Ł.K.)

To „badanie" brzmi złowieszczo i ma złowieszcze konsekwencje. Balaji wyjaśnił ogólną zasadę uczenia się generatywnej sztucznej inteligencji i późniejsze metody tak zwanego redukowania entropii. Mniejsza entropia oznacza większy stopień zapamiętania przez model danych wejściowych – firmom zależy, by dane wyjściowe były ostatecznie maksymalnie podobne do danych wejściowych, oczywiście przy zachowaniu pewnego (niskiego) stopnia różnic, bez których model nie byłby już generatywny, tylko zachowywałby się jak zwykła baza danych. Istnieje wiele metod redukowania entropii, na czele z używaniem sprzężenia zwrotnego od człowieka, czyli zatrudnianiem ludzi, by ewaluowali odpowiedzi modelu – sprawiając tym samym, by zapamiętał te pożądane.

Ten osobliwy fenomen zapamiętywania danych, na których uczy się model rzekomo „generatywny", można najlepiej zaobserwować na danych wizualnych, prosząc ChatGPT o wygenerowanie obrazka przedstawiającego „hydraulika jako bohatera gry komputerowej" albo analogicznego „jeża". Bardzo możliwe (a właściwie prawie pewne), że bez dalszego uszczegółowienia wynik tych zapytań okaże się niezwykle podobny do znanych w popkulturze postaci Maria i Sonica. Wygenerowane postaci będą pewnie nawet mieć pewne znaki szczególne niezawarte w zapytaniu, na przykład czerwoną czapeczkę z literą „M" (Mario) czy niebieskie futro i czerwono-białe buty (Sonic). Na podobnej zasadzie prompt: „Wygeneruj obrazek kosmity z filmu typu horror sci-fi" zwraca często po prostu ksenomorfa z cyklu *Obcy* i tak dalej. Zachęcam do samodzielnych eksperymentów. Nawet jeśli wygenerowane dane często nie są wprost plagiatami, nie biorą się znikąd i zawierają głębokie struktury, które mogą być na przykład rasistowskie czy w inny sposób dyskryminujące – lub po prostu wyglądają jak typowe wytwory AI, schematyczne pod względem językowym czy graficznym.

W toku są różne sprawy sądowe dotyczące gromadzenia, przetwarzania i „generowania" danych przez firmy związane z AI – między innymi sprawa „New York Timesa" przeciwko OpenAI, w której wspomniano Balajiego. W historii tego człowieka, bez względu na jego przedwczesną śmierć, jak w soczewce widać naszą kondycję – oddajemy pole technokapitałowi, przegrywamy walkę z jego „strategicznie rozmieszczonymi" instancjami.

Kiedyś, gdy jakieś zjawisko stawało się popularne, to znaczyło, że interesowali się nim ludzie. Dziś ruch może być sztucznie generowany przez boty.

Postać Balajiego może być dla nas istotna także dlatego, że w firmie OpenAI na wysokich stanowiskach jest kilku Polaków, którzy nie mają takich sygnalistycznych skłonności i powtarzają w wywiadach jedną, typowo korporacyjną agendę, wychwalając swojego przełożonego. Wojciech Zaremba [o którym pisała Milena Zatylna, „Pismo" nr 6/2019 – przyp. red.] czy Aleksander Mądry są lojalni wobec Sama Altmana, szefa tej firmy i wyjątkowo podejrzanej postaci. Mądry odszedł z OpenAI w 2023 roku, kiedy zwolniono stamtąd Altmana, a później wrócił tam razem z nim. Bierze się to być może, oprócz czynnika majątkowego, z charakteru firm tego rodzaju – jak zauważa Karen Hao w książce *Imperium sztucznej inteligencji*, przypominają one kolonialne imperia, a imperium musi mieć cesarza.

—

NA CZYM POLEGA KRZYWDA, którą wyrządza nam ta technologia? Skupię się na modelach językowych jako najbardziej spektakularnym i destrukcyjnym przykładzie. Niemal wszystkie kultury mają pewną podstawową intuicję, która wyraża się między innymi w istnieniu poezji, literatury, prawa czy filozofii, a także świętych ksiąg, zaklęć czy mantr. Intuicję tę opisywano na różne sposoby na gruncie nauk społecznych, humanistycznych czy religii. Sformułowana w wersji minimum brzmiałaby może tak: Język jest czymś bardzo ważnym, fundamentalnym – zarówno w jakimś stopniu odbija rzeczywistość, jak i ją tworzy, przy czym chodzi o rzeczywistość zewnętrzną (świat materialny), wewnętrzną (psychiczną, duchową czy intelektualną, to jest myśli) i społeczną (poprzez komunikację).

Język umożliwia nam wymianę myśli. Każde słowo, którego dana osoba używa, a nawet stosowana interpunkcja, wskazuje na pewne głębokie struktury społeczne, polityczne czy geograficzne, w których ta osoba ukształtowała swój sposób mówienia i pisania. W języku przejawia się rzeczywistość i jest on najlepszym sposobem dotarcia do wielu jej elementów, w szczególności do umysłów innych osób – na przykład poprzez rozmowę czy literaturę. Te obserwacje są zupełnie banalne. Jednak do niedawna umiejętność używania języka była czymś swoiście ludzkim. Przez tysiąclecia, jeśli człowiek z kimś rozmawiał, to z drugą rozumną osobą. Nie powinno nas zatem zdziwić, że ekstremalna ingerencja w ten fundament rzeczywistości społecznej – taka jak stworzenie i rozpowszechnienie maszyn replikujących wypowiedzi, za którymi nie stoi żadna intencja i zrozumienie ani umysł innej osoby – ma różnego rodzaju drastyczne skutki.

W latach 2021–2022 brałem udział w zajęciach translatoryjnych prowadzonych przez doktora Marcina Rychtera na Uniwersytecie Warszawskim. Jednym z zadań domowych było wklejenie fragmentów do tłumacza

eprasa.pl d281880d2c

DeepL i wskazanie błędów w otrzymanym tłumaczeniu. Przekładaliśmy między innymi dość trudną książkę *What Animals Teach Us about Politics* (*Czego zwierzęta uczą nas o polityce*) Briana Massumiego. Wtedy podobne narzędzia generowały właściwie tylko bzdurne ciągi zdań, luźno powiązanych znaczeniowo z oryginałem. Sensem tego ćwiczenia było jednak coś innego niż wyśmianie koncepcji automatycznego tłumaczenia.

Podczas pracy nad nim odsłania się istota tłumaczenia organicznego. Na przykład termin *sexual selection* tłumacz przekłada na język polski jako „dobór płciowy", ponieważ wie, że to wyrażenie przyjęto jako wzorcowe, ma literaturę przedmiotu i tak dalej. Najpierw dokonuje interpretacji, analizuje, myśli i dopiero przekłada. Żeby przełożyć, musi zrozumieć, co czyta. Ponadto tłumacz istnieje w jakiejś konkretnej rzeczywistości społecznej, politycznej, przekłada tekst z jakąś intencją i dla jakiegoś odbiorcy (na przykład dla akademika czy dla szerszego grona; stąd tak wiele przekładów klasycznych dzieł i ciągle powstają nowe). Maszyna to samo wyrażenie przekłada czasami jako „dobór seksualny" albo „selekcja płciowa", ponieważ nie zawsze rozumie kontekst, z którym ma do czynienia, nie została odpowiednio wytrenowana na polskich tekstach.

Razem z istotą tłumaczenia ludzkiego i maszynowego odsłania się także zagrożenie podwójnej natury. Po pierwsze, możliwa jest masowa produkcja tłumaczeń, które wyglądają w porządku dla laika, a swój bezsens zdradzają, dopiero gdy spojrzy na nie ekspert. Po drugie, możliwa jest produkcja zdań, które nigdy nie miały mentalnej reprezentacji, nie są odbiciem myśli. Należy zatem całkowicie zrezygnować z używania automatycznych tłumaczeń, ponieważ sam paradygmat narzucany przez taki proceder jest z założenia nieludzki i nie doprowadzi w dłuższej perspektywie do dobrych rezultatów – a im dłuższy tekst, tym rezultaty te będą bardziej katastrofalne. Taka była moja interpretacja tego zadania. Identyczne w swojej wymowie wydaje się *Oświadczenie CEATL w sprawie wykorzystania sztucznej inteligencji* Europejskiej Rady Stowarzyszeń Tłumaczy Literatury (Conseil Européen des Associations de Traducteurs Littéraires, CEATL) z listopada 2023 roku. Podkreślono w nim między innymi, że projekty wydawnicze wykorzystujące generatywną sztuczną inteligencję nie powinny być finansowane ze środków publicznych, maszyna nie jest tłumaczem, każdy gatunek i język zasługują na przekład przez człowieka, przekład literacki nie jest transkrypcją, a twórczość czyni nas ludźmi.

Tłumaczenie to dziedzina, w której właściwości języka są widoczne najlepiej. Niestety sytuacja od kilku lat jest rozwojowa i „postęp" ten obejmuje już praktycznie całą kulturę. Na życzenie i bezkosztowo, bez konieczności myślenia i jakiejkolwiek pracy, można uzyskać tekst czy obraz o dowolnej treści, a od niedawna (za sprawą narzędzi takich jak Google Veo 3 czy Sora 2) – także realistyczny film. Gigantyczne pieniądze pompowane w tę branżę zwiększają możliwości technologii, zmniejszając tym samym odsetek ludzi, którzy na pierwszy rzut oka zauważą różnicę między twórczością autentyczną a wygenerowaną. Istnieje też sprzężenie zwrotne – ludzie zaczynają rozmawiać ze sobą idiomem ChatGPT.

O ile wcześniej mieliśmy do czynienia z pozornie podobnymi zjawiskami, na przykład umasowieniem kultury, o tyle to nowe zjawisko ma bezprecedensową konsekwencję: unicestwienie połączenia między myśleniem a jego reprezentacją. Możliwa jest masowa produkcja różnego rodzaju treści, które nie zostały pomyślane (nawet w złej wierze), tylko zostały po prostu seryjnie wyplute w odpowiedzi na ogólnikowe życzenie zawarte w prompcie. Jeśli mamy do czynienia z jakiegoś rodzaju złą, na przykład faszystowską czy w inny sposób przemocową kulturą, ale nadal wytworzoną tradycyjnymi sposobami, to ona jest „czyjaś". Ktoś za nią ponosi odpowiedzialność, czego przykładem może być to, że jednym ze skazanych na śmierć w Norymberdze był Julius Streicher, redaktor naczelny tygodnika „Der Stürmer".

Obecnie na YouTubie można się natknąć na coraz więcej generowanych automatycznie kanałów z treściami bez autora. Przykładem może być afera opisana w dziennikarskim śledztwie magazynu „Wired", które dotyczyło dziesiątek kanałów generujących drastyczne bajki udostępniane na tej platformie. Jak zauważyła autorka artykułu *Your Kid May Already Be Watching AI-Generated Videos on YouTube* (*Twoje dziecko zapewne już ogląda wideo wygenerowane przez AI na YouTubie*), Kate Knibbs, „nadejście generatywnej sztucznej inteligencji oznacza, że odrażające, brainrotowe filmy mogą być generowane szybko i bez względu na umiejętności". Z racji tego, że narzędzia do tworzenia tego tak zwanego contentu są ulepszane, możliwość jego natychmiastowego rozpoznania spada.

Internet wydaje się teraz przesiąknięty zarówno takimi treściami, jak i botami, które je chwalą. Stąd popularność tak zwanej teorii martwego internetu (przypuszczenia, że internet od około 2016 roku tworzą już w większości głównie boty), która jeszcze w 2021 roku była nazywana „szaloną teorią spiskową", a obecnie pisze się o niej artykuły naukowe. Kiedyś, gdy na przykład na X (dawniej Twitterze) jakieś zjawisko zyskiwało popularność, znaczyło to, że są nim zainteresowani ludzie. Teraz równie dobrze może to być sztuczny ruch wygenerowany przez tysiące rosyjskich botów. Wszystkie te fenomeny – i coraz więcej fenomenów w ogóle, szczególnie internetowych, ale nie tylko – wytworzyła

eprasa.pl d281880d2c

generatywna sztuczna inteligencja. I nie są one produktem ubocznym, tylko nieuchronną konsekwencją jej istnienia.

Gdy obcujemy z tą technologią i czytamy analizy jej wątpliwych dokonań, rzuca się w oczy wciąż jeden element – wspomniana przez Knibbs z „Wired" szybkość, z jaką boty generują treści. Coraz częściej doświadczamy rozdzielenia czasu na czas człowieka, który płynie wolno (czy po prostu normalnie), i na ekstremalnie przyspieszony czas maszyny. Szybkość ta ma kluczowe znaczenie w kapitalizmie i została rozpoznana przez wielu właścicieli środków produkcji. Ze zdziwieniem jednak obserwuję, że chcą ją eksploatować nie tylko czysto komercyjne środowiska i nie tylko farmy botów, ale także instytucje związane z tak zwaną sztuką wysoką, na przykład teatr. Reżyser Krzysztof Garbaczewski, który w najnowszych spektaklach korzysta z technologii generatywnej, w *Mint Podcaście o kulturze* Alka Hudzika opisuje, jak sam używa tych systemów:

> *Można to robić niemalże nawet na żywo na próbie, prawda? Że pada jakiś pomysł i chcemy go sobie sprawdzić na tekście, jak on może zadziałać w adaptacji, więc po prostu promptujemy to i 30 sekund później mamy monolog dla aktora, który go może powiedzieć, prawda? [...] Jeżeli wcześniej było trzeba poczekać nie wiem, dwa, trzy dni aż dany człowiek [śmiech] to napisze... To zresztą też jest ten człowiek, który pisał do tej pory, tylko on teraz to sobie to generuje, a później gdzieś w nocy to sobie poprawi i jakby może gdzieś wybrać z tego to, co mu się podoba, dopisać coś innego* [skróty pochodzą od redakcji – przyp. red.].

Powyżej opisana właściwość – właściwość, jak wprost zauważa Garbaczewski, kilka tysięcy razy wyższej wydajności systemów automatycznych od człowieka (stosunek dwóch dni pracy do 30 sekund; abstrahuję od pytania, czy ta wydajność jest pozorna, czy nie) – może mieć różnego rodzaju konsekwencje, z których trudno wskazać te dobre dla ludzkości, szczególnie dla osób piszących. Jeśli nawet w tym ekskluzywnym środowisku nie chce się czekać dwóch, trzech dni, aż „dany człowiek" coś napisze, to tym bardziej nikt nie będzie czekał na rynku komercyjnym. A zatem technologia generatywna może stać się domyślną technologią pisania.

W zderzeniu z tego rodzaju praktykami aż się prosi o ich krytykę z punktu widzenia marksowskiej koncepcji alienacji pracy, jednak to temat na oddzielny tekst. Wystarczy krótko podsumować, że zawód pisarza, scenarzysty czy dramaturga zostaje w podobnej sytuacji sprowadzony do zawodu redaktora albo korektora bełkotu wygenerowanego przez maszynę. To zagrożenie zostało dostrzeżone na samym początku istnienia ChatGPT, kiedy Amerykańska Gildia Pisarzy zawarła w swoich wytycznych następujący zapis: „Pisarz może używać AI, o ile zgadza się na to firma i pisarz postępuje zgodnie z jej wytycznymi. Firma nie może jednak wymagać od pisarza używania AI (takiej jak ChatGPT)".

Jeśli politycy korzystają z ChatGPT w oficjalnych postach, to nie powinny nas dziwić chatboty jako terapeuci, przyjaciele czy partnerzy romantyczni.

Spektakularny przykład tego drastycznego rozdzielenia czasu człowieka i czasu maszyny nie pochodzi już z nisz takich jak pisanie do gier czy dla teatru, ale ze szczególnego obszaru komunikacji – polityki. W czerwcu 2025 roku na koncie posłanki Magdaleny Filipek-Sobczak w portalu X niechcąco znalazł się cały prompt posta zamiast samego posta. Posłanka tłumaczyła się w następujący sposób: „Praca posła to nie tylko media społecznościowe, to przede wszystkim praca w Sejmie i działanie z ludźmi. Treści robocze postów opracowuje mój zespół. Błędy ludzkie, no cóż, w pośpiechu mają prawo się zdarzyć". To tłumaczenie analogiczne do słów firmy 11Bit broniącej swojej decyzji o wygenerowanych tłumaczeniach argumentem: „z braku czasu".

Rozważmy treść wspomnianego prompta: „Przeanalizuj poniższy link. Jesteś posłem opozycji PiS, zrób krótki mocny post". Oto konkretna posłanka stawia się w roli uśrednionego posła opozycji z Prawa i Sprawiedliwości, a nie osoby znanej z imienia i nazwiska. W akcie tworzenia tego posta model korzysta z pewnego typu wyobrażenia kolektywnego, wypływającego ze statystyki, jak taki poseł opozycji z PiS-u by się wypowiedział. Z kolei słowa polityczki wybranej przez konkretnych wyborców do Sejmu zostają zredukowane do „krótkiego mocnego posta". „Krótki mocny post" nie jest w tym przypadku opisem formy, w jakiej przejawia się stanowisko polityczne, ale wyłącznie uśrednionym formatem, za którym nie stoi organiczny proces formułowania opinii – bo został on zautomatyzowany. Trudno powiedzieć, czy tak wygenerowana treść powinna być w takim razie podpisywana czyimś imieniem i nazwiskiem. Jest to jednak sporo tańsze (bo darmowe) od zatrudniania prawdziwych ghostwriterów. Poza tym oszczędza czas w porównaniu z tradycyjnym wyrażaniem swoich myśli, czyli po prostu zapisywaniem ich słowo po słowie.

Oczywiście podobne działania prowadzą tylko do utrwalania i reprodukcji uśrednionych stanowisk według wyobrażenia, które sztuczna inteligencja ma na dany temat. Załóżmy inny przypadek – w którym poseł PiS-u zgadza się z kimś z Koalicji Obywatelskiej (KO). Jak się okazuje, bot nadal zaproponuje wtedy post krytyczny, ponieważ taka jest ogólna tendencja w interakcjach PiS-u z KO. Aby wygenerował post o innej wymowie, musiałby zostać odpowiednio nakierowany, „spromptowany" do takiego zachowania. Ale to wymagałoby jakiejś uprzedniej analizy „na piechotę", co już nie wpisuje się w logikę automatyzacji.

Można przypuszczać, że jeśli ktoś używa podobnych rozwiązań do pisania kilkuzdaniowych postów,

eprasa.pl d281880d2c

tym bardziej będzie skłonny użyć AI do analizy nudnych dokumentów. Zresztą nie trzeba tu nawet snuć domysłów i spekulacji. Amerykański generał William D. „Hank" Taylor, stacjonujący w latach 2024–2025 w Korei Południowej, przyznał, że „on i Chat stali się sobie ostatnio bliscy", ponieważ „chce dzięki temu podejmować lepsze decyzje". Brzmi to dość niepokojąco, jeśli wsparcie decyzyjne znajdujemy w regularnie konfabulującym programie. Oczywiście ze względu na samą naturę tej technologii trudno określić, jakiego rodzaju dokładnie są to decyzje – dopóki ktoś nie przyzna się do konkretnego sposobu użycia albo dopóki sprawa nie wymknie się spod kontroli w mniej lub bardziej widowiskowy sposób.

Skoro więc polityka, dość wyrafinowana aktywność człowieka, zostaje oddelegowana maszynom, znacznie mniej powinny nas dziwić inne konsekwencje istnienia tej technologii – takie jak religie tworzone wokół chatbotów czy chatboty jako partnerzy romantyczni, najlepsi przyjaciele i terapeuci.

—

MARTIN HEIDEGGER w roku 1954 pytał o technikę i warto zaryzykować tezę, że z upływem lat jego przesłanie staje się coraz bardziej zrozumiałe. Rozważmy przykład:

> *Nurt Renu przegrodzono zaporą hydroelektrowni. Nastawia ona ten nurt na ciśnienie wody, które nastawia turbiny na obracanie się, ich obrót zaś uruchamia maszynę, której ruch wytwarza prąd elektryczny; do tego prądu dostawione są rozdzielnia okręgowa i jej sieć energetyczna. W obszarze tych zazębiających się konsekwencji dostawienia energii elektrycznej także nurt Renu jawi się jako coś dostawionego. Hydroelektrownia nie jest wbudowana w nurt Renu tak jak drewniany most, który od stuleci łączy brzegi. To raczej nurt Renu jest wbudowany w elektrownię. Jest on tym, czym jest teraz jako nurt, mianowicie dostarczycielem ciśnienia wody na gruncie istoty elektrowni. Aby choć tylko z daleka zmierzyć panującą tutaj niesamowitość, zwróćmy przez chwilę uwagę na przeciwieństwo, jakie dochodzi do głosu w dwóch określeniach: „Ren" wbudowany w dzieło-elektrownię i „Ren" rozbrzmiewający z dzieła sztuki, hymnu Hölderlina pod tym samym tytułem.*

Oto potężna rzeka Ren, o której pisał poeta Friedrich Hölderlin, że została „z łona świętego zrodzona", stała się „dostarczycielem ciśnienia wody". Obiekt czci romantyków został potraktowany instrumentalnie na potrzeby elektrowni. Heidegger widział w tym „niesamowitość", i to tak doniosłą, że mierzył ją z daleka. Ren stracił wtedy swój mistyczny status – ale czy możemy się tym jeszcze przejąć? To, na co niedawno Heidegger patrzył, przyszło już po nas.

KRUPA ART FOUNDATION

sandwich

in the center –
polsko-rumuńska wystawa o wsi jako konstelacji relacji, praktyk i doświadczeń

WSZYSTKIE DIAMENTY / TOATE DIAMANTELE
16.05 – 05.07

RYNEK 27/28 WROCŁAW PL

PARTNERZY WYSTAWY:

RUMUŃSKI INSTYTUT KULTURY

PROGRAM CO-FINANȚAT DE:
Administrația Fondului Cultural Național

@KRUPA_ART_FOUNDATION
KRUPAARTFOUNDATION.PL

eprasa.pl d281880d2c

W styczniu 2023 roku Sarah Andersen, Kelly McKernan i Karla Ortiz, artystki wizualne, oskarżyły firmy Stability AI i Midjourney oraz portal DeviantArt o to, że te trzy podmioty naruszyły prawa autorskie milionów artystów, używając pięciu miliardów obrazów z internetu do uczenia AI. Liczby robią wrażenie. Sędzia oddalił pozew w tym samym roku z powodów formalnych i dodał, że nie jest przekonany, iż do wygenerowanych obrazów stosuje się przesłanka naruszenia praw autorskich z powodu znacznego podobieństwa. Rok później jednak sprawa Andersen *versus* Stability AI nabrała rozpędu, bo sąd zdecydował, że zmodyfikowany pozew jest zasadny – dalsze procedury zaplanowane są na wrzesień roku 2026. Jeszcze ciekawsza sprawa tego rodzaju wiąże się z firmą Anthropic, właścicielem modelu Claude. Tu sędzia uznał, że sztuczna inteligencja nie łamie prawa, ucząc się na materiałach objętych prawem autorskim, ale zasądził odszkodowania za pobranie ich z nielegalnych źródeł.

Pobrzmiewa tu absurd. Nowa technologia, szczególnie tak potężna i zastosowana na masową skalę, w oczywisty sposób musi wymknąć się dotychczasowemu prawu. Nikt bowiem, kto projektował prawo autorskie kilkadziesiąt lat temu, nie mógł sobie nawet wyobrażać czegoś takiego jak modele językowe czy dyfuzyjne – podobnie jak sformułowanie „waluty wirtualne" pojawiło się w polskim prawie w odniesieniu do kryptowalut dopiero w 2018 roku, niemal dekadę po powstaniu bitcoina. Tempo uchwalania nowych ustaw jest z konieczności wolniejsze niż postęp technologii. Ponadto ci, którzy tworzą wiodącą obecnie technologię, nie bez sukcesów lobbują za jej deregulacją (choć na szczęście w amerykańskim senacie moratorium na regulacje AI wykreślono z aktu prawnego, tak zwanego One Big Beautiful Bill Act, stosunkiem głosów 99:1). Ludzkość – przede wszystkim jej kultura, sztuka i język – została jednak zredukowana do danych, które przetwarza maszyna, tak jak piękna rzeka Ren stała się tylko napędem elektrowni.

Oczywiście ten proceder rozpoczął się już dawno temu. „Kapitał jest pracą umarłą, która jak wampir ożywia się tylko wtedy, gdy wysysa żywą pracę, a tym więcej nabiera życia, im więcej jej wyssie". Sztuczna inteligencja w swojej obecnej postaci wydaje się szczególną formą kapitału – tempo nadają jej ludzie spod znaku ideologii pop-akceleracjonizmu [głoszącej potrzebę radykalnej transformacji społecznej wywołanej między innymi zmianami technologicznymi – przyp. red.]. Jej wytworzenie nie było możliwe bez kradzieży gigantycznej ilości danych. Ma zatem charakter wampiryczny, na czymś musiała żerować.

Elon Musk, blisko związany z władzą najbogatszy człowiek na Ziemi, wyraża opinię, że „ludzkość to biologiczny *bootloader* [program rozruchowy – przyp. red.] dla cyfrowej superinteligencji". Natomiast idol intelektualny J.D. Vance'a, krytyk demokracji i bloger Curtis Yarvin (znany też jako Mencius Moldbug) żartował sobie kiedyś z pomysłu przerobienia ludzi nieproduktywnych na „biodiesel" dla klasy bogaczy (to zresztą paradoksalnie jedna z mniej kontrowersyjnych rzeczy na jego blogu). Omówienie quasi-religijnych wierzeń takich postaci, jak Peter Thiel czy Marc Andreessen wymagałoby oddzielnego artykułu lub ich serii [pisała o nich Sylwia Czubkowska, „Pismo" nr 4/2026 – przyp. red.].

Prekariusze nie protestują jeszcze na masową skalę, przeczuwając tylko, że dzieje się coś złego, gdy z powodu automatyzacji ludzie tracą pracę lub skradziono im coś tak intymnego jak głos. Mottem współczesności wydaje się defetystyczne zdanie, że łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu, stąd podobnie niemożliwy do wyobrażenia jest bunt przeciwko robotom.

Heidegger pisze: *„Achten wir doch, um das Ungeheuere"*, czyli dosłownie: „Zwróćmy uwagę, co za potworność". Potworność, podobnie jak wampiryzm celowo budzą skojarzenia z literaturą romantyczną. To dobry punkt wyjścia do interpretacji technokratycznego chaosu o tak monstrualnej charakterystyce. Przynajmniej jeden romantyk wsparł kiedyś ludzkość w walce z maszynami – lord Byron, który pisał pieśni pochwalne na cześć luddystów i wstawiał się za nimi także politycznie.

Do niedawna słowo „luddysta" miało w języku angielskim pejoratywny wydźwięk, ale chyba właśnie się to zmienia. Brian Merchant w swojej książce *Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom* opisuje fenomen tego krótkiego zrywu rewolucyjnego z początku XIX wieku. Pokazuje luddystów

eprasa.pl d281880d2c

jako odważnych bojowników, którzy stanęli w obronie siebie, swoich rodzin, swojego bytu, ale także jakości produktów, przy których pracowali. Po prostu pierwsze maszyny tkackie produkowały marne tkaniny i część pracowników czuła, że zastąpienie ich tymi maszynami to barbarzyństwo, krok wstecz w rozwoju sztuki. Gdy ludzi wyrzucano z pracy, tym samym skazywano ich na głód, ale nie tylko – tracili też sens życia.

Weźmy przykład opisanego przez Merchanta George'a Mellora, dwudziestoparoletniego robotnika: „Jako nastolatek rozpoczął siedmioletnią naukę fachu postrzygacza. Tego typu praca wymagała posługiwania się ogromnymi nożycami, których waga sięgała nawet 27 kilogramów. [...] Praca była obciążająca fizycznie i wymagała znacznych umiejętności [...] pozostawiała fizyczne ślady: zgrubienia skóry dłoni, przygarbienie, charakterystyczną posturę. Cechami rozpoznawczymi postrzygacza były potężne przedramiona i przypominające kopyta nawarstwienia stwardniałej skóry na nadgarstkach" (przeł. Grzegorz Ciecieląg). Mellor na naukę i dojście do mistrzostwa w wymagającym zawodzie poświęcił całe swoje życie. Możemy sobie to łatwo wyobrazić: dziś też są profesje, w których trzeba szkolić się od najmłodszych lat, na przykład zawodowy sport czy gra na fortepianie. Mellor „zaczął czerpać dumę ze swojej pracy i stała się ona dla niego ważna; dała mu własną tożsamość, podobnie jak poczucie braterstwa z innymi postrzygaczami".

W miejsce robotników w fabrykach z maszynami zostały zatrudnione dzieci. Maszynę mógł obsługiwać każdy, a najtańsze były właśnie one. Ich zatrudnianie było zupełnie legalne, ponieważ nie istniały odpowiednie regulacje prawne – prawo chroniło tylko właścicieli maszyn. Widać zatem, że człowiek miał w tym starciu dobre powody do protestu. Historia luddystów ma jednak tragiczny finał. Jak pisze Merchant, „Mellor zakończył mordercze siedmioletnie szkolenie akurat w momencie, kiedy właściciele maszyn podjęli decyzję, że pozbawią go przyszłości". Maszyny zostały unicestwione, ale na odwet ich właścicieli nie trzeba było długo czekać. Mimo że za luddystami wstawiał się między innymi wspomniany wyżej Byron, skazano ich – w tym Mellora – na śmierć. „Życie" maszyny okazało się równe życiu ludzkiemu albo nawet cenniejsze.

Dzisiaj mamy interesujące paralele do tej sytuacji. Po pierwsze, zalewa nas AI *slop* [cyfrowa papka – przyp. red.], czyli niskiej jakości treść reprodukowana na niespotykaną wcześniej skalę. Po drugie, grozi nam fala zwolnień i redukcja stanowisk, również być może na nieznaną wcześniej skalę. Wreszcie: czołowi twórcy inteligentnych maszyn już budują prepperskie bunkry, antycypując konsekwencje swoich działań – wśród nich być może bunt nowych luddystów lub bunt robotów.

To tylko niewielki wycinek tego, co dzieje się w związku z technologiami opartymi na sztucznej inteligencji. Ze względu na ich szczególną naturę większość konsekwencji nadal pozostaje nieznana. Bardzo wyraźnie czujemy już jednak ich niesamowitą moc (która nie ma nic wspólnego z jakością ich tworów, nadal żałośnie niską) – wydaje się, jakby ludzkość była ofiarą jakiegoś blitzkriegu. Jeśli atak generatywnej technologii pozostanie nieodparty, człowiek prawdopodobnie w jakimś sensie skapituluje i będzie musiał na każdym kroku udowadniać, że jego wytwory są autentyczne.

Już teraz artyści wizualni nagrywają swój proces tworzenia między innymi po to, by nie zostać posądzeni o wykorzystywanie narzędzi generatywnej AI. Modele o dużym oknie kontekstu [czyli zdolne do przetwarzania za jednym razem dużych ilości danych – przyp. red.], takie jak Gemini Pro, są w stanie wygenerować długi powieściopodobny dokument. Być może więc niepublikowani wcześniej autorzy będą zobligowani do pisania tekstów w aplikacjach typu Google Docs (które zachowują historię każdej wpisanej litery), by udowodnić autentyczność w zalewie wygenerowanych propozycji wydawniczych. Jest to jakieś rozwiązanie, ale rozwiązanie o charakterze poddańczym.

Zresztą Sam Altman przewidział tego rodzaju problemy nawet w jeszcze większej skali i stworzył już urządzenie skanujące oko w celu wykrycia, czy ktoś jest człowiekiem. Wcześniej jednak praca ludzka – szczególnie ta kreatywna czy intelektualna – dzięki wątpliwej jakości automatyzacji stanie się tak łatwa do zastąpienia przez technologię, że ludzie będą ją tracić. A jeśli jakimś cudem swoją pracę zachowają, ich status zostanie zredukowany do superwizora systemów AI.

Oto najlepsza przyszłość, która nas czeka: zanim któraś z wielkich firm odkryje lekarstwo na raka, w pierwszej kolejności wszystkie wspólnymi siłami podejmą próbę zastąpienia całej organicznej kultury protezą wygenerowaną przez ich narzędzia. Dotyczy to nie tylko aktywności artystycznych, ale również takich jak zwykłe stosunki międzyludzkie. W planach są na przykład dedykowani przyjaciele AI, ponieważ według Marka Zuckerberga jest na nich „zapotrzebowanie". Z kolei Altman, gdy w reakcji na przypadki tak zwanej psychozy AI ogłosił na portalu X, że jego chatbot został przeprojektowany z ostrożnością w kwestiach zdrowia psychicznego, zastrzegł zarazem, że ChatGPT powinien umożliwiać dorosłym ludziom interakcje o charakterze erotycznym. Na razie (w kwietniu 2026 roku) ChatGPT nie ma jeszcze zapowiadanego *adult mode* – być może w konsekwencji negatywnych reakcji, które wzbudził post Altmana.

Heidegger pod koniec swojego tekstu znów cytuje Hölderlina: „tam, gdzie niebezpieczeństwo, rośnie też ratunek". W czym znajdziemy ten ratunek? Na pewno nie

Zanim któraś z wielkich firm wymyśli lekarstwo na raka, to najpierw podejmą próbę zastąpienia kultury organicznej protezą generowaną przez ich narzędzia.

eprasa.pl d281880d2c

w robotach, nie w AI *slopie*, nie w naszych technofeudalnych panach – ale przecież wielokrotnie już poradziliśmy sobie z różnymi zagrożeniami. Zniesiono niewolnictwo, nie istnieją już ludzkie zoo i, o dziwo, na głowy nie spadają nam bomby atomowe. Historia nie podlega prawom jakiegoś straszliwego determinizmu, który zachowywałby same najgorsze rzeczy. Z innej strony – Trzecia Rzesza wykorzystała swoją niezwykle rozwiniętą technikę do jednej z największych zbrodni w historii. Coś podobnego może stać się na jeszcze większą skalę.

Należy myśleć pesymistycznie o świecie, ale optymistycznie o swojej sprawczości, nawet jeśli rzeczywistość dowolnie się zmienia i jednocześnie odbywa się jawne ogłupianie ludzi. Co zatem robić? Sytuacja ma dwa podstawowe aspekty. Pierwszym jest ochrona twórców i odbiorców kultury przed kradzieżą i przetwarzaniem jej wytworów przez różnego typu maszyny, a także przed zmuszaniem ludzi, by w swojej pracy używali generatywnych narzędzi – które według wielu organizacji broniących praw twórców stanowią wprost naruszenie godności w tych zawodach. Zgadzam się tu ze stanowiskami związków zawodowych i działaniami takich stowarzyszeń, jak przytaczane już Amerykańska Gildia Pisarzy czy Europejska Rada Stowarzyszeń Tłumaczy Literatury. Trzeba jednak zauważyć, że w miarę ekspansji tej technologii w niektórych branżach obserwujemy złagodzenie przekazu – w oczywisty sposób lobbowane przez wielkie korporacje. We wrześniu 2025 roku na stronie Stowarzyszenia Filmowców Polskich ukazał się artykuł o wymownym tytule *AI jak maszyna parowa. Opór jest bezcelowy*, podsumowujący spotkanie kilku entuzjastów tej technologii. W artykule jako wybitny przykład producenta filmowego wymieniono technofeudalnego giganta Amazon, a jako wybitne przykłady postępowych reżyserów – Darrena Aronofsky'ego, który związał się z Google, i Jamesa Camerona związanego ze Stability AI. Relacja kończy się następująco:

> *Twórcy europejskich regulacji przyznają, że nie są w stanie nadążyć za tempem zmian. Koncerny i tak radzą sobie z regulacjami, tworząc własne narzędzia trenowane na własnych danych. Ograniczenie rozwoju technologii może mieć katastrofalne skutki. Z historii znany jest przykład jednego z krajów, w którym zakaz używania maszyny drukarskiej opóźnił jego rozwój o 200 lat. Aktorzy kina niemego, którzy nie dostosowali się do kina dźwiękowego musieli zakończyć kariery. […] Jak podsumowuje jeden z uczestników: Róbmy sztukę i nieważne w jaki sposób.*

Ostatnie zdanie domaga się złośliwego przypomnienia, że podejście pod tytułem „nieważne w jaki sposób" ma długą historię w branży filmowej – podobnie rozumowała węgierska reżyserka Judit Elek, na której polecenie łatwopalną substancją spryskano 14 owiec i następnie je podpalono, by zginęły w męczarniach. Na szczęście nie wszyscy myślą w ten sposób. David Simon – scenarzysta *Prawa ulicy*, jednego z najlepszych seriali w historii telewizji – udzielił w 2023 roku ciekawego wywiadu. Podczas niego prowadzący podsunął mu pomysł, że gdyby utknął między pisaniem jednej sceny a drugiej, mógłby poprosić AI o 10 pomysłów na dalszy rozwój akcji. Na tę propozycję Simon odpowiedział: „Wolałbym wsadzić sobie pistolet do ust".

Jeśli powstanie kiedyś system przewyższający nas sprytem i obdarzony sprawczością, to nie da się przewidzieć, jak się zachowa.

Jest zatem nadzieja, że artyści nadal będą tworzyć kulturę, a nie generować ją za pomocą wątpliwych moralnie narzędzi, które powstały w wyniku największej kradzieży własności intelektualnej w historii świata. Artyści, a nie generatorzy *slopu*, pewnie sobie poradzą, ale czy poradzi sobie ludzkość? Najgorsza przyszłość – o której nieśmiało wspomina na przykład noblista Geoffrey Hinton, jeden z pionierów AI – zawiera wszystko, co wynika z „problemu uzgodnienia" interesów i sposobu działania sztucznej inteligencji ze światem ludzkim. Wszyscy chcą, żeby była ona bezpieczna i moralna, tylko że każde państwo, a nawet każda firma inaczej rozumie te pojęcia.

Wyścig przyspiesza, a nowo budowane centra danych mają być wielkości Manhattanu i pobierać nawet do pięciu gigawatów mocy (tyle samo ma największa w Europie węglowa Elektrownia Bełchatów). Można użyć spójnej argumentacji, że budowanie autonomicznych systemów sztucznej inteligencji, w szczególności dużych modeli ogólnego przeznaczenia, stoi w sprzeczności z życiem biologicznym na Ziemi – nie tylko ze względu na środowisko naturalne, które jest pożerane przez takie systemy, ale też ze względu na samą naturę AI. Jeśli kiedykolwiek powstanie system przewyższający ludzkość sprytem, a jednocześnie będzie miał on sprawczość, nie da się przewidzieć, jak się zachowa. Podobnie jak małpa nie rozumie, dlaczego człowiek chodzi do pracy i produkuje pociski balistyczne. Pora to zatrzymać – organizacje takie jak PauseAI od lat nawołują do podpisania stosownych międzynarodowych traktatów.

Na koniec warto wspomnieć, że największym udziałowcem i partnerem strategicznym OpenAI, który to wszystko rozpoczął, jest Microsoft. Firma oskarżona w maju 2025 roku o to, że jej oprogramowanie chmurowe i AI – które oficjalnie udostępnia Izraelowi – są wykorzystywane do masowej inwigilacji ludności cywilnej Palestyny w celu sprawniejszego dokonywania na tym terenie ludobójstwa (jak działania Izraela nazywa Amnesty International). Początkowo Microsoft zaprzeczył, że taki proceder ma miejsce, jednak w wyniku śledztwa „Guardiana" w sierpniu 2025 roku firma rozpoczęła wewnętrzne dochodzenie i we wrześniu wyłączyła Izraelowi część usług.

Opór nie jest zatem bezcelowy.

eprasa.pl d281880d2c

APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka AUSTRY, kanadyjskiej wokalistki, autorki tekstów i kompozytorki?

Promień światła

AUSTRA, właściwie KATIE STELMANIS, kanadyjska wokalistka pochodzenia łotewskiego, producentka muzyczna i autorka tekstów piosenek. Skomponowała muzykę do takich filmów, jak *Łabędzi śpiew* (2023) oraz *Maya & Samar* (2025). Jako Austra wydała pięć albumów studyjnych, z których ostatni, *Chin Up Buttercup*, ukazał się w 2025 roku. 13 marca 2026 roku zagrała koncert w warszawskim klubie Hydrozagadka.

Po apteczkę sięgam nie tylko w poszukiwaniu inspiracji, ale też gdy mam złamane serce. Tak się czułam, pracując nad moim najnowszym albumem *Chin Up Buttercup*. To moja muzyczna odpowiedź na stratę. Śpiewam na nim o emocjach, które towarzyszą przeżywaniu żałoby. W utworach wybrzmiewają: wyparcie, gniew, próby negocjowania, smutek i w końcu długo wyczekiwane pogodzenie się z losem. Podobnie jak w życiu tych pięć etapów żałoby nie pojawia się na płycie w ustalonej kolejności – mieszają się ze sobą, tworząc emocjonalny chaos. Wierzę jednak, że słuchanie tych piosenek może pomóc uporać się ze stratą, stać się motywacją do tego, by ruszyć dalej. Tym właśnie był dla mnie proces ich tworzenia – apteczką w działaniu.

A zaczęło się od rozstania. Długo nie mogłam się pozbierać, gdy na początku 2020 roku moja partnerka z dnia na dzień oznajmiła mi, że nie jest już ze mną szczęśliwa. Nie dość, że zostałam porzucona, to jeszcze chwilę później wybuchła pandemia. *Lockdown* w Toronto był wyjątkowo dotkliwy. Gdy w innych miejscach znoszono obostrzenia, my przez wiele miesięcy nie mogliśmy wychodzić z domów. Czułam się wtedy całkowicie sparaliżowana. Ratunkiem w tym twórczym impasie okazało się pisanie.

Przez lata nie potrafiłam zmobilizować się do prowadzenia dziennika. Za to w pierwszym roku pandemii, gdy przestałam się już łudzić co do mojej nieudanej relacji, każdego dnia konsekwentnie notowałam wszystkie natrętne myśli, które zaprzątały mi wtedy głowę. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że motywowała mnie też frustracja, którą czułam w stosunku do mojej eks, ale i do samej siebie. Zamiast jednak zatracić się w tych negatywnych emocjach, postanowiłam je wyrazić w kreatywny sposób.

Choć wcale tego nie planowałam, wiele z tych notatek stało się później inspiracją do tekstów piosenek na *Chin Up Buttercup*. Tak powstał chociażby utwór *Math Equation*. Zaczynam go od ostrych słów, które zapisałam niedługo po rozstaniu: „Powiedziałaś, że potrzebuję znaleźć sobie własnych przyjaciół. Więc ich znalazłam, a ty ich przeleciałaś" (*You said I needed my own friends. So I found them, then you fucked them*).

Kolejnym antidotum na pogłębiony przez izolację kryzys sercowy było dla mnie słuchanie muzyki. Ukojenie potrafią jednak przynieść nie tylko melancholijne, introspektywne kawałki. Czasem to, co siedzi głęboko, trzeba po prostu porządnie wypocić na parkiecie. A skoro wszystkie kluby były zamknięte, pozostawał jedynie euforyczny taniec w salonie (mnie również nie ominął ten pandemiczny *zeitgeist*). Zamiast kawałków okupujących topki list Billboardu wieczorami puszczałam z głośników stare hity eurodance, takie jak *Blue* (*Da Ba Dee*) Eiffel 65 [w tym momencie Austra patrzy na mnie porozumiewawczo i oboje zaczynamy śpiewać kultowe *I'm blue, da-ba-dee-da-ba-di* – przyp. M.R.]. Właśnie dlatego, gdy zaczęłam gromadzić materiał na *Chin Up Buttercup*, zależało mi na tym, by uchwycić na nim również tę energię – bo czy nie lepiej jest się smucić, tańcząc w rytm pulsującej elektroniki, niż całymi dniami leżeć zakopaną w pościeli bez chęci do życia?

W tym nowym muzycznym uniwersum potrzebowałam też Gwiazdy Polarnej, dzięki której byłabym w stanie odnaleźć drogę, gdybym utknęła w jakimś niechcianym miejscu na ostatnim etapie produkcji. Stał się nią dla mnie legendarny album *Ray of Light* Madonny, którego w tamtym czasie słuchałam na zapętleniu. Imponuje mi zarówno głębia zawartych na nim tekstów, jak i jego muzyczna spójność. Za każdym razem, gdy nie wiedziałam, co robić, zadawałam sobie pytanie: „Co na moim miejscu zrobiłaby Królowa Popu?". I podobnie jak nieraz w przeszłości moi pozostali muzyczni przewodnicy – Kate Bush, Björk i Nine Inch Nails – tak teraz Madonna pomogła mi odnaleźć w sobie promyk nadziei i ponownie rozbłysnąć.

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler

MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl d281880d2c

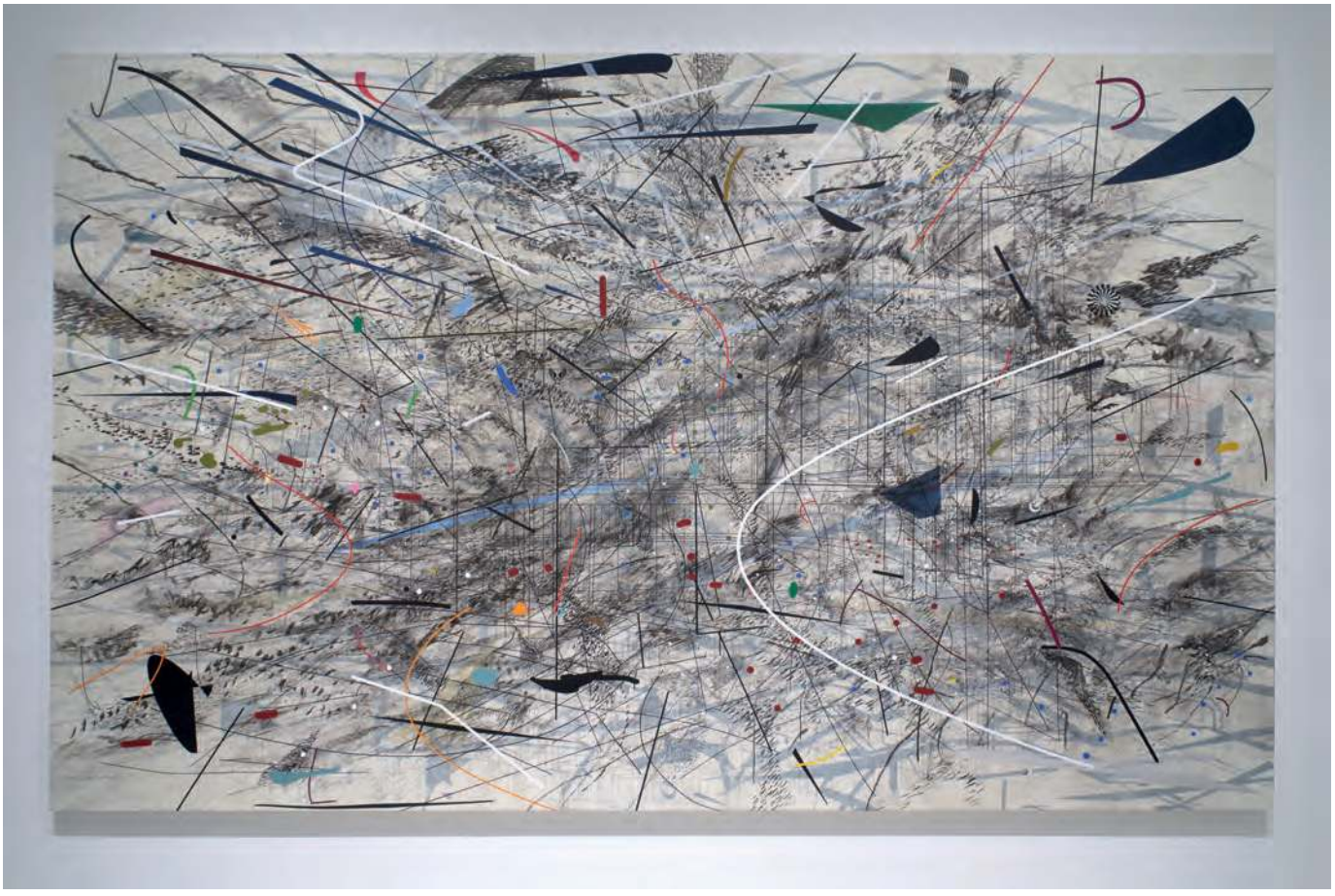

fot. ROBERT GŁOWACKI

Black City [Czarne miasto]

JULIE MEHRETU

Tusz i farba akrylowa
na płótnie, 2007

Kolekcja Pinault

(fragment)

eprasa.pl d281880d2c

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

—

„W miarę jak rozwijało się moje zainteresowanie kwestiami społecznymi, zacząłem gruntownie się uczyć. Był to nowy, nieznany mi dotąd świat. Naturalnie podążałem też za swoją pasją do architektury. Obok muzyki wydawała mi się ona królową sztuk. Praca nad jej zrozumieniem nie była dla mnie «pracą» – raczej wielką przyjemnością. Mogłem czytać lub rysować do późna w nocy, nie czując zmęczenia. Byłem głęboko przekonany, że pewnego dnia moje marzenia staną się rzeczywistością. Miałem pewność, że zdobędę sławę jako budowniczy" – pisał Adolf Hitler w *Mein Kampf*. „Dla niego architektura była magicznym słowem. To było jego hobby i jego pasja. Był samoukiem, ale dużo wiedział" – opowiadał dziennikarzowi BBC w latach 70. przy lampce wina w swojej rezydencji główny architekt Trzeciej Rzeszy Albert Speer. Opisywał Hitlera jako „chodzącą encyklopedię architektury", z pamięci rysującego plany i rzuty ikonicznych budowli Europy. Ostatnie zdjęcie niemieckiego przywódcy, wykonane w bunkrze w Berlinie niedługo przed samobójczą śmiercią, przedstawia go patrzącego na makietę – projekt przebudowy rodzinnego Linzu w ukochanym neoklasycystycznym stylu.

Młodzieńcze marzenie Führera spełniło się, choć nie tak jak sobie to wyobrażał. Pompatyczna wizja odnowy kluczowych miast Rzeszy w duchu Imperium Rzymskiego pozostała na papierze. 28 marca 1942 roku wydał on natomiast słynną dyrektywę numer 40, na mocy której zainicjował największy projekt budowlany w historii ludzkości. Tak zwany Wał Atlantycki, czyli zespół fortyfikacji na zachodnim wybrzeżu Europy ciągnący się przez 3862 kilometry od granicy hiszpańsko-francuskiej po Norwegię, w latach 1942–1944 pochłonął ponad 17 milionów metrów sześciennych betonu i 1,2 miliona ton stali, a sam odcinek francuski miał kosztować nawet 3,7 miliarda marek (206 miliardów dolarów w dzisiejszej walucie). Hitler osobiście naszkicował wiele bunkrów i – jak wspominał Speer – dostał absolutnej obsesji na punkcie tego projektu. Plan zakładał powstanie 15 tysięcy obiektów mających uczynić z kontynentu niezdobytą *Festung Europa*. Jako że naziści spodziewali się natarcia aliantów od strony Cieśniny Kaletańskiej (jak wiemy – niesłusznie), duży nacisk przy wznoszeniu wału położono na rozbudowę dawnych twierdz w miastach portowych i wokół nich, w tym słynnego Calais, którego heroiczna obrona przed najazdem Anglików w latach 1346–1347 przeszła do legendy.

To właśnie te dwie warstwy historii – architektura średniowiecznych i nowożytnych miast twierdz oraz fortyfikacji z czasów nazizmu – były inspiracją dla pochodzącej z Etiopii amerykańskiej malarki Julie Mehretu do przyjrzenia się dziejom infrastruktury „bezpieczeństwa" w obrazie *Czarne miasto*. Zgodnie z metodą twórczą praktykowaną przez nią od początku dekady Mehretu rozpoczęła proces malowania monumentalnej abstrakcji od wyrysowania nachodzących na siebie, pochodzących z różnych porządków form architektonicznych. Trójwymiarowe rzuty uzupełniają mapy, plany i symbole. Na tak zarysowany układ przestrzenny artystka nakłada następnie gąszcz plam, linii i ekspresyjnych pociągnięć pędzla, które wirują i rozsadzają od środka tę wyobrażoną scenę. Jak mówiła o obrazie podczas retrospektywy w Whitney Museum of American Art w 2021 roku, te ślady „mają w sobie pewną agresję i sugestię konfliktu, widoczną w układzie przywodzącym na myśl ruchy migracyjne czy formację bojową. Tak jakby dążyły do tego, by zakazić tę przestrzeń, by ją pożerać, trawić, przekształcać, zakłócać; są nieposłuszne wobec przestrzeni".

Mehretu urodziła się w Addis Abebie w 1970 roku i, jeszcze będąc dzieckiem, razem z rodziną musiała uciekać z ogarniętej rewolucją Etiopii. Z kolei jej żydowscy przodkowie ze strony matki wyemigrowali z Polski do Stanów Zjednoczonych w 1905 roku. Temat przemocy i migracji jest stale obecny w twórczości artystki, nie ilustruje ona jednak historii ani aktualnych wydarzeń, lecz pokazuje napięcia, chaos i ambiwalencję współczesności, w której nadmiar informacji prowadzi raczej do zaciemnienia obrazu niż zrozumienia. *Czarne miasto* obnaża kłamstwo stojące za narracją o „obronie granic" i budowaniu murów jako skutecznym sposobie na zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa przez polityków. Sami przywódcy frontu zachodniego – feldmarszałkowie Erwin Rommel i Gerd von Rundstedt – nazwali Wał Atlantycki „murem propagandowym" i „gigantycznym blefem", który dobrze wyglądał na zdjęciach rozpowszechnianych, by podnieść morale swoich i obniżyć morale przeciwnika. Alianci przełamali go w ciągu kilku godzin, a rozsiane po plażach Europy betonowe bunkry pozostają śladem specyficznego land artu w wykonaniu Führera. Nadmorskie Calais jest dziś natomiast symbolem innej granicy, której żadnemu politykowi nie udało się „uszczelnić".

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Prace Julie Mehretu można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Kairos / Wariacje duchologiczne* do 30 sierpnia 2026 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

eprasa.pl d281880d2c

Niesamowite stworzenie

tekst SAMANTA SCHWEBLIN
przełożył TOMASZ PINDEL

–

Prawie dwadzieścia lat po wypadku Elena dzwoni do mnie do Lyonu. Nie rozpoznaję jej głosu, ale kiedy wypowiada swoje imię, doskonale wiem, z kim rozmawiam.

Przez kilka sekund słyszę jej oddech, przytrzymuję telefon ramieniem i zapalam papierosa. Powoli, starając się nie robić żadnego hałasu, wychodzę na balkon z widokiem na park, siadam na jednym z krzeseł i ściągam sobie sandały, zsuwając je palcami stóp. Chce porozmawiać o Pecie, o swoim synu. Chce wiedzieć, co pamiętam z nocy wypadku. Jej głos jest spokojny i chrapliwy. Zastanawiam się, czy to przez upływ lat, czy też może ten jej słodki tembr zapodział się gdzieś od ostatniego razu, kiedy się widziałyśmy.

Kładę bose stopy na drugim krześle, bolą mnie pięty i nogi. Dziś rano byłam w Madrycie i ledwie zdążyłam wstawić walizkę do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon.

– Gdzie jesteś, Eleno? W Buenos Aires?

Pytam, żeby zyskać na czasie i trochę głębiej wejść do domu, zanim pochłonie mnie ta rozmowa. Jej milczenie sugeruje, że nigdy nie wyjechała z Hurlingham, że być może nadal mieszka w tym samym domu, w którym to wszystko się wydarzyło.

– A ty? – pyta Elena. – Wciąż w podróżach?

Myślę o nowym biurze w Marsylii, o katedrze urbanistyki w Barcelonie, o planach komercyjnego rozwoju terenów pod Bordeaux. Ale kiedy wyobrażam sobie Elenę siedzącą na ławce, tej, która stoi u nich w tym szerokim korytarzu między kuchnią a patiem, kiedy wyobrażam sobie, jak mówi do mnie z tej ławki o drewnianym siedzisku i żelaznych nogach, którą jej ojciec alkoholik wykonał własnoręcznie jako prezent ślubny, a ona nigdy nie chciała się jej pozbyć z domu, wówczas odpowiadam:

– Tak, trochę. – I czekam, co teraz powie ona.

– Wciąż mam twoją kurtkę.

Jaką kurtkę? W szafie mam z tuzin płaszczy, ale nie pamiętam, co kiedyś nosiłam.

– Umieram, Leila. Dlatego dzwonię.

Patrzę na stopy, na palce. Na zewnątrz wiatr kołysze koronami drzew. I nagle myślę o koniu. Po tylu latach znów o nim myślę, o tym, jak zobaczyłam go po raz pierwszy, z oszałamiającą ostrością. Jechałam do domu Eleny z lotniska i taksówka zatrzymała się na światłach na Alei Vergara, tuż przy tym zwierzęciu. Stał w miejscu, zaprzężony do powozu załadowanego stertą materacy, a woźnica chłostał go batem, próbując zmusić, żeby się ruszył. Zawsze na przedmieściach Buenos Aires były konie, ale wtedy już od dłuższego czasu żadnego nie widziałam, więc ten widok mnie zaskoczył.

Brzuch konia miałam tak blisko, że mogłam wysunąć rękę przez okno samochodu i go dotknąć. Był nadęty, nieproporcjonalnie wielki przy wychudłym ciele. Krzywe nogi, sierść wytarta w okolicach uprzęży. Pamiętam jednak przede wszystkim to, jak koń obrócił głowę i na mnie spojrzał. Patrzył prosto na mnie, tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami.

– Wiem, że to już dawno – mówi Elena – ale… pamiętasz, w co tamtego wieczoru przebrał się Peta, pamiętasz ten jego strój, który sam sobie zrobił? Chcę, żeby ktoś mówił do mnie o Pecie. – Kiedy Elena kaszle, domyślam się, co tak zmieniło brzmienie jej głosu. – Proszę, ty tam wtedy byłaś. Bo do kogo innego mam się zwrócić?

Czekam kilka sekund, Elena nic nie mówi, więc pytam:

– Chorujesz? Co ci jest?

– Nieważne, Leila, mamy ponad sześćdziesiąt lat, nie dożyję do następnego miesiąca. – Jej głos lekko się zmienia, jakby wstała. – Od jakiegoś czasu próbuję się z tobą skontaktować.

– Jesteś w Hurlingham? – pytam.

Obie urodziłyśmy się w Hurlingham, ale poznałyśmy się na studiach, na architekturze.

– Tak – mówi Elena. Myślę o Albercie i próbuję o niego nie pytać.

– Ale przeprowadziłaś się? – dopytuję.

Pamiętam ich na patiu, tym samym, na którym doszło do wypadku.

eprasa.pl d281880d2c

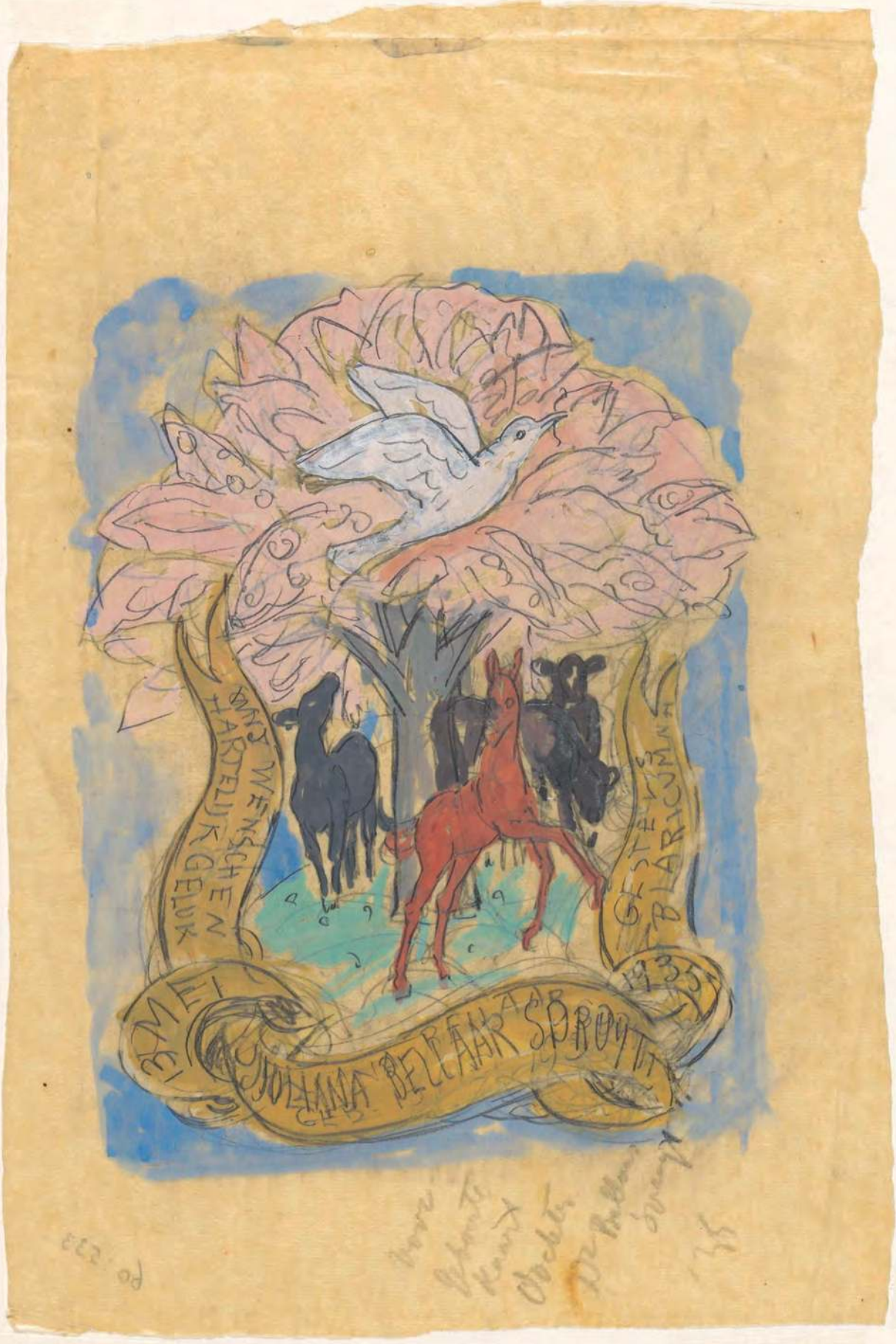

rysunek LEO GESTEL, Rijksmuseum, domena publiczna

eprasa.pl d281880d2c

SAMANTA SCHWEBLIN, argentyńska pisarka, laureatka wielu nagród literackich, trzykrotnie nominowana do Międzynarodowej Nagrody Booker. Autorka powieści i zbiorów opowiadań: *El núcleo del disturbio* (2002), *Ptaki* (2009), *Bezpieczna odległość* (2014), *Siedem pustych domów* (2015), *Kentuki* (2018), *Dobre i złe* (2025). Za ten ostatni zbiór otrzymała Premio Aena w wysokości miliona euro.

– Wciąż mieszkam w starym domu. – Słyszę kaszel. – Poczekaj chwilę.

Wydaje się, że położyła telefon na ławce i odeszła. Zostawia mnie samą na swoim korytarzu, tak blisko patia, że tu, w Lyonie, dostaję gęsiej skórki na ramionach.

Alberto i Elena wzięli ślub rok po tym, jak się poznali. Cała nasza trójka obroniła dyplom w grudniu, ale ja od razu dostałam pracę we francuskiej agencji i wyjechałam z Argentyny. Zawsze do nich pisałam, kiedy wpadałam do Buenos Aires, i wtedy oni zapraszali mnie na kolację do swojego małego domku w dzielnicy klasy średniej, przerobionego zgodnie z ich rygorystycznym gustem architektonicznym. Byli wysocy i dobrze zbudowani, nosili koszule i jasne spodnie, typowe dla architektów, na nadgarstkach dizajnerskie zegarki na nieco luźnych paskach. Elena wiązała swoje kasztanowe włosy w koński ogon, a nad czołem loczki kręciły się jej niczym małe sprężynki. Czasami Alberto zakładał jej te kosmyki za uszy. To był czuły gest, ale robił go zazwyczaj wtedy, kiedy ona mówiła, a on zaczynał się rozkojarzać.

W telefonie słyszę odgłos otwieranej lodówki. Pamiętam każdy szczegół tamtej kuchni. Dwa kroki i znów jesteś na korytarzu, który na dobrą sprawę stanowi przedłużenie patia, bo przesuwne drzwi, którymi zastąpili jedną ściankę, zawsze pozostają otwarte. I tam właśnie lubiła siadać Elena, żeby „się przewietrzyć". Dom nie był duży, ale wyburzyli niektóre ściany i wiedzieli, gdzie umieścić źródła światła, a gdzie fotele, żeby uzyskać pożądany efekt. Dziecko urodziło im się dwa lata po studiach i wychowywali je wspólnie, z równą troską i oddaniem, z jakimi zajmowali się projektami zawodowymi. Podczas mojej ostatniej wizyty u nich byli małżeństwem od dziewięciu lat, a chłopiec skończył siedem.

Elena cmoka z lekką irytacją, coś jej upadło na podłogę. Komu będę mogła opowiedzieć o tej rozmowie? – zastanawiam się. We Francji nikt nie jest w temacie. Tak naprawdę to nawet Elena nie wie, co mi się przytrafiło tamtej nocy, nie licząc samego wypadku. Dzwoni, bo chce, żeby ktoś coś powiedział o Pecie. Nie sądzę, żeby nadal się czegoś domyślała.

Kroki wracają, Elena podnosi telefon. Kiedy siada, ławka skrzypi.

– Nalałam sobie Ferneta – mówi. – Chcę nabawić się choć jednego nałogu przed śmiercią. Myślisz, że zdążę?

– Pewnie. Możemy dzwonić do siebie codziennie i wypijać po sześć kolejek.

Śmiejemy się. Jeśli naprawdę by tego potrzebowała, byłabym gotowa dotrzymać jej towarzystwa. Nagle dociera do mnie, że zawsze tak jest, gdy bardzo za kimś tęsknię – znienacka ogarnia mnie niepokój i muszę mocno nad sobą panować, żeby się nie rozkleić.

Słyszę, jak zapala papierosa, nie wiedziałam, że pali. Próbuję przypomnieć sobie jakiś szczegół związany z Petą, ale widzę tylko tego konia. Elena zaciąga się i słychać szmer spalanej bibułki. Nie powie nic więcej, jeśli ja nie zacznę.

– To on mi otworzył drzwi.

Elena powoli wypuszcza dym, niemal z ulgą.

Miał na imię Pedro, ale wołali na niego Peta. Poznałam go, kiedy miał dwa lata, to był pierwszy z jakichś dziesięciu moich pobytów w Buenos Aires w związku ze współpracą mojego biura projektowego przy przebudowie dwóch wież w Puerto Madero. Widziałam go też jednego wieczoru, kiedy miał cztery lata, lecz wtedy już spał. A potem już kiedy miał siedem, wszystkie obrazy, jakie mi się teraz nasuwają, pochodzą z tego ostatniego razu. Widzę go, jak stoi w progu, ma na sobie długi strój spreparowany z błyszczącego papieru, wypina pierś z powagą żandarma.

Opowiadam Elenie o wrażeniu, jakie zrobił na mnie jego widok, tak urósł, oraz spotkanie z ich dwójką, „z tobą i Albertem – mówię. – Przygotowywaliście przystawki na patiu, wchodząc i wychodząc z kuchni w tej jakże efektywnej harmonii, w jakiej robiliście wszystko". Mówię „przygotowywaliście" i odczekuję kilka sekund w nadziei, że Elena coś powie na temat Alberta. Opisuję dom, wielkie lustro, jakie zainstalowali w holu. Moje zmęczenie po podróży i to, jak pierwszy kieliszek na patiu przyniósł mi wreszcie ulgę. Niesamowite, jak wiele można sobie przypomnieć po dwudziestu latach. Na przykład, że byłam boso, a płytki na patiu wciąż pozostawały ciepłe. Może to właśnie przyjemność i ból pozostawiają zawsze najsilniejszy ślad, bo te wrażenia odbierane są przez ciało. A może to przez to, że w pewnym okresie często wracałam do tamtych wspomnień i sama zdecydowałam, jakie szczegóły przywoływać, żeby spróbować pojąć, co się wtedy stało.

Na moim balkonie zaczyna się ściemniać.

– Ja też zrobię sobie coś do picia, Eleno.

– Czekam.

Odkładam telefon na krzesło, wchodzę do środka i w drodze do jadalni przecinam dwa wielkie salony. Zastanawiam się, czy Elena czułaby się komfortowo pośród tych wszystkich regałów z książkami. Czy przyjęłaby z aprobatą moje fotele, wielki witraż w otwartej kuchni, parkiet z drewna orzechowego, który mój drugi były mąż uparł się położyć. Otwieram barek i nalewam sobie trochę whisky. Elena chce tylko, żeby ktoś przy niej używał imienia Pety. Żeby ktoś opisał, jak mały wiązał swoje kolorowe tenisówki, jak wyglądał jego zabałaganiony pokój, jego delikatne, krótkie i popaćkane farbami paznokcie. Wtedy do mnie dociera: być może to ostatni raz, kiedy rozmawiamy, o to chodzi w tej rozmowie, i dzięki temu pojmuję, że choć ona chce słuchać tylko o Pecie, ja opowiem jej o koniu.

Wracam z whisky, układając sobie w głowie wspomnienia, zaskoczona tym, jak wyraźnie utkwiły mi w pamięci.

– Jesteś tam? – pytam.

– Tak.

– Nie mam dzieci, Eleno. Nigdy nie miałam, ale… Pomyślisz, że to takie moje gadanie, typowe, że nie ma nic wspólnego z tym, co się stało z Petą.

Czekam, u Eleny milczenie zawsze oznaczało niepokój.

Opowiadam jej, co odkryłam tamtego wieczoru po tym, jak chwilę rozmawiałam z Petą, leżąc na dywanie. Wiedziałam już o jego ekscentrycznych pomysłach i o tym, jak świetnie rysował. O tym, jak dwa lata wcześniej przeanalizował ruch dziennego światła na ścianach i „wystawiał" swoje prace, wieszając je tylko w miejscach, w których pada „prawdziwe" światło. O jego obsesji rysowania koni i niesamowitym panowaniu, choć miał dopiero siedem lat, nad perspektywą i kolorem. Wielu rodziców przecenia talent swoich dzieci, a ja do tamtej chwili nie miałam świadomości, co tak naprawdę

eprasa.pl d281880d2c

dzieje się w głowie Pety. Ale może przez to, że był dzieckiem architektów, a może przez wrodzony talent, Peta okazał się zaskakującym przypadkiem.

Tego wieczoru, kiedy chłopiec poszedł sam do swojego pokoju na górze, Elena i Alberto nalegali, żebym to ja sprawdziła, czy umył zęby, i położyła go spać. Od razu się zgodziłam, bo wyznali z rozbawieniem, że kiedy znajomi przychodzą na kolację, Peta po skończeniu posiłku odpowiada wyłącznie na pytania gości, a do rodziców przestaje się odzywać. Sądzili, że to jest jego sposób na zapraszanie nowych ludzi do pokoju. Przyjęłam to wyzwanie i kiedy zostaliśmy z małym sam na sam, zapytałam, dlaczego tak robi. Peta odpowiedział: „Udaję, że oni nie żyją" i zaśmiał się, zakrywając sobie usta, rozochocony własną zabawą. Namówił mnie, żebym się położyła na dywanie i popatrzyła na sufit, pokazał mi konstelacje, jakie zaznaczał dłutkiem, robiąc ślady na farbie. Z podłogi ledwie było je widać, bo na razie robił tylko ślady, zamierzał pomalować wszystkie gwiazdy na następne urodziny Eleny. Zapytałam, jakim sposobem sięga tak wysoko, na co on odparł: „Mam swoją technikę", lecz nie wyjaśnił jaką. Leżeliśmy tam chwilę, na plecach, aż w końcu obrócił się w moją stronę, bardzo poważny, i zapytał: „Obudziłaś się kiedyś w środku nocy? Ale tak sama z siebie, nie że ktoś cię obudził, tak po prostu?".

Był to niesamowity chłopiec, a jednocześnie zupełnie normalny. Tak naprawdę jak dotąd jedyna niesamowita rzecz rozgrywała się we mnie: leżałam obok niego na dywanie i zaczęłam fantazjować na temat myśli, że ktoś mógłby potrzebować w ten sposób właśnie mnie, konkretnie mnie. Nie chciałam jednak zostać matką, nigdy mnie to nie interesowało.

Elenie nie opowiadam o żadnej z tych rzeczy, że Peta zadawał mi pytania, a ja myślałam, że wydają się one proste, choć tak naprawdę są zbyt złożone; myślałam sobie: czy dorośli z otoczenia tego chłopca zrozumieją rozmach tego pytania? Myślałam: ja jestem w stanie go zrozumieć, umiem mu odpowiedzieć, nie oszukując go ani nie krzywdząc. To potężna intuicja, impuls, który utwierdzał mnie w przekonaniu: ten chłopiec to ktoś niezwykle cenny, ty umiałabyś się nim zaopiekować.

Jej mówię tylko o tym, co mały powiedział później: „Nie chcę być architektem". Nie wspominam o tym, co wtedy pomyślałam: że tym stanowczym tonem, jakim mówił, że tym błyskiem w oku, który towarzyszył mu w tej chwili odkrywania sensu własnych słów, zdawał się także dawać do zrozumienia: „Jestem kimś tak wielkim, że nie mogę sobie pozwolić na świat ludzi". Ani że odczekałam kilka sekund, bardzo świadomie, nim znów coś powiedziałam, żeby Peta mógł nasycić się swoim odkryciem i dostrzec je w pełni, ani że potakiwałam głową, jakby mówiąc: „Tak! Tak! Taka jest prawda! Możesz być tym, kim zechcesz!".

Elenie mówię tylko o tym, o co zapytałam Petę po chwili:

„A kim chcesz zostać?".

„Chcę zostać koniem".

– Koniem? – Głos Eleny drży w słuchawce.

Mówię jej, że zerwałam się wtedy z podłogi i zaproponowałam Pecie, żebyśmy poćwiczyli.

„Poćwiczyli bycie koniem? – zapytał. – Ale jak to zrobić?"

„Po prostu użyj wyobraźni".

Peta też poderwał się z podłogi. Moja stanowcza odpowiedź najwyraźniej dodała mu energii.

„Żeby się ćwiczyć w byciu koniem, należy stawiać jedną nogę przed drugą" – powiedział.

„Doskonale! No to do roboty!"

Zaczęliśmy chodzić jedno za drugim, z jednego końca pokoju do drugiego, z rozprostowanymi rękami i otwartymi dłońmi, udawaliśmy przy tym, że bardzo się staramy nie stracić równowagi.

„I im bardziej ma się zamknięte oczy, tym bardziej jest się koniem" – stwierdził Peta.

„Doskonale!"

Zamknęliśmy oczy i zrobiliśmy jeszcze jedną rundkę tam i z powrotem.

„I im wyżej się jest... – Peta wskoczył na krawędź łóżka – tym bardziej jest się koniem!"

Postawił jedną stopę, a potem drugą, na drewnianej belce i próbował iść przed siebie z zamkniętymi oczami.

Po drugiej stronie Elena wydaje jakiś dźwięk do telefonu, niepewny i gardłowy, jakby przełykała coś bolesnego, i wiem, że myśli teraz o gzymsie nad patiem.

– Kiedy wyszłaś z sypialni, on już leżał w łóżku?

Nie pamiętam, lecz mówię, że tak. Zapada między nami cisza i nie wiem już, czy kontynuować tę rozmowę.

– Ach, Leilo. – Słyszę spalaną bibułkę z jej papierosa. – Nawet jeśli to boli, cokolwiek mi powiesz o Pecie, to tak, jakbym spędziła z nim kilka sekund więcej. Dziękuję.

– Jest jeszcze coś. Coś, o czym chcę ci opowiedzieć.

Myślę o tym patiu, Peta bawił się na nim, od kiedy zaczął raczkować, Elena siedziała na ławce w korytarzyku, zawsze blisko, zawsze czujna. Czytała, pracowała, rozmawiała przez telefon, ale jednym okiem cały czas zerkała na Petę. Czasami opierała się o ścianę i przymykała oczy, ale nigdy nie zasypiała. Pamiętam tę plamę widoczną na marmurowej tapecie, na wysokości jej głowy, wyglądała jak mglista chmura. Czy umrze, siedząc w tym miejscu? Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby wstała z tamtej ławki? Ale właściwie po co?

– Kiedy Peta spadł z gzymsu... – zaczynam, ale przerywam.

Patrzę na park przed balkonem: w Lyonie już ciemna noc.

I nagle pojawiają się wszystkie słowa, które wypowiadam do telefonu. Nie umiem już ocenić, co jest logiczne, a co nielogiczne, co mogłoby się okazać bolesne, a co jednak znośne. Opowiadam o tym, co się wydarzyło, tak jak dyktuje mi pamięć: łoskot ciała uderzającego o płytki na patiu. Jak dociera to

eprasa.pl d281880d2c

do całej naszej trójki dopiero po sekundzie, jak się obracamy przy stole i reagujemy. Jak oni dwoje zrywają się z krzeseł i biegną do Pety. Alberto nie chciał go ruszać, Elena podniosła i przytuliła, chciała krzyczeć, ale nie mogła, bo ani chłopiec, ani ona nie oddychali. Elena klęczała, a wokół niej rozlewała się krew, wyglądało to tak, jakby zbyt mocno przyciskała dziecko. Pamiętam, że też wstałam i powiedziałam: „Dzwonię po pogotowie". Nikt jednak nie zareagował, nikt się nie ruszył. Poszłam do kuchni i zadzwoniłam. Podałam adres, odpowiedziałam na kilka pytań i kiedy się rozłączyłam, nie mogłam już wrócić na patio. Moja kurtka leżała na ławce w korytarzu i tam ją zostawiłam. Wyszłam z domu. Powoli zamknęłam drzwi i trzask zamka uświadomił mi, że znalazłam się po drugiej stronie. Patrzyłam przez chwilę na klamkę, aż w końcu usłyszałam krzyk Eleny. I wtedy, nie odwracając się, poczułam coś dziwnego za plecami. Nie miałam odwagi odwrócić się i popatrzeć. Kilka kropli potu ściekło mi po czole aż do podbródka, a potem spadły na chodnik. „Odwróć się – powiedziałam sobie – największy ból i tak został w środku domu". Elena wciąż krzyczała. „To, co się teraz wydarzy, przecież cię nie zabije". I odwróciłam się w stronę ulicy.

Leżące na asfalcie ciało, słabo oświetlone światłem z jedynej latarni na końcu ulicy, wydawało się tak nieproporcjonalne i wielkie, że dopiero po chwili zrozumiałam, co to jest. To był koń, leżał na asfalcie, jakby skądś spadł. Podeszłam powoli, nie chciałam go przestraszyć. Oddychał szybko, jego wydęty brzuch unosił się i opadał, napinając pod uprzężą wytartą skórę. Wielkie i ciemne oczy szukały czegoś w nocy, a ja miałam pewność, że chodzi właśnie o mnie. Podniósł głowę, żeby lepiej mnie widzieć. Sapnął, próbował się dźwignąć, ale nie dał rady. Uklękłam przy nim, objęłam jego łeb i przytknęłam czoło do jego czoła. „Wszystko będzie dobrze – powiedziałam. – Spokojnie".

Najpierw zjawiła się karetka, potem policja. Pokazałam im, który to dom. Zaraz zbiegli się sąsiedzi. Podchodzili, widzieli konia i zatrzymywali się, zaskoczeni, zmieszani. A ja przez cały ten czas klęczałam i przytulałam się do konia.

Kilka minut później zobaczyłam Alberta i Elenę, szli za noszami. Za moimi plecami jakiś sąsiad wzywał pogotowie weterynaryjne. Coś rozproszyło Elenę, która popatrzyła w moją stronę, zaskoczona. Chwiejnym krokiem wsiadła do karetki. Ratownicy zamknęli drzwi i przenikliwy sygnał syreny oddalił się ze znaczną prędkością.

Robię przerwę. Odsuwam na chwilę telefon i wzdycham. Kilka sekund później pytam:

– Pamiętasz tego konia?

Elena nie odpowiada.

Trzy dni później odbyło się czuwanie przy zwłokach, a po nim pogrzeb. Przed wyjściem przytuliłam się do każdego z nich dwojga, najpierw do Alberta, potem do Eleny, po raz pierwszy byli rozdzieleni, stali bez ruchu otoczeni gośćmi, w dziwny sposób uważni: skupiali się na podłodze, na najdrobniejszych odgłosach, szukali w gwarze czegoś, co, jak się zdawało, sekundę wcześniej mieli w zasięgu ręki.

Zajęłam się koniem, który spędził kilka dni w klinice weterynaryjnej na wydziale rolniczym, wracał do sił. Namierzyłam stajnię w Luján, gdzie zaoferowali mi dobrą cenę za opiekę nad nim, jeśli zapłacę z góry. Byłam gotowa wydać na niego majątek, ale dwa tygodnie później ktoś skontaktował się ze mną w Lyonie i powiedział, że zgłosił się po tego konia jakiś człowiek, więc zwierzę wróciło do właściciela. To chyba jakoś wtedy zadzwoniłam ponownie do Hurlingham, żeby zapytać, jak się trzymają, ale nikogo nie zastałam. A może tylko zamierzałam dzwonić i tego nie zrobiłam. Oni też się nie odzywali. I już więcej nie rozmawialiśmy.

Słyszę w telefonie skrzypienie ławki. Czy Elena wstała? Patrzy na patio? Co tam teraz jest? Dlaczego ona nic nie mówi?

– Eleno, jesteś tam?

Czasami śni mi się, że wracam do Buenos Aires. Prawie zawsze jadę taksówką, patrzę z ciekawością przez okno. I wtedy go widzę. Od razu go poznaję. Maść, rozmiar, uszy. Zmęczony, ciągnie powóz. Potężny, za duży jak na rozmiar zwierzęcia. Proszę kierowcę, żeby się zatrzymał, wysiadam i biegnę w stronę konia. Mężczyzna, który popędza go batem, nie rozumie, co się dzieje, ciągnie za cugle, żeby zatrzymać zwierzę. Koń przystaje, sapie, odwraca się w moją stronę. Dotykam jego wielkiego łba, znów przykładam czoło do jego czoła. Otwartą dłoń do jego policzka, drugą do piersi. Jest taki wielki i piękny, a ja proszę go o wybaczenie.

– Nie mam czasu na głupoty – mówi Elena. – Nie rozumiesz?

Ma rację, całkowitą rację. Co teraz będzie?

– To koniec – mówi, ale w jej stanowczym głosie czuć subtelną zmianę. – Gdzie on jest?

Trzymam wciąż telefon, próbuję postawić się na jej miejscu. O co ona mnie pyta?

– Koń, Leilo.

– Koń – odpowiadam, grając trochę na czas, próbuję zrozumieć ostatnie pytanie.

Szukam rozpaczliwie wśród wspomnień z Argentyny miejsca, w którym można by przytulić jakiegoś konia.

– Leila...

– Tak, jasne – mówię. – Jasne. Masz coś do pisania?

– Mam – odpowiada i słyszę dźwięk, który bardzo wyraźnie rozpoznaję: popycha skrzydła szklanych drzwi, otwiera je. Dźwięk jest teraz zupełnie inny. Elena stoi przed patiem. – Mam wszystko – mówi. – Wszystko gotowe. Mów.

Opowiadanie pochodzi ze zbioru *Dobre i złe*, który w przekładzie Tomasza Pindela ukaże się w czerwcu nakładem Wydawnictwa Pauza.

Samanta Schweblin będzie gościnią sekcji literackiej „Głosy Kobiet" 25 czerwca podczas **Malta Festival** w Poznaniu.

MALTA FESTIVAL

eprasa.pl d281880d2c

23
Millennium
23rd DOCS
AGAINST
GRAVITY
MDAG
kina
8.05 — 17.05
Warszawa
Wrocław
Gdynia
Poznań
Katowice
Łódź
Bydgoszcz
online
19.05 — 01.06
MDAG.PL
festiwal
filmowy

FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O algorytmicznych słoniach i wyrokach dla platform

tekst MAGDALENA BIGAJ

MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Oba bezprecedensowe wyroki zapadły w ciągu jednej doby. 25 marca sąd w Santa Fe uznał, że Meta – właściciel między innymi Facebooka, Instagrama i WhatsAppa – ułatwiał przestępcom seksualnym kontakt z nieletnimi i nie reagował mimo wiedzy o aktywności grup związanych z handlem ludźmi. Niemal w tym samym czasie ława przysięgłych w Los Angeles przyznała rację powódce, występującej publicznie pod pseudonimem KGM, która oskarżyła Metę i Google'a o stosowanie mechanizmów szkodzących jej dobrostanowi. Śledząc debatę publiczną, trudno odnieść wrażenie, aby sprawy te wstrząsnęły miliardami użytkowników platform algorytmicznych. Udajemy, że słonia w pokoju nie ma.

Musicie wiedzieć, że rzucić w środowisku ekspertów pytanie o to, czy media społecznościowe szkodzą zdrowiu psychicznemu, to jak zapytać w grupie dla matek, czy lepiej karmić piersią, czy butelką. Tłuką się w komentarzach, jakby jutra miało nie być, a dziecko nadal głodne. W marcu świat obiegł opublikowany w „JAMA Pediatrics" artykuł *Digital Media Use and Child Health and Development: A Systematic Review and Meta-Analysis* (*Korzystanie z mediów cyfrowych a zdrowie i rozwój dzieci. Przegląd systematyczny i metaanaliza*) będący metaanalizą prowadzonych przez 24 lata badań nad wpływem produktów cyfrowych na osoby do 18. roku życia. Jednak szybko głos zabrała brytyjska psycholożka eksperymentalna Amy Orben, podkreślając, że wiemy tylko tyle, że produkty te stanowią ryzyko, a nie główną przyczynę problemów ze zdrowiem psychicznym. Takie niuansujące stanowisko bywa jednak w debacie publicznej upraszczane. Orben przedstawia się czasem tak, jakby zaprzeczała jakiemukolwiek wpływowi mediów społecznościowych na kondycję psychiczną użytkowników, co również nie oddaje prawdy. Polaryzacja opinii publicznej, wyostrzająca podziały poprzez wpychanie w czarno-białe kategorie, jest na rękę największym platformom internetowym (VLOP-om), bo prowadzi nie do porozumienia, lecz do konfliktu. Algorytmy to lubią.

Niekiedy w ramach ćwiczenia intelektualnego wchodzę ponownie w rolę, którą kiedyś porzuciłam. Przez wiele lat zajmowałam się komunikacją marketingową dla produktów cyfrowych. I kiedy patrzę na dyskusję wokół VLOP-ów, to dokładnie tak bym to sobie wykoncypowała: skoncentrujmy debatę publiczną na wpływie mediów społecznościowych na zdrowie psychiczne i podsuńmy analogię do papierosów. To całkiem sprytny plan, bo jak widać na przykładzie debaty publicznej w zachodnim internecie, stanowi idealny temat zastępczy dla słonia w pokoju.

Osiągnięcie porozumienia w tych sporach nie jest możliwe nawet na poziomie czysto logicznym, nie mówiąc o praktyce czy badaniach naukowych. Nie sposób jednoznacznie udowodnić wpływu jednego, na dodatek intensywnie zmieniającego się w czasie, czynnika (w tym przypadku mediów społecznościowych) na stan (zdrowie psychiczne), który z definicji jest wypadkową wielu zmiennych (kapitał psychologiczny, sieć oparcia społecznego, warunki życia). Jednak odpowiedź „to zależy", wynikająca z przywołanej metaanalizy, a także wielu innych opublikowanych w ostatnich latach badań, nie jest satysfakcjonująca w obecnym stanie dyskursu i życia społecznego w ogóle. Wielokrotnie, gdy stosuję takie podejście podczas wywiadów w mediach poddawanych presji czasu antenowego, część dziennikarzy nie wytrzymuje niepewności i zadaje pytania w stylu: „Ale proszę

rysunek ANNA GŁĄBICKA

Fundację Pismo, wydawcę magazynu „Pismo", wspiera **Orange**.

eprasa.pl d281880d2c

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne?

Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

powiedzieć, jak bardzo szkodzą nam media społecznościowe?". Nie dziwi mnie to, bo niepewność jest stanem, który organicznie staramy się redukować. A gdy ktoś próbuje odpowiedź niuansować, wpada w tryby polaryzującej maszyny. Jednakże istotą nauki jest nie dążenie do jednoznacznych odpowiedzi, lecz zadawanie pytań i testowanie hipotez. W świecie szybkich zmian i kilkunastosekundowych recept na życie potrzebujemy zatrzymać się przy „to zależy" i zapytać: „od czego?". A może raczej: „od kogo?".

Nie chcę negować wpływu mediów społecznościowych na zdrowie psychiczne. Należy jednak mieć świadomość, że wciąż nie ma jednoznacznego dowodu na stwierdzenie związku przyczynowo-skutkowego między jednym a drugim. Zdrowie psychiczne to złożony konstrukt, na który rzutuje wiele czynników. Dopiero ich suma oraz sposób używania przez konkretną osobę decydują o tym, czy wpływają na nią dobrze, czy źle. Piszą o tym autorzy corocznego *World Happiness Report* (*Światowego raportu szczęścia*) wydawanego przez interdyscyplinarny zespół badaczy skupiony przy ONZ.

Koncentracja debaty o mediach społecznościowych wokół badań naukowych nad ich wpływem na zdrowie psychiczne jest podejściem redukcyjnym, które zawęża pole widzenia. Meta i Google są w gronie największych firm świata, dlatego o wpływie ich działań na otoczenie powinniśmy mówić językiem nie akademickiej dyskusji, lecz prawa i odpowiedzialności. Jednym słowem: czy ktoś widział sprzedawcę słoni?

Pod tym względem przywołane wyroki wydane w USA przenoszą ciężar debaty z produktu na producenta. Trzecia dekada tego wieku dostarczyła nam mnóstwo dowodów pochodzących z procesów oraz śledztw dziennikarskich i prokuratorskich, w tym z dokumentów wewnętrznych udostępnionych przez sygnalistów, z których wynika, że model biznesowy firm takich jak Meta czy TikTok opiera się na intensyfikacji korzystania z ich produktów. Rozwój tego modelu dokumentuje amerykański dziennikarz Max Fisher w swojej książce *W trybach chaosu*. Przywołuje on wiele wypowiedzi twórców platform, między innymi Seana Parkera, pierwszego prezesa Facebooka, który podczas wywiadu udzielonego dla amerykańskiego serwisu Axios powiedział: „Projektując tę aplikację, postawiliśmy sobie jedno pytanie: «Jak zagarnąć tyle waszego czasu i uwagi, ile tylko się da?»". To wtedy padły często przywoływane słowa o „zastrzyku dopaminy", który pojawia się, ilekroć użytkownik dostanie lajk czy komentarz. Wypowiedź tę można zinterpretować jako odniesienie do procesu zachodzącego w mózgu, w uproszczeniu polegającego na zapamiętywaniu czynności związanych z nagrodą, w którym bierze udział neuroprzekaźnik zwany dopaminą. Proces ten Parker nazwał „sprzężeniem zwrotnym walidacji społecznej" i uznał, że kto jak kto, ale on ma prawo je wykorzystać. Buta i cynizm bijące z tych słów dzisiaj wydają nam się co najmniej nierozważne, ale pod koniec pierwszej dekady XXI wieku „nikt w Dolinie Krzemowej nie uważał, że należy ukrywać takie praktyki eksploatacyjne, a wręcz traktowano je jako doskonałe narzędzie rozwijania biznesu" – pisze Fisher.

Producenci papierosów przez dekady ukrywali ryzyko stosowania wyrobów tytoniowych. VLOP-y dopiero po pewnym czasie zmieniły narrację z „hakujemy uwagę wszystkich" na „dokładamy starań, by chronić najmłodszych użytkowników" i prześcigają się w pozorowanych działaniach mających rzekomo zabezpieczać konta niepełnoletnich. Jednocześnie model serwowania użytkownikom treści opartych na algorytmie służącym maksymalizacji zysków właścicieli platform wyparł już definitywnie model społecznościowy zorientowany na użytkowników i ich indywidualne potrzeby łączenia się w sieci. Choć nadal stosujemy określenie „media społecznościowe", w istocie mamy do czynienia z platformami algorytmicznymi. Spowodowane przez nie szkody wykraczają poza ewentualny uszczerbek na zdrowiu psychicznym czy fizycznym użytkowników. Na długiej liście mamy między innymi: podbijanie przez algorytm treści przemocowych, języka nienawiści, dezinformacji wymierzonej w inne narodowości, manipulowanie wynikami wyborów.

Mając wiedzę o nieetycznych założeniach twórców platform algorytmicznych, trudno się dziwić wielu zjawiskom społecznym i politycznym. Nie ma takich badań nad zdrowiem psychicznym, które by nas ocuciły. Szkody, które ponosimy, są jedynie produktem ubocznym maksymalizacji zysku VLOP-ów, rozumianych jako platformy algorytmiczne, growe czy oparte na AI. Dlatego poszukiwanie rozwiązań nie jest kwestią akademickiej dyskusji, lecz zdrowia publicznego, które wymaga zorganizowanego wysiłku społeczeństwa w celu osiągnięcia zbiorowej odporności na czynniki ryzyka. Skoro media społecznościowe stały się produktami codziennego użytku, mamy prawo oczekiwać i podejmować działania, by otrzymać produkt bezpieczny dla zdrowia. I oby prorocze okazały się słowa prokuratora generalnego Nowego Meksyku, Raúla Torreza, który po ogłoszeniu wyroku skazującego Metę na 375 milionów dolarów grzywny powiedział: „Wysokie odszkodowania powinny wysłać jasny sygnał do szefów big techów, że żadna firma nie stoi ponad prawem".

eprasa.pl d281880d2c

Oni dwaj

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Było ich dwóch i na pierwszy rzut oka nie mogliby się bardziej różnić. Młodszy, który wyglądał jakby nie dalej niż wczoraj uciekł z gimnazjum, jeździł do pracy na rowerze. Weganin w skromnym sweterku. Promiennie uśmiechnięty. Drugi, starszy, może 30-letni, łysy motocyklista, kanciasty, w termicznej koszulce z płomieniami. Jęzory ognia tańczyły mu na umięśnionej klacie. Mruk. Kiedy ich poznałam, obaj od siedmiu lat ramię w ramię pracowali nad konstrukcją pistoletu Vis 100, którego nazwa nawiązuje do legendarnej przedwojennej broni, a cyfra – do setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Tyle historycznych treści w 800 gramach stali i aluminium. A przecież materiał to dopiero początek. Czysta kartka. Trzeba to wszystko jeszcze policzyć, wymyślić, narysować. Usprawnić mechanizm.

Wyobrażam ich sobie, jak w zagraconym warsztacie pochylają się nad Visem, który zresztą na początku ich pracy nazywał się inaczej. Jak ważą go w dłoni. Ulepszają. Jak schodzą do podziemi na odstrzał. Żartują. Jak przeprowadzają obowiązkowe testy, zanim pierwsze 12 sztuk zostanie wystawione na widok publiczny. Z sukcesem. Pochwała i aprobata. Masowa produkcja. Dziś, po ponad 10 latach, ich stalowe dziecko bryka w dziesiątkach tysięcy. Zasila zarówno armię, jak i kabury prywatnych osób. Parabellum 9×19 milimetrów. Krótki odrzut lufy. Mieści 15 naboi, każdy waży osiem gramów. To tyle, co ptaszek raniuszek, łyżka cukru pudru, złota moneta z wizerunkiem świętego Jerzego – myślę naiwnie.

I czytam, bez zrozumienia, że elementem, który steruje przekoszeniem, są dwa skośne występy w dolnej części lufy, a mechanizm spustowo-uderzeniowy ma zewnętrzny kurek z samonapinaniem. Cokolwiek to znaczy, wiem jedno: napracowali się ci dwaj konstruktorzy. Czy są z siebie dumni? Czy śnią czasem o tym, kto i do czego używa Visa? Czy martwią się, czy też cieszą, że kula z prędkością 360 metrów na sekundę – „ależ nam się to udało, ależ to nam dobrze wyszło" – wbiła się komuś w udo, w pierś, w plecak, przeszła obok? Czy na pierwszej randce, na obiedzie u szwagra, w rozmowie z współpodróżnym w pociągu dalekobieżnym wspominają o Visie? Że to oni go zaprojektowali?

To oczywiste, że za każdym przedmiotem stoi ktoś. Ktoś go wymyślił, skonstruował, przetestował. Często nie są to pojedyncze osoby, ale całe zespoły. Najczęściej zresztą nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, kto dokładnie. Ale tak się złożyło, że akurat wiem, że za tym pistolem stoją oni dwaj. Może ktoś jeszcze, ale przede wszystkim oni dwaj. Policzalni, namacalni, zwykli, zajęci swoimi ludzki sprawami. Może młodszemu ostatnio zepsuł się rower, a starszemu motocykl. Może akurat mają katar. Może pracują już nad czymś nowym, może znowu razem. Ci dwaj właśnie, znani mi z imienia i nazwiska. Wolałabym nie wiedzieć, kim są, ale wiem. I ta wiedza dzwoni mi w głowie pusto i boleśnie, kiedy czytam o pozornie niezwiązanych z nimi wydarzeniach z drugiego końca świata. O wojnie w Iranie, w Ukrainie, o innych konfliktach. Broń. Jakie to krótkie słowo. Jakie dźwięczne. I jeszcze to „ń" na końcu, takie miękkie, niewinne.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl d281880d2c

DARMOWA DOSTAWA

Czytaj i słuchaj treści z „Pisma", by lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjesz.

Zamów roczną prenumeratę w cenie 259 zł, a otrzymasz:

- 12 papierowych wydań miesięcznika,
- jubileuszowy, 100. numer „Pisma" w prezencie,
- dostęp do audioseriali takich jak *Psychowashing* czy Śledztwo Pisma,
- możliwość pobrania wszystkich numerów „Pisma" w wersji audio i na czytniki.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata i skorzystaj z promocji. Oferta limitowana, ważna do wyczerpania nakładu 100. numeru „Pisma".

eprasa.pl d281880d2c

eprasa.pl d281880d2c